

DONNA
LEON

GRA POZORÓW



Oficyna Literacka Noir sur Blanc

DONNA LEON

GRA
POZORÓW

Przełożyła

Małgorzata Kaczarowska

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Inne książki Donny Leon

Tytuł oryginału: BY ITS COVER

Opracowanie redakcyjne: DOROTA JOVANKA ĆIRLIĆ

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, AGATA NOCUŃ

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2014 by Donna Leon and Diogenes Verlag AG Zürich

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright © 2017, Noir sur Blanc, Warszawa

All rights reserved

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65613-27-1

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Judith Flanders

Choć był nędznikiem, jest teraz moim bratem.

oratorium *Saul* Händla

To był nudny poniedziałek, a jego większą część pochłonęły pisemne zeznania dotyczące bójki między dwoma pilotami taksówek, w wyniku której jeden z nich trafił do szpitala ze wstrząsem mózgu i złamaną prawą ręką. Zeznania złożyli: para Amerykanów, którzy poprosili konsjerża w swoim hotelu, żeby zamówił dla nich wodną taksówkę, mającą ich zabrać na lotnisko; konsjerż, który powiedział, że zadzwonił po jednego z pilotów, z którego usług hotel często korzystał; portier, który twierdził, że zrobił tylko to, co do niego należało, czyli zapakował bagaże Amerykanów do taksówki, która podpłynęła do pomostu; oraz dwaj piloci, z których jeden został przesłuchany w szpitalu. Na podstawie różnych wersji wydarzeń Brunetti ustalił, że pilot z często wykorzystywanej przez hotel firmy przewozowej był w pobliżu, gdy zadzwonił do niego konsjerż, ale gdy podpłynął pod hotel, przy pomoście czekała inna taksówka. Przycumował, zawołał Amerykanów po nazwisku, które podał mu konsjerż, i powiedział, że ma ich zabrać na lotnisko. Drugi pilot powiedział, że kiedy przepływał, portier zamachał do niego, więc jemu należy się kurs. Portier zaprzeczał i upierał się, że pomagał tylko przy bagażach. Pilot, do którego taksówki portier zapakował bagaże, znalazł się jakimś sposobem na pokładzie drugiej taksówki. Amerykanie byli wściekli, ponieważ nie zdążyli na samolot.

Brunetti wiedział, co się wydarzyło, choć nie mógł tego udowodnić: portier wezwał przepływającą taksówkę, żeby to jemu, a nie konsjerżowi, przypadł procent od kursu. Konsekwencje były oczywiste: nikt nie zamierzał mówić prawdy, a Amerykanie nie potrafili zrozumieć, co się stało.

Gdy ta myśl przyszła Brunettiemu do głowy, zapomniał na chwilę o chęci napicia się kawy i zastanowił się nad tym, czy przypadkiem nie trafił na kosmiczne podsumowanie współczesnej historii świata. Uśmiechnął się i zanotował w myślach, by powiedzieć o tym Paoli, albo – jeszcze lepiej – następnego wieczoru, kiedy będą na obiedzie u jej rodziców. Miał nadzieję, że hrabia, który doceniał paradoksy, będzie tym rozbawiony. Wiedział, że na pewno rozbawi teściową.

Porzucił te rozważania i zszedł po schodach komendy, nie mogąc doczekać się kawy, która miała mu pomóc w przetrwaniu popołudnia. Gdy zbliżył się do drzwi frontowych, funkcjonariusz w centrali telefonicznej zastukał w szybę małego pomieszczenia i przywołał go gestem. Brunetti wszedł do środka, a policjant powiedział do słuchawki:

– Wydaje mi się, że powinna pani porozmawiać z komisarzem. To on się tym zajmuje. – Podał mu telefon.

– Mówi Brunetti.

– Jest pan komisarzem?

– Tak.

– Mówi dottoressa Fabbiani. Jestem dyrektorem Biblioteki Merula. Mieliśmy kradzież. Wydaje mi się, że więcej niż jedną. – Jej głos drżał; takim głosem mówiły ofiary napaści lub rozbojów.

– Ze zbiorów? – zapytał Brunetti. Znał tę bibliotekę, w latach studenckich odwiedził ją raz lub dwa, ale zapomniał o jej istnieniu kilkadziesiąt lat temu.

– Tak.

– Co takiego zginęło? – zapytał, przygotowując w myślach kolejne pytania, które padną, gdy usłyszy jej odpowiedź.

– Nie wiemy jeszcze dokładnie. Na razie jestem tylko pewna, że z niektórych egzemplarzy wycięto strony. – Usłyszał, jak kobieta głośno wciąga powietrze w płuca.

– Z ilu? – zapytał Brunetti, przysuwając notes i ołówek.

– Nie wiem. Dopiero to odkryłam. – Jej głos stężał, gdy to mówiła.

Usłyszał, że po drugiej stronie słuchawki odezwał się mężczyzna. Fabbiani musiała się odwrócić, żeby odpowiedzieć, ponieważ jej słowa przez chwilę były niezrozumiałe. Potem nastąpiła cisza.

Brunetti przypomniał sobie procedury, które pokonywał w miejskich bibliotekach, gdy chciał zajrzeć do książki, i zapytał:

– Rejestrujecie czytelników korzystających z danych książek, prawda?

Czy była zaskoczona, że policjant zadaje takie pytanie? Że wie coś o bibliotekach? Z pewnością potrzebowała dłuższej chwili na odpowiedź.

– Oczywiście.

Cóż, to pokazywało mu, gdzie jego miejsce, prawda?

– Sprawdzamy to.

– Czy dowiedzieliście się już, kto to był? – zapytał Brunetti.

Nastąpiła jeszcze dłuższa chwila ciszy.

– Wydaje nam się, że to był naukowiec – powiedziała i dodała, jakby Brunetti oskarżał ją o zaniedbania: – Miał wszystkie potrzebne papiery. – Takiej odpowiedzi udzielał na swoje usprawiedliwienie każdy biurokrata przy pierwszym podejrzeniu, że nie dopełnił obowiązków.

– *Dottoressa* – zaczął Brunetti z nadzieją, że mówi najbardziej przekonującym i profesjonalnym tonem – będziemy potrzebowali państwa pomocy przy ustaleniu jego tożsamości. Im prędzej go znajdziemy, tym mniej będzie miał czasu, by sprzedać to, co zabrał. – Nie widział powodów, by oszczędzać jej tej prawdy.

– Ale książki zostały zniszczone – powiedziała. W jej głosie brzmiał ból, jakby straciła bliską osobę.

Mógł sobie wyobrazić, że dla bibliotekarza zniszczenie książki było równie okropne jak kradzież. Zmienił ton głosu na stanowczy i oznajmił:

– Będę u państwa tak szybko, jak to możliwe, *dottoressa*. Proszę niczego nie dotykać. – Zanim zdążyła zaprotestować, dodał: – Chciałbym także zobaczyć upoważnienia przedstawione przez tego mężczyznę. – Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, odłożył słuchawkę.

Brunetti pamiętał, że biblioteka mieściła się przy Zattere, ale dokładna lokalizacja wyleciała mu już z pamięci. Odwrócił się do strażnika.

– Gdyby ktoś mnie szukał, będę w Bibliotece Merula. Zadzwoń do Vianella i powiedz mu, żeby przyszedł z dwoma technikami, trzeba będzie zebrać odciski palców.

Na zewnątrz znalazł pilota Foę, opierającego się o barierkę nad kanałem, ze splecionymi ramionami i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Pilot odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy we wczesnowiosennym słońcu, ale słysząc, że Brunetti się zbliża, zapytał, zanim jeszcze otworzył oczy:

– Dokąd pana zawieźć, *commissario*?

– Do Biblioteki Merula – odparł Brunetti.

Jakby kończąc jego zdanie, Foa powiedział:

– Dorsoduro 3429.

– Skąd to wiesz?

– Mój szwagier mieszka z rodziną w sąsiednim budynku, więc to musi być ten adres – wyjaśnił pilot.

– Przez chwilę się obawiałem, że porucznik wydał nowe zarządzenie i kazał wam się nauczyć na pamięć wszystkich adresów w mieście.

– Każdy, kto dorastał na łodziach, będzie wiedział, gdzie się co znajduje. To lepsze niż GPS – odparł Foa i postukał się palcem w czoło. Oderwał się od barierki i skierował do łodzi, ale zatrzymał się w pół kroku i odwrócił do Brunettiego.

– Wie pan, co się z nimi stało?

– Z czym? – spytał zaskoczony Brunetti.

– Z GPS-ami.

– Jakimi GPS-ami?

– Tymi, które zostały zamówione dla łodzi – odparł Foa.

Brunetti stał i czekał na wyjaśnienia.

– Rozmawiałem z Martinim kilka dni temu – ciągnął Foa. Miał na myśli funkcjonariusza odpowiedzialnego za zaopatrzenie, to do niego należało się zgłaszać, żeby naprawić radio lub dostać nową latarkę. – Pokazał mi fakturę i zapytał, czy wiem, jak te urządzenia się sprawdzają. Chodziło o model, który został zamówiony.

– Wiedziałaś? – zapytał Brunetti, zastanawiając się, skąd się wziął ten temat rozmowy.

– O, znamy ten model doskonale. Jest do niczego. Żaden z taksówkarzy nie chce z niego korzystać. Wiem tylko o jednym facecie, który kupił go na użytek własny, ale tak się wściekł, że pewnego dnia zerwał go z szyby łodzi i wyrzucił za burtę. – Foa zrobił kilka kroków w stronę łodzi i znowu się zatrzymał. – To właśnie powiedziałem Martiniemu.

– I co on zrobił?

– A co mógł zrobić? Zamówienie zostało złożone przez jakąś centralę w Rzymie, ktoś tam musiał dostać coś w zamian za to zamówienie, a ktoś inny

dostał coś za jego akceptację. – Pilot wzruszył ramionami i wszedł do łodzi.

Komisarz podążył za nim, zdziwiony, że Foa postanowił mu o tym opowiedzieć, skoro wiedział, że Brunetti także nie może nic w tej sprawie zrobić. Tak już był urządzony ten świat.

Foa uruchomił silnik.

– Martini mówił mi, że faktura została wystawiona na tuzin urządzeń – powiedział, z wyraźnym naciskiem na tę liczbę.

– Mamy przecież tylko sześć łodzi? – zapytał Brunetti, a Foa nawet nie próbował odpowiadać. – Jak dawno to było?

– Kilka miesięcy temu. Chyba jakoś w zimie.

– Wiesz, czy w ogóle tutaj trafiły? – zapytał Brunetti.

Foa uniósł podbródek i cmoknął językiem; mógłby być Arabem z ulicy, tak bardzo Brunettiemu ten gest skojarzył się ze sposobem, w jaki oni wyrażali lekceważenie dla spraw absurdalnych.

Brunetti znalazł się na znajomym rozdrożu, gdzie mógł pójść przed siebie po to tylko, żeby się cofnąć, mógł skrócić w bok albo w wygodnym miejscu po prostu zamknąć oczy i w ogóle się nie ruszać. Gdyby porozmawiał z Martinim i dowiedział się, że urządzenia z GPS-em zostały zamówione i opłacone, ale nie trafiły na stan komendy, napytałby sobie biedy. Mógł przyjrzeć się tej sprawie prywatnie i pewnie zapobiec w przyszłości marnotrawieniu środków publicznych. Albo też mógł po prostu to zignorować i zająć się rzeczami ważniejszymi lub takimi, na które dawało się coś poradzić.

– Myślisz, że to już początek wiosny? – zapytał pilota.

Foa odwrócił wzrok i uśmiechnął się; rozumieli się doskonale.

– Wydaje mi się, że to możliwe. Mam taką nadzieję. Sprzykrzyły mi się zimno i mgła.

Gdy skręcili na *bacino* i spojrzeli przed siebie, obaj głośno westchnęli. Nie było w tym nic teatralnego, nie zamierzali robić sceny lub manifestować poglądów. Wyrazili po prostu ludzką reakcję na to, co niemożliwe i nie z tego świata. Przed nimi wznosiła się rufa jednego z największych i najnowszych promów wycieczkowych. Gigantyczna tylna ściana piętrzyła się beczelnie przed nimi, jakby domagała się komentarzy.

Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć pięter. Czy to możliwe? Z ich miejsca

prom zasłaniał miasto, światło i wszelkie myśli o rozsądku, sensie lub stosowności. Wlekli się za statkiem, patrząc na piętrzące się za nim fale, które powoli wlewały się w *rivas*, jedna za drugą. Na litość boską, jak bardzo napór tej spiętrzonej wody miałyby szkodzić kamieniom i wiekowej zaprawie utrzymującej je na miejscu! Raptem powietrze przestało się nadawać do oddychania, gdy kapryśny podmuch wiatru przyniósł na moment odór spalin. Potem wypełniło się równie nagle wiosenną słodyczą, pączkami i młodymi liśćmi, świeżą trawą i nieskrępowaną radością natury, która powracała, by dać kolejne przedstawienie.

Widzieli, wiele metrów ponad sobą, ludzi stojących na pokładzie i obracających się jak słoneczniki, by podziwiać urodę Piazza, kopuły i wieżę dzwonnicy. Po drugiej stronie pojawił się tramwaj wodny, płynący w przeciwnym kierunku, a jego pasażerowie, bez wątpienia weneccjanie, wygrażali pasażerom promu zaciśniętymi pięściami, ale turyści patrzyli w inną stronę i nie zauważali tych przyjaznych tubylców. Brunetti pomyślał o kapitanie Cooku, ściągniętym z pokładu statku, ugotowanym i zjedzonym przez innych przyjaznych tubylców.

– Dobrze by było – powiedział półgłosem.

Kawałek dalej, przy *riva Zattere*, Foa skręcił w prawo, wrzucił wsteczny, a potem jałowy bieg, żeby zatrzymać powoli łódź. Złapał linę cumowniczą, wyskoczył na chodnik i szybko zawiązał węzeł. Schylił się, żeby podać Brunettiemu rękę i pomóc mu utrzymać równowagę przy wysiadaniu.

– To pewnie trochę potrwa – powiedział Brunetti. – Możesz wracać do komendy.

Ale Foa nie słuchał go, nie odrywał spojrzenia od rufy promu, który powoli sunął w stronę doków przy San Basilio.

– Czytałem – zaczął Brunetti w dialekcie weneckim – że nie można podjąć żadnej decyzji w ich sprawie, dopóki wszystkie instytucje nie wydadzą jednomyślnej opinii.

– Wiem – odparł Foa, nadal wpatrując się w statek. – Magistrato alle acque, Regione, rada miejska, kapitanat portu, jakieś ministerstwo w Rzymie... – Urwał, wciąż zahipnotyzowany widokiem promu, który oddalał się, ale wydawał się tak samo wielki. W końcu Foa doszedł do siebie i zaczął wymieniać nazwiska wybranych członków tych instytucji.

Brunetti znał wielu z nich, chociaż nie wszystkich. Gdy Foa doszedł do nazwisk trzech byłych urzędników miejskich najwyższej rangi, wymawiał je z mocą, jakiej używa stolarz, wbijający ostatnie gwoździe w wieko trumny.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, po co się tak dzieli różne rzeczy – powiedział Brunetti.

Ostatecznie Foa pochodził z rodziny, która żyła nad laguną i z laguny: rybaków, handlarzy ryb, żeglarzy, pilotów i mechaników ACTV. Rodzinie Foa brakowało tylko skrzeli. Jeśli ktoś miałby rozumieć biurokrację oplatającą życiodajne dla miasta wody, byłiby to właśnie tacy ludzie.

Foa uśmiechnął się do niego jak nauczyciel do szczególnie tępego ucznia: życzliwie, cierpko i z wyższością.

– Myśli pan, że osiem oddzielnych komitetów podejmie kiedykolwiek wspólną decyzję?

Brunetti spojrział na pilota, jakby właśnie przeżył olśnienie.

– A tylko wspólna decyzja mogłaby powstrzymać promy – powiedział.

Ta konkluzja sprawiła, że Foa uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– W ten sposób mogą rozważać sprawę ciągle od nowa – powiedział, nie kryjąc podziwu dla genialnej myśli, by rozdzielić decyzje pomiędzy tak wiele organów państwowych. – Zarabiać na swoje pensje, jeździć służbowo do innych krajów, by zapoznać się z tamtejszymi rozwiązaniami, organizować zebrania dla omówienia projektów i planów. Albo też zatrudniać żony i dzieci jako konsultantów – zakończył, nawiązując do niedawnego artykułu w „Il Gazzettino”.

– Oraz zgarniać drobne podarki, które mogą skapywać ze stołów firm będących właścicielami promów – podsunął Brunetti, chociaż wiedział, że wypowiadając te słowa daje nie najlepszy przykład członkom służby mundurowej.

Foa znów uśmiechnął się cieplej, ale powiedział tylko, wskazując wąski kanał:

– Proszę iść tamtędy. To będą zielone drzwi tuż przed mostem.

Brunetti machnął, żeby podziękować za odwiezienie go tutaj i za wskazówki. Chwilę później usłyszał, że silnik ożywa, a gdy się odwrócił, zobaczył policyjną łódź wypływającą na środek kanału szerokim łukiem w kierunku, z którego

przybyli.

Brunetti zauważył, że chodnik jest mokry, a pod ścianami budynków utworzyły się duże kałuże. Zaintrygowany wrócił na krawędź *riva* i spojrzał na wodę, ale jej poziom był o ponad półtora metra poniżej niego. Trwał odpływ, nie było *acqua alta*, a deszcz nie padał od wielu dni, więc ta woda mogła się dostać na chodnik tylko z powodu przepływającego statku. A oni – on i inni mieszkańcy miasta, których władze administracyjne uważały za idiotów – mieli uwierzyć, że te promy nie szkodzą w żaden sposób tkance miasta.

Czy większość z tych, którzy podejmowali decyzje, nie była weneccjanami? Nie urodzili się w tym mieście? Ich dzieci nie chodziły do szkół i na uczelnie? Na zebraniach mówili pewnie w dialekcie weneckim.

Wydawało mu się, że gdy zbliży się do biblioteki, powrócą wspomnienia, ale otoczenie nie chciało okazać się znajome. Nie mógł sobie też przypomnieć, czy Merula, przebywając w Wenecji, mieszkał w tym *palazzo* – to byłoby zadanie dla Archivio Storico, nie dla policji, której kartoteki nie sięgały tysiąc lat w przeszłość.

Gdy Brunetti przeszedł przez otwarte zielone drzwi, powiedział sobie, że to znajomy widok, chociaż tak naprawdę mógłby patrzeć na dowolny z renesansowych dziedzińców w mieście, z zewnętrznymi schodami prowadzącymi na piętro oraz studnią z kutą kopułą. Jego uwagę zwróciły wspaniale zachowane płaskorzeźby, bezpieczne wewnątrz tych murów. Pary tłustych aniołków podtrzymywały herb, którego nie rozpoznawał. Skrzydła niektórych aniołków wymagałyby konserwacji, ale reszta płaskorzeźby była w doskonałym stanie. Brunetti zgadywał, że pochodziła z czternastego wieku – studnię tuż pod metalową pokrywą otaczała girlanda rzeźbionych kwiatów i zaskoczyło go, że pamiętał doskonale właśnie ten detal, chociaż prawie nic poza tym.

Skierował się w stronę zapamiętanych schodów, których szeroką marmurową poręcz urozmaicały rzeźbione łby lwów, każdy wielkości ananasa. Wszedł po schodach i poklepał po drodze dwa lwy po głowach. Na pierwszym piętrze zobaczył drzwi, a obok nich nową mosiężną tablicę: „Biblioteca Merula”.

Wszedł do środka i ogarnął go chłód. O tej porze, po południu, dzień stał się ciepły, a Brunetti żałował wcześniej, że włożył wełnianą marynarkę, ale teraz czuł, że pot wysycha mu na plecach.

W niedużym holu, za kontuarem, siedział młody mężczyzna z modnym dwudniowym zarostem, przed sobą trzymał otwartą książkę. Spojrzał na Brunettiego, uśmiechnął się, a gdy komisarz podszedł bliżej, zapytał:

– Czym mogę panu służyć?

Brunetti wyjął z portfela legitymację.

– Ach tak, oczywiście – powiedział młody człowiek. – Chce się pan spotkać z dottoressą Fabbiani. Jest na górze.

– Czy nie tutaj mieści się biblioteka? – zapytał Brunetti, wskazując drzwi za mężczyzną.

– To zbiory współczesne. Starodruki są na górze. Musi pan wejść na drugie piętro. – Zauważył zaskoczenie Brunettiego. – Wszystko się zmieniło jakieś dziesięć lat temu. Na długo, zanim tu przyszedłem – dodał z uśmiechem.

– I na długo po tym, jak ja tu byłem – odparł Brunetti i wrócił na schody.

Tutaj nie było lwów, Brunetti przesunął ręką po ściętej na ukos marmurowej poręczy, wygładzonej przez stulecia użytkowania. Na górze odnalazł drzwi z dzwonkiem po prawej stronie. Zadzwoił, a po chwili drzwi otworzył mężczyzna młodszy od niego o kilka lat, ubrany w ciemnoniebieską marynarkę z miedzianymi guzikami, krojem przypominającą mundur. Był średniego wzrostu, krępy, miał niebieskie oczy i wąski nos, minimalnie przekrzywiony na bok.

– Czy to pan jest komisarzem? – zapytał.

– Tak – odparł komisarz i podał mu rękę. – Guido Brunetti.

Mężczyzna uścisnął szybko jego rękę.

– Piero Sartor – przedstawił się.

Zrobił krok w tył, żeby wpuścić Brunettiego do pomieszczenia, które przypominało hol małej, prowincjonalnej stacji kolejowej. Na sięgającym do pasa drewnianym kontuarze po lewej stronie stał komputer i dwie drewniane tacki na dokumenty. Pod ścianą, za kontuarem, czekał wózek biblioteczny ze stosem książek, wyglądających na bardzo stare.

Mógł tu być komputer, nieobecny w bibliotekach, z których Brunetti korzystał jako student, ale zapach pozostał ten sam. Stare książki zawsze budziły w Brunettim nostalgię za czasami, w których nie miał okazji żyć. Teraz myślał o tym, że te książki były drukowane na papierze zrobionym ze starych,

ubijanych, namaczanych i znowu ubijanych podartych ubrań, na papierze ręcznie uformowanym w wielkie arkusze, które potem składano, oprawiano i zszywano ręcznie, a wszystko po to, by utrwalić i zapamiętać, kim byliśmy i co myśleliśmy. Przypomniawszy sobie, że uwielbiał ich dotykać i czuć ich ciężar, ale pamiętał przede wszystkim suchy, lekki zapach, dzięki któremu przeszłość próbowała się stać dla niego rzeczywista.

Mężczyzna zamknął drzwi i odwracając się do Brunettiego, wyrwał go z zamyślenia.

– Jestem tu strażnikiem. To ja znalazłem książkę. – Starał się bezskutecznie ukryć dumę w głosie.

– Tę zniszczoną? – zapytał Brunetti.

– Tak. To znaczy ja przyniosłem książkę z czytelnicy, a gdy dottoressa Fabiani ją otworzyła, spostrzegła, że zostały z niej wycięte strony. – Dumę zastąpiło oburzenie i uczucie zbliżone do gniewu.

– Rozumiem – powiedział Brunetti. – Czy tym się właśnie pan zajmuje, przynosi pan książki z powrotem tutaj? – spytał, ciekaw, co należy do obowiązków strażnika w takiej instytucji. Zakładał, że właśnie funkcja strażnika sprawiała, że Sartor był wyjątkowo otwarty w rozmowie z policją.

Mężczyzna rzucił mu nagle, ostre spojrzenie, które równie dobrze mogło być wyrazem zaniepokojenia, jak i zaskoczenia.

– Nie, ale to była książka, którą czytałem, przynajmniej częściowo, więc rozpoznałem ją od razu i wydawało mi się, że nie powinna tak leżeć na stole – wyjaśnił pośpiesznie. – To był Cortés, ten Hiszpan, który popłynął do Ameryki Południowej.

Sartor wyraźnie nie wiedział, jak to wyjaśnić, więc zaczął mówić wolniej.

– On z wielkim entuzjazmem podchodził do czytanych książek, tak że zaciekawiał mnie nimi i pomyślałem, że może rzucę okiem. – Zainteresowanie Brunettiego musiało być widoczne gołym okiem, bo strażnik ciągnął dalej: – Był Amerykaninem, ale doskonale mówił po włosku, nie domyśliłby się pan. Często rozmawialiśmy, kiedy ja byłem na stanowisku, a on czekał na książki. – Umilkł na chwilę, ale podjął temat, gdy zobaczył wyraz twarzy Brunettiego. – Mamy po południu przerwę, ale ja nie palę i nie mogę pić kawy – wyjaśnił. – Żołądek. Szkodzi mi. Piję zieloną herbatę, ale w okolicznych kawiarniach jej

nie ma, w każdym razie takiej, jakiej bym się napił. – Zanim Brunetti zdążył zapytać, czemu Sartor mówi mu to wszystko, strażnik powiedział: – Dlatego mam wolne pół godziny i niewiele wtedy do roboty, więc zacząłem czytać. Czasem ludzie, którzy przychodzą tutaj pracować, mówią coś o książkach i zdarza się, że próbuję je czytać. – Uśmiechnął się nerwowo, jakby był świadomy, że przekracza w ten sposób jakąś barierę społeczną. – Dzięki temu mam coś ciekawego do opowiedzenia żonie, gdy wracam do domu.

Brunetti zawsze miał szczególne upodobanie do zaskakujących informacji o różnych ludziach: robili i mówili kompletnie nieoczekiwane rzeczy, zarówno dobre, jak i złe. Kolega z pracy powiedział mu kiedyś, że gdy jego żona rodziła przez siedemnaście godzin pierwsze dziecko, zaczął mieć dość jej narzekania, a Brunetti musiał się powstrzymać, by go nie spoliczkować. Teraz pomyślał o żonie sąsiada, której kot był każdej nocy wypuszczany przez kuchenne okno, by włóczyć się po okolicznych dachach, i wracał co rano, niosąc w pyszczku zamiast myszy klamerkę do bielizny. Ten prezent przypominał mu interesujące historie, zabierane przez Sartora do domu, dla żony.

Brunetti, zaciekawiony tym, co strażnik może mieć do powiedzenia, zapytał:

– Hernán Cortés?

– Tak – odparł Sartor. – Zdobył to miasto w Meksyku, nazywane Wenecją Zachodu. – Urwał i dodał, być może obawiając się, że Brunetti uzna go za głupca: – Tak je nazywali Europejczycy, nie Meksykanie.

Brunetti skinął głową na znak, że zrozumiał.

– Zaciekawilo mnie to, chociaż on zawsze dziękował Bogu, kiedy zabił mnóstwo ludzi, a to mi się nie podobało; jednakże wspomniał o tym w listach do króla, więc może musiał pisać takie rzeczy. Ale to, co miał do powiedzenia o kraju i jego mieszkańcach, było fascynujące. Moja żona także się tym zainteresowała.

Popatrzył na Brunettiego, którego uśmiech, pełen aprobaty dla pokrewnej duszy czytelnika, wystarczył, by zachęcić go do kontynuowania.

– Podobało mi się to, jak bardzo wszystko wtedy było inne niż teraz. Czytałem kawałki i chciałem dokończyć. W każdym razie rozpoznałem tytuł, *Relación*, kiedy zobaczyłem książkę na miejscu, gdzie on zwykle siedział, i zabrałem ją na dół, ponieważ uznałem, że taka książka nie powinna tam leżeć.

Brunetti zakładał, że nieznany „on” był mężczyzną podejrzanym o wycięcie stron z książki, więc zapytał:

– Dlaczego przyniósł ją pan na dół, skoro on pracował z tą książką?

– Riccardo, z pierwszego piętra, powiedział mi, że kiedy poszedłem na obiad, widział go schodzącego po schodach. Nigdy wcześniej tego nie robił. Zawsze przychodził zaraz po otwarciu biblioteki i zostawał do popołudnia. – Strażnik zastanowił się nad tym przez chwilę. – Nie wiem, co robił z obiadem; mam nadzieję, że nie jadł tam – dodał z autentycznym niepokojem. Potem, jakby zawstydzony, że przyznaje się do tego, powiedział: – Dlatego poszedłem na górę, by zobaczyć, czy zamierza wrócić.

– Skąd miałby pan to wiedzieć? – zapytał Brunetti, szczerze zainteresowany. Sartor uśmiechnął się lekko.

– Jeśli ktoś pracuje dłużej w takim miejscu, *signore*, zaczyna rozpoznawać znaki. Żadnych ołówków, żadnych zakładek, żadnego notesu. Trudno to wyjaśnić, ale po prostu wiem, czy ktoś już skończył pracę na dany dzień, czy też nie.

– A on skończył?

Strażnik pokiwał energicznie głową.

– Książki były ułożone w stos przy miejscu, gdzie siedział. Światło przy jego stoliku było zgaszone. Dlatego wiedziałem, że nie wróci, i zabrałem książkę na dół, do stanowiska obsługi.

– Czy to było coś niezwykłego?

– W jego przypadku tak. Zawsze sprzątał wszystko i sam odnosił książki.

– O której godzinie wyszedł?

– Nie wiem dokładnie. Zanim wróciłem o wpół do trzeciej.

– A potem?

– Tak jak mówiłem, kiedy Riccardo powiedział mi, że on wyszedł, wszedłem na górę, żeby to sprawdzić i zobaczyć, co z książkami.

– Czy zwykle pan tak robi? – zapytał z ciekawością Brunetti. Gdy zadał to pytanie, strażnik po raz pierwszy zaczął sprawiać wrażenie zaniepokojonego.

– Raczej nie, ale wcześniej byłem pracownikiem magazynu, przynosiłem książki czytelnikom i odstawiałem je na półki. Zrobiłem to tak trochę

odruchowo. – Uśmiechnął się bardzo naturalnie. – Nie mogę znieść widoku książek poniewierających się na stołach, jeśli nikt z nich nie korzysta.

– Rozumiem – odparł Brunetti. – Proszę mówić dalej.

– Zabrałem książki na dół, do wypożyczalni. Dottoressa Fabbiani właśnie wracała z zebrania, zobaczyła Cortésa i postanowiła rzucić na niego okiem, a kiedy go otworzyła, zobaczyła, co się stało. – Strażnik dodał wolniej, prawie jakby mówił do siebie samego: – Nie rozumiem, jak on mógł to zrobić. Zwykle w sali jest więcej niż jedna osoba.

Brunetti zignorował to.

– Dlaczego otworzyła właśnie tę książkę? – zapytał.

– Powiedziała, że czytała ją, kiedy była na studiach, i była zachwycona rycinami miasta. Dlatego ją wzięła, żeby do niej zajrzeć. – Zastanowił się przez chwilę. – Mówiła, że cieszy się, że widzi tę książkę po tylu latach. – Strażnik zauważył wyraz twarzy Brunettiego. – Wie pan, osoby, które tu pracują, tak właśnie podchodzą do książek.

– Powiedział pan, że zwykle w sali jest więcej osób? – zapytał bez nacisku Brunetti.

Sartor skinął głową.

– Zwykle jest jakiś naukowiec albo dwóch, poza tym jest ten mężczyzna, który od trzech lat czyta Ojców Kościoła. Nazywamy go Tertulianem; to była pierwsza książka, którą zamówił, i jakoś to do niego przyłgnęło. Przychodzi tutaj codziennie, więc chyba po trochu zaczęliśmy na nim polegać, jakby był strażnikiem.

Brunetti zaniechał pytania o kwestię doboru lektur przez Tertuliana. Uśmiechnął się tylko i powiedział:

– Mogę to zrozumieć.

– Co takiego?

– Że ufacie komuś, kto przez całe lata czyta Ojców Kościoła.

Mężczyzna uśmiechnął się nerwowo w odpowiedzi na ton głosu Brunettiego.

– Być może byliśmy nieostrożni – przyznał. Gdy Brunetti nie odpowiadał, dodał: – Chodzi mi o zabezpieczenia. Do biblioteki przychodzi niewielu czytelników, więc chyba po jakimś czasie zaczynają nam się wydawać znajomi.

Dlatego przestajemy być podejrzliwi.

- To niebezpieczne – pozwolił sobie na uwagę Brunetti.
- Mówiąc bardzo łagodnie – rozległ się za nim kobiecy głos, więc się odwrócił, by przywitać się z dottoressą Fabbiani.

Była wysoka i szczupła, na pierwszy rzut oka przypominała smukłego ptaka jednego z tych brodzących, niegdyś tak pospolitych na lagunie. Podobnie jak one, miała srebrzystoszarą głowę, z włosami przystrzyżonymi bardzo krótko, i jak one pochylała się do przodu, gdy stała, wyginając plecy i zaplatając z tyłu ręce, z dłonią zaciśniętą na nadgarstku drugiej dłoni. Tak samo jak te ptaki miała długie nogi zakończone szerokimi czarnymi stopami.

Zbliżyła się do nich, uwolniła prawą rękę i wyciągnęła ją do Brunettiego.

– Patrizia Fabbiani – przedstawiła się. – Jestem tutaj dyrektorem.

– Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach, *dottoressa* – powiedział Brunetti, uciekając się do zdawkowej grzeczności, co zawsze uważał za najlepszą strategię aż do chwili, gdy zaczął mieć jakieś pojęcie o osobie, z którą miał do czynienia.

– Wyjaśniłeś już wszystko komisarzowi, Piero? – zapytała strażnika. Używała poufałego *tu*, ale tak, jakby rozmawiała z przyjacielem, a nie z podwładnym.

– Powiedziałem, że przyniosłem książkę na stanowisko, ale nie zauważyłem braku kartek – odparł. Nie zwrócił się do niej bezpośrednio, uniemożliwiając Brunettiemu stwierdzenie, czy tutaj wszystkim wolno mówić poufale do dyrektorki. Czegoś takiego można by się spodziewać w sklepie z obuwem, ale nie w bibliotece.

– A co z innymi książkami, z których korzystał? – zapytał Brunetti.

Dottoressa zamknęła oczy, a on wyobraził sobie, jak je otwiera i widzi brzeżki pozostałe po kartkach.

– Poprosiłam o przyniesienie ich, kiedy zobaczyłam pierwszą. Były jeszcze trzy. W jednej brakuje dziewięciu kartek.

Zakładał, że zrobiła to bez wkładania rękawiczek. Być może bibliotekarz skonfrontowany z książkami, które mogły zostać zniszczone, nie potrafiłby ich nie dotknąć, tak jak lekarz nie pozostałby obojętny na krwawiącą kończynę.

– Jak poważne są straty? – zapytał z nadzieją, że odpowiedź pomoże mu stwierdzić, z jaką skalą kradzieży ma do czynienia. Ludzie kradną rzeczy, ponieważ są cenne, ale Brunetti wiedział, że to określenie jest całkowicie względne, o ile nie chodzi o gotówkę. Wartość przedmiotu może być sentymentalna lub oparta na cenie rynkowej. W takim przypadku o kwocie decydują unikatowość i stan przedmiotu oraz popyt. Ale jak wycenić piękno? Ile kosztuje wartość historyczna? Rzucił okiem na książki na wózku pod ścianą, ale szybko odwrócił spojrzenie.

Fabbiani patrzyła prosto na niego, a on widział nie oczy ptaka brodzącego, ale oczy bardzo inteligentnej osoby, rozumiejącej, jak skomplikowana jest odpowiedź, jakiej mogłaby mu udzielić na to pytanie.

Wzięła kilka kartek ze stołu obok.

– Zaczęliśmy opracowywać listę książek, z których korzystał u nas, łącznie z tymi, które widziałam dzisiaj – powiedziała zamiast odpowiedzi, ignorując książki na wózku za swoimi plecami. – Gdy tylko poznamy wszystkie tytuły i sprawdzimy ich stan, będziemy wiedzieć, co jeszcze zabrał.

– Jak długo tutaj przychodził?

– Trzy tygodnie.

– Czy mógłbym zobaczyć książki, które już udało się znaleźć? – zapytał Brunetti.

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedziała. Zwróciła się do strażnika: – Piero, wywieś na drzwiach informację, że jesteśmy zamknięci. Z powodu problemów technicznych. – Popatrzyła na Brunettiego z uśmiechem pełnym goryczy. – To chyba całkiem prawdziwe wyjaśnienie.

Brunetti uznał za rozsądne nie odpowiadać.

Podczas gdy Piero wypisywał kartkę, dottoressa Fabbiani zapytała go:

– Czy jest ktoś jeszcze w czytelni?

– Nie. Dzisiaj był tylko Tertulian, ale on już wyszedł. – Strażnik wyjął z szuflady za kontuarem kartkę i rolkę taśmy, a potem podszedł do drzwi wejściowych.

– *Oddio* – mruknęła pod nosem dottoressa Fabbiani. – Zupełnie o nim zapomniałam. Prawie jakby był kimś z pracowników albo jednym z mebli. – Potrząsnęła głową, rozdrażniona swoim roztargnieniem.

– Kto to taki? – zapytał Brunetti, ciekaw, czy jej wyjaśnienia będą się zgadzać z tym, co mówił strażnik.

– Przychodzi tutaj czytać. Już od lat – odpowiedziała. – Czyta traktaty religijne i jest bardzo uprzejmy dla wszystkich.

– Rozumiem – stwierdził Brunetti i postanowił zignorować tę informację, przynajmniej na razie. – Czy może mi pani powiedzieć, co jest wymagane przy korzystaniu z państwa zbiorów?

Dyrektorka skinęła głową.

– To bardzo proste. Obywatele miasta muszą przedstawić *carta d'identità* i aktualny dowód zameldowania. Osoby spoza Wenecji, które chcą skorzystać z książek, muszą przynieść pisemny abstrakt ich projektu naukowego, rekomendację z placówki akademickiej lub innej biblioteki, oraz jakiś dowód tożsamości.

– Skąd wiedzą, że mogą tutaj prowadzić badania? – Zauważył, że dyrektorka go nie rozumie i uświadomił sobie, że niejasno sformułował pytanie. – Chodzi mi o to, skąd wiedzą, co jest w państwa zbiorach?

Jej zaskoczenie było zbyt wyraźne, by dało się ukryć.

– Wszystko jest online. Wystarczy, że wyszukają to, czego potrzebują.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Brunetti, zażenowany tym, że zadał tak głupie pytanie. – W moich szkolnych czasach ten system był inny. – Rozejrzał się wokół. – Wszystko było inne.

– Przychodził pan tutaj? – spytała zaciekawiona.

– Kilka razy, gdy byłem w *liceo*.

– A co pan czytał?

– Przede wszystkim książki historyczne. Klasyków rzymskich, czasem greckich. – Uznał, że wypada się przyznać, więc dodał: – Ale zawsze w przekładach.

– Do szkoły? – zapytała.

– Czasem – odparł. – Ale najczęściej dlatego, że mi się podobali.

Popatrzyła na Brunettiego, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale potem ruszyła w kierunku, gdzie w ocenie Brunettiego mieściło się zaplecze budynku.

Pamiętał swoje lata studenckie i całą wieczność spędzaną w bibliotekach. Znaleźć tytuł w katalogu, wypełnić podwójny rewers (maksymalnie na trzy książki), oddać rewers bibliotekarzowi, poczekać na książki, pójść do stolika i czytać, oddać książki po skończonej pracy. Pamiętał bibliografie, które studiował pilnie z nadzieją, że znajdzie w nich kolejne tytuły związane z tematem jego pracy. Czasem profesor wymieniał kilka przydatnych źródeł, ale to były rzadkie wyjątki; większość z nich strzegła posiadanych informacji, jakby uważała, że gdy udostępnią je studentom, na zawsze stracą nad nimi kontrolę.

– Czy te książki, które zamawiał Amerykanin, miały jakiś wspólny temat? – zapytał Brunetti.

– Podróże – odpowiedziała Fabbiani. – Weneccy odkrywcy Nowego Świata. – Zaszleściła papierami. – Przynajmniej taki był jego oryginalny temat. Po dwóch tygodniach zaczął zamawiać książki autorów, którzy nie byli wenecczami, a potem... – Urwała, żeby przyjrzeć się ostatniej trzymanej kartce. – Potem zaczął prosić o książki poświęcone historii naturalnej. – Spojrzała znowu na Brunettiego. – Mamy tutaj to wszystko – wyjaśniła.

– Ale co one mają ze sobą wspólnego? – zapytał Brunetti.

– Ilustracje – odparła, potwierdzając jego przypuszczenia. – Mapy, ryciny miejscowych gatunków sporządzane przez odkrywców i artystów, którzy z nimi płynęli. Wiele z nich to akwarele zrobione na potrzeby druku. – Jakby zaskoczona tym, co właśnie powiedziała, uniosła dłoń znad papierów do ust i zamknęła oczy.

– Co się stało?

– Merian – powiedziała, zaskakując go całkowicie. Stała jak skamieniała tak długo, że Brunetti zaczął się obawiać, czy kobieta nie dostanie za chwilę udaru. W końcu zobaczył, że się odprężyła: opuściła rękę i otworzyła oczy.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał.

Skinęła głową.

– O co chodziło? – zapytał Brunetti, pilnując się, by nie wykonać żadnego ruchu w jej kierunku.

– O książkę.

– Jaką?

– Książkę z rycinami pewnej Niemki – wyjaśniła, a jej głos zaczął powoli odzyskiwać spokój. – Mamy jeden egzemplarz. Obawiałam się, że mógł dostać go w swoje ręce, ale – właśnie sobie to przypomniałam – został wypożyczony do innej biblioteki. – Zamknęła oczy i wyszeptała: – Dzięki Bogu.

Brunetti odczekał dłuższą chwilę, zanim odważył się zapytać:

– Czy mają państwo jego kartę biblioteczną?

– Tak – odparła z uśmiechem, jakby była wdzięczna za zmianę tematu. – Jest w moim gabinecie. A także list z rekomendacją z jego uniwersytetu, omawiający jego badania, oraz ksero paszportu. – Odwróciła się i przeszła przez pokój.

Przy drzwiach użyła plastikowej karty czipowej, którą nosiła na długim pasku na szyi. Brunetti wszedł za nią i zamknął drzwi. Fabbiani poprowadziła go długim korytarzem, oświetlonym tylko sztucznym światłem.

Na końcu korytarza znowu użyła karty i wpuściła ich do obszernej sali wypełnionej rzędami regałów, stojącymi tak blisko, że tylko jedna osoba mogła się między nimi zmieścić. Tutaj, w środku, zapach był mocniejszy. Brunetti zastanawiał się, czy osoby, które tu pracują, przestają go czuć po pewnym czasie. Tuż za drzwiami dottoressa włożyła parę białych bawełnianych rękawiczek, wyjąwszy je uprzednio z kieszeni.

– Nie miałam czasu, by zajrzeć do pozostałych książek, z których korzystał, tylko do tych, które zostawił dzisiaj – powiedziała. – Część z nich jest tutaj. Możemy je obejrzeć teraz.

Spojrzała na początek listy, a potem skręciła w lewo i podeszła do trzeciego rzędu półek. Nawet nie patrząc na grzbiety książek, zatrzymała się w połowie i pochyliła, by wyjąć tom z dolnej półki.

– Wie pani, gdzie wszystko jest? – zapytał Brunetti z końca przejścia.

Wróciła i położyła książkę na stole koło niego. Pochyliła się, żeby otworzyć szufladę i wyjąć parę bawełnianych rękawiczek, które mu podała.

– Prawie wszystko. Jestem tutaj od siedmiu lat. – Popatrzyła na kartkę i znowu machnęła ręką w stronę końca tego samego regału. – Jestem pewna, że przeszłam setki kilometrów w tym magazynie.

Przypomniał sobie policjanta z Neapolu, którego poznał w czasach, gdy był tam przydzielony. Policjant powiedział kiedyś, że w ciągu dwudziestu siedmiu

lat służby przeszedł co najmniej pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, czyli znacznie więcej, niż wynosi obwód Ziemi. W obliczu oczywistego niedowierzania Brunettiego wyjaśnił, że obliczał to na podstawie dziesięciu kilometrów, które przemierzał każdego dnia w pracy przez dwadzieścia siedem lat. Teraz Brunetti spojrzał w przejście między regałami i spróbował oszacować jego długość. Pięćdziesiąt metrów? Więcej?

Towarzyszył dyrektorce przez dwadzieścia minut, przechodząc z nią z sali do sali z coraz większym naręczem książek. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że zwraca już o wiele mniejszą uwagę na ich zapach. W pewnym momencie Fabbiani zatrzymała go przy stole i odłożyła książki, zanim ruszyli dalej. Stała się jego Ariadną, prowadzącą go przez labirynt książek, zatrzymującą się tu i tam, by podać mu kolejną z nich. Brunetti szybko stracił orientację: wiedział, gdzie się znajduje, tylko jeśli okno wychodziło na Giudeccę; sąsiednie budynki, które widział przez okna, nie dostarczały mu żadnych wskazówek.

W końcu dottoressa podała mu jeszcze dwie książki i wróciła na pierwszą stronę listy, dając znak, że skończyła.

– Możemy równie dobrze przyjrzeć się im tutaj – stwierdziła i poprowadziła Brunettiego z powrotem do stołu z książkami. Zaczekał, aż weźmie z jego ramion ostatnie tomy i ułoży je na blacie.

Zaczynając od pierwszego stosu, dottoressa wzięła książkę z wierzchu i otworzyła ją. Brunetti podszedł bliżej i zobaczył wyklejkę oraz kartę przedtytułową. Gdy Fabbiani przewróciła kartkę, zobaczył po prawej stronie tytułową. Z brakującego frontyspisu pozostał tylko sztywny pasek papieru. Chociaż ten wąski brzeżek w niczym nie przypominał rany, Brunetti nie potrafił powstrzymać myśli, że ta książka ucierpiała.

Usłyszał westchnienie Fabbiani. Zamknęła książkę i odwróciła ją, by spojrzeć od spodu na strony, bez wątpienia w poszukiwaniu luk w grubym papierze. Ponieważ rękawiczki odbierały jej dłoniom sprawność, odłożyła książkę, zdjęła je i zaczęła powoli kartkować wolumin. Niebawem natrafiła na strzęp kolejnej wyciętej karty, a potem jeszcze jednej i jeszcze jednej, aż znalazła się na końcu książki.

Odłożyła ją na bok i wzięła następną. Tutaj także brakowało frontyspisu oraz jeszcze siedmiu kartek. Zamknęła książkę i położyła ją na poprzedniej. Gdy pochyliła się, by wziąć kolejny tom, Brunetti zobaczył, że coś spadło na

czerwoną skórzaną okładkę, zmieniając jej kolor z różowawego na burgundowy. Wytarła to krawędzią dłoni.

– Ależ głupi jesteśmy – powiedziała do siebie.

Był ciekaw, kogo miała na myśli: ludzi, którzy to zrobili, czy ludzi, których niedbałość pozwoliła, by do tego doszło?

Stali obok siebie, gdy Fabbiani przeglądała, jeśli dobrze liczył, jeszcze dwadzieścia sześć książek. Wszystkie oprócz dwóch miały wycięte karty.

Odłożyła ostatnią książkę na bok i pochyliła się do przodu, opierając dłonie na krawędzi blatu.

– Brakuje też niektórych książek. – Dodała jednak, przypominając mu o sposobie, w jaki ludzie często nie chcą zaakceptować najpewniejszej diagnozy: – Ale może po prostu zostały źle odstawione.

– Czy to jest możliwe? – zapytał Brunetti.

Spojrzała na książki leżące przed nią.

– Gdyby mnie pan o to zapytał wczoraj, powiedziałabym, że nic z tego nie jest możliwe.

– Co zginęło? – zapytał, jawnie dając wyraz temu, że nie wierzy w możliwość pomylenia miejsca. – Książki, które zamawiał?

– Nie, właśnie to jest dziwne. Ale to także książki podróżnicze.

– Jakie? – zapytał Brunetti, chociaż nie przypuszczał, by rozpoznał choć jedną z nich.

– Niemiecki przekład Ramusia, *Delle Navigazioni et Viaggi*, a także łacińskie wydanie Montalboddo, *Paesi noua*, z tysiąc pięćset ósmego roku. – Mówiła do niego tak jak do innego bibliotekarza lub archiwisty, zakładając, że będzie znał te książki i miał pojęcie o ich wartości.

Zauważyła, że Brunetti jej nie rozumie, i wyjaśniła:

– Montalboddo to zbiór relacji różnych podróżników. Ramusio opracował podobny zbiór łączący różne teksty.

Brunetti wyjął notes, zapisał autorów i tytuły tak, jak je usłyszał. Pięćsetletnie tomy, a ktoś po prostu wszedł tutaj i je wyniósł.

– *Dottoressa* – powiedział, wracając do bardziej palącego problemu. – Chciałbym, żeby pokazała mi pani informacje, jakie mają państwo o tym

mężczyźnie.

– Oczywiście – odparła. – Mam nadzieję... mam nadzieję... – zaczęła, ale zapomniała dokończyć zdanie i urwała w pół słowa.

– Czy może pani dopilnować, by nikt więcej nie dotykał tych książek? – poprosił Brunetti. – Moi ludzie przyjdą tutaj później, żeby zebrać odciski palców. Jeśli uda nam się postawić kogoś przed sądem, będą potrzebne dowody.

– Jeśli? – zapytała. – Jeśli?

– Musimy go znaleźć i musimy mieć dowód, że to on zabrał strony.

– Ale my wiemy, że to on zrobił – powiedziała, patrząc na Brunettiego, jakby uważała, że postradał zmysły. – To oczywiste.

Brunetti nic nie powiedział. Oczywiście było czasami niemożliwe do udowodnienia, a to, co ludzie uważali za prawdę, często okazywało się nieprzydatne dla sędziego; szczególnie w przypadku braku dowodów. Nie chciał być zmuszony do wyjaśniania jej tego. Przybrał obojętny wyraz twarzy i machnął ręką w stronę drzwi.

Przeszedł razem z dyrektorką korytarzem do jej gabinetu. Na biurku leżała niebieska kartonowa teczka, którą Fabbiani podała mu bez słowa, a potem podeszła i stanęła koło jednego z trzech okien z widokiem na kościół Il Redentore. Brunetti zastanawiał się, czy ktokolwiek zdoła odzyskać dla niej te książki. Otworzył teczkę na biurku i zaczął czytać zawartość.

Joseph Nickerson, urodzony w Michigan trzydzieści sześć lat temu, obecnie zamieszkały w Kansas. Tyle dowiedział się z paszportu; zdjęcie powiedziało mu, że mężczyzna miał jasne włosy i oczy, prosty nos odrobinę za duży w porównaniu do reszty twarzy i mały dołeczek w podbródku. Jego twarz była neutralna, odprężona. To twarz człowieka niemającego żadnych tajemnic, kogoś, obok kogo można by usiąść w samolocie na krótkiej trasie i rozmawiać o sporcie albo o tym, jak okropne rzeczy dzieją się w Afryce. Ale nie o zabytkowych książkach, uświadomił sobie Brunetti.

Nickerson mógł mieć pochodzenie anglosaskie lub nordyckie, z pewnością mógł zmienić wygląd, nosząc okulary i zapuszczając włosy, a może także brodę. Miał tak niewiele cech charakterystycznych, że trudno byłoby przypomnieć sobie cokolwiek poza jego szczerym, otwartym spojrzeniem.

To podpowiadało Brunettiemu, że ten mężczyzna był profesjonalistą i miał

wrodzoną cechę, charakteryzującą ludzi cieszących się największym zaufaniem: wygląd sugerujący wrodzoną uczciwość. Nigdy by się nie przechwalał, nie twierdziłby kategorycznie, co jest dobre, a co złe, ale jego zachowanie, zaufanie, jakie pokładał w rozmówcy, i nieskrywane zainteresowanie tym, co ktoś ma mu do powiedzenia, oraz ciekawość, by dowiedzieć się więcej, obdarzały go nieodpartym urokiem. Brunetti znał dwóch podobnych mężczyzn i nawet w czasie przesłuchania zaczynał wątpić w to, co było stwierdzonymi o nich faktami. Przez lata zaczął to postrzegać jako dar, taki jak wyjątkowa uroda lub inteligencja. Niektórzy po prostu rodzili się z tym i mogli to wykorzystać jak chcieli.

Dotknął lekko rogu kartki, przesunął ją w lewo i przeczytał następną. List z rekomendacją został napisany przez rektora Uniwersytetu Kansas w Lawrence w stanie Kansas i stwierdzał, że Joseph Nickerson jest asystentem w katedrze historii Europy, specjalizuje się w historii handlu morskiego i śródziemnomorskiego, i prowadzi wykłady na ten temat. Rektor wyrażał nadzieję, że biblioteka udostępni Nickersonowi swoje zbiory, i podpisał dokument nieczytelną parafką.

Brunetti podniósł list za górne rogi i spojrzął pod światło wpadające przez okno. Nagłówek został wydrukowany na papierze, być może przez tę samą drukarkę, która wyprodukowała ten list. Cóż, mógł to zrobić praktycznie każdy. O ile pamiętał, Kansas leżało gdzieś pośrodku Ameryki, przypominał sobie mgliście, że to po lewej od Iowa, ale zdecydowanie w głębi kontynentu. Historia handlu morskiego i śródziemnomorskiego?

– Będę chciał to zabrać ze sobą – powiedział. – Ma pani może jego adres albo włoski numer telefonu?

Dottoressa Fabbiani odwróciła się, przerywając kontemplację kościoła.

– Nie, jeśli tam ich nie ma. Wymagamy ich podania tylko w przypadku mieszkańców Wenecji, którzy korzystają z naszych zbiorów – powiedziała. – Co się teraz stanie? – zapytała.

Brunetti odłożył kartki i zamknął teczkę.

– Tak jak wspominałem, przyjdzie ekipa, żeby zebrać odciski palców z książek i ze stołu, przy którym siedział, a potem, mam nadzieję, uda nam się je dopasować do czegoś w naszej bazie.

– Mówi pan, jakby to było całkowicie zwyczajne.

– Bo jest – odparł Brunetti.

– Dla mnie to brzmi jak Dziki Zachód. Dlaczego nie jesteśmy informowani o takich ludziach? Dlaczego nie dostajemy ich fotografii, żebyśmy mogli się chronić? – zapytała, bez gniewu, ale ze zdziwieniem.

– Nie mam pojęcia – przyznał Brunetti. – Możliwe, że okradzione biblioteki nie chcą tego rozgłaszać.

– Dlaczego nie?

– Nie mają państwo patronów? Darczyńców?

To ją uciszyło, a Brunetti patrzył, jak łączy te informacje. W końcu się odezwała:

– Mamy troje, ale znaczenie ma tylko jedna osoba prywatna. Reszta pieniędzy pochodzi z fundacji.

– Jak zareaguje ten prywatny darczyńca?

– Jeśli się dowie, że dopuściliśmy do czegoś takiego? – zapytała, uniosła rękę i na moment zamknęła oczy. Odetchnęła głęboko, przygotowując się, żeby spojrzeć prawdzie w oczy. – Dwie z tych książek należały do jej rodziny.

– Należały.

Fabbiani przyglądała się wzorom na parkiecie, zanim spojrzała na Brunettiego.

– Były częścią większego daru. Został przekazany ponad dziesięć lat temu.

– Które to książki?

Wystarczyłoby, żeby wymieniła ich tytuły, Brunetti widział, że próbowała. Otworzyła usta, ale nie zdołała nic powiedzieć. Zaczęła znowu wpatrywać się w parkiet, a potem w niego.

– Jedna z tych zaginionych. Druga straciła dziewięć kart – zdołała w końcu powiedzieć. Zanim zdążył zapytać, skąd zna ich pochodzenie, dodała: – Nazwisko tej rodziny jest na fiszce katalogowej.

– Co to za rodzina? – zapytał Brunetti.

– Morosini-Albani. To oni podarowali nam Ramusia – dodała jeszcze dyrektorka.

Brunetti z całej siły starał się ukryć zdumienie. To, że członek tej rodziny

miałby być patronem czegokolwiek, stanowiłoby zaskoczenie – wręcz szok – dla każdego weneccjanina. Chociaż główna linia rodziny dała miastu co najmniej czterech dożów, ta boczna gałąź wydawała na świat tylko kupców i bankierów. Podczas gdy jedna część rodziny rządziła, druga zajmowała się bogaceniem i ten podział trwał – o ile Brunetti dobrze pamiętał – aż do rządów ostatniego doży Morosiniego, gdzieś w siedemnastym wieku.

Rodzina Albani zeszła wtedy w pewnym sensie ze sceny, wycofała się do swojego *palazzo* – który wzniosła nie przy Canale Grande, ale w części miasta, gdzie ziemia była tańsza – i kontynuowała tradycję gromadzenia bogactwa. Obecna hrabina, wdowa z trójką kłótliwych pasierbów, przyjaźniła się z teściową Brunettiego. Hrabina Falier uczęszczała do prywatnej szkoły zakonnej z hrabiną Morosini-Albani, w tamtych czasach będącą zaledwie młodszą córką sycylijskiego księcia, który przegrał rodzinną fortunę. Jej naukę opłacała niezamężna ciotka. Znacznie później wyszła za mąż za dziedzica rodu Morosini-Albani, przejmując zarówno jego niższy tytuł, jak i troje dzieci z poprzedniego małżeństwa. Brunetti spotkał się z nią kilka razy na obiedzie w domu rodziców Paoli – spotkał się z nią, rozmawiał i odniósł wrażenie, że jest doskonale wykształcona, inteligentna i odczytana.

– Kto z nich przekazał państwu książki?

– Hrabina – odparła Fabbiani.

Podobnie jak wielu cudzoziemców – a każdy, kto nie urodził się w Wenecji, był tutaj cudzoziemcem – hrabina Morosini-Albani postanowiła stać się bardziej wenecka niż weneccjanie. Jej zmarły mąż był członkiem Club dei Nobili, gdzie chadzał, by palić cygara, czytać „Il Giornale” i wygłaszać ogólnikowe uwagi o braku szacunku dla ludzi z zasługami. Ona natomiast dołączała do komitetów ocalenia tego i tamtego, ochrony jakiegoś miejsca lub rzeczy, nieodmiennie pojawiała się na premierach w La Fenice i była autorką częstych, ostrych listów do „Il Gazzettino”. To, że ta rodzina zgodziłaby się podarować cokolwiek, nie mówiąc już o bezcennych książkach, wymagało od Brunettiego zawieszenia niewiary. Morosini-Albani od zawsze gromadzili, a nie rozdawali; życie nauczyło komisarza, że ludzie niezwykle rzadko wyzbywają się starych przyzwyczajęń.

Pomyślał jednak, że hrabina była mimo wszystko Sycylijką, a oni cieszyli się legendarną sławą szczodrych lub wręcz rozrzutnych. Jej pasierbowie

w powszechnej opinii byli zarówno niewdzięczni, jak i nieodpowiedzialni, więc być może postanowiła zrobić im na złość, oddając wszystko, zanim położy na tym ręce. Hrabina Falier mogła wiedzieć na ten temat więcej.

– Jak pani przypuszcza, jak hrabina może na to zareagować?

Dottoressa Fabbiani zaplotła ramiona i oparła się o parapet, z wyprostowanymi nogami i stopami złożonymi równo, zupełnie jak u ptaka.

– Sądzę, że to zależy od tego, jakie zaniedbania będzie można nam zarzucić.

– Podejrzewam, że ten mężczyzna jest profesjonalistą i zrobił to na zlecenie.

– Brunetti powiedział to, by podkreślić, że zaniedbania mogły nie być w tym przypadku kluczową przyczyną. – Prawdopodobnie pracował dla kolekcjonerów, którzy chcieli określonych rzeczy, i dla nich je zdobywał.

Fabbiani prychnęła.

– Cóż, przynajmniej nie powiedział pan, że je „pozyskiwał”.

– To chyba byłaby przesada – powiedział Brunetti – biorąc pod uwagę moją pracę. – Zaryzykował uśmiech. – Czy ona przekazuje bibliotece także pieniądze? – zapytał. Nie musiał nawet dodawać, że chodzi mu o hrabinę.

– Sto tysięcy euro rocznie.

Morosini-Albani? Gdy Brunetti otrząsnął się z osłupienia na tyle, by coś powiedzieć, zapytał:

– Jakie znaczenie ma dla państwa taka kwota?

– Dostajemy corocznie środki z miasta, regionu i budżetu państwa, ale to wystarcza tylko na pokrycie kosztów działalności. Pieniądze od darczyńców umożliwiają nam gromadzenie i konserwację zbiorów.

– Mówiła pani, że przekazała książki. Czy dużo ich jeszcze było?

Na to pytanie Fabbiani odwróciła głowę, ale ponieważ nie znalazła nic, na co mogłaby patrzeć, spojrzała znowu na Brunettiego.

– Tak. To był duży dar. Jestem pewna, że to był jej pomysł; jej mąż był... Morosinim-Albanim. – Po chwili dodała: – Obiecała nam resztę biblioteki. – Urwała na chwilę i dokończyła niemal szeptem: – Ta rodzina była pierwszymi mecenasami Manucjusza. – Coś powstrzymało ją przed kontynuowaniem tematu, być może była przesadna. Powiedzenie tego na głos mogło sprawić, że do darowizny nie dojdzie, a wtedy biblioteka straci rodzinną kolekcję książek

z najsłynniejszych drukarni w najsłynniejszych miastach.

Gdy Brunetti był jeszcze opornym uczniem, matka zachęcała go do wstania z łóżka, mówiąc mu, że każdy nowy dzień niesie ze sobą cudowną niespodziankę. Być może nie miała na myśli szczodrości Morosinich-Albanich, ale z pewnością miała rację.

– Proszę się nie obawiać, *dottoressa*, nie powtórzę tego nikomu.

– Ich kolekcja jest... ogromna – dodała z ulgą. I jakby chciała wyjaśnić to, co mówiła o mężu hrabiny, ciągnęła dalej: – Hrabina jako jedyna w rodzinie zna prawdziwą wartość tych książek i docenia je. Nie wiem, gdzie się tego nauczyła, nigdy nie miałam śmiałości jej zapytać, ale wie bardzo dużo o wczesnych drukach, drukarniach i konserwacji książek. – Machnęła ręką, szerokim gestem, mającym zapewne demonstrować zdolności hrabiny, a potem umilkła na chwilę, jakby nie była pewna, ile może powiedzieć Brunettiemu. – Wiele razy pytałam ją o zdanie w sprawach związanych z konserwacją. – Ze wspaniałomyślnością, którą widywałam czasem u akademików, dodała: – Miała ten dar, wyczucie.

– Wyczucie? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Być może „miłość” byłaby lepszym słowem. Tak jak mówiłam, obiecała nam te książki.

– Obiecała?

Fabbiani rozejrzała się po gabinecie.

– Po tym wszystkim – zaczęła, jakby Wandalowie właśnie opuścili ten pokój, pozostawiając zgliszcza – nigdy już nam nie zaufa.

– Czy coś takiego nie mogłoby się równie dobrze wydarzyć w jej domu?

– Chodzi panu o to, że ktoś mógłby ją oszukać?

– Tak – odparł Brunetti.

– Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek był w stanie oszukać ją w jakiegokolwiek sprawie – powiedziała Fabbiani.

Brunetti uśmiechnął się, by pokazać, że rozbawiła go ta uwaga. Nie musiał udawać, ponieważ oddawała ona w mniejszym lub większym stopniu jego własną opinię o hrabinie. Po zastanowieniu zauważył jednak, że dottoressa Fabbiani wyrażała szczery podziw dla zaciekłości hrabiny – to słowo przyszło mu na myśl, gdy próbował znaleźć jakieś określenie jej charakteru. Chociaż na przestrzeni lat spotkał się z nią najwyżej pięć czy sześć razy, często bywała ona tematem rozmów jego żony z matką. Z tych rozmów wyłaniał się wizerunek kobiety o niezwykle zdecydowanych poglądach, a także – co zawsze podziwiał – ukierunkowanej nienawiści. Jeszcze bardziej godny podziwu był fakt, że pod tym względem nie dyskryminowała nikogo, rozdzielała swoją niechęć w równych proporcjach na Kościół i państwo, lewicę i prawicę. Paola uwielbiała ją, a hrabina Falier uważała ją za bliską przyjaciółkę, co stanowiło kolejny dowód na wrodzoną demokrację wśród kobiet.

– *Dottoressa*, muszę się przyznać pani do dwóch rzeczy – oznajmił z nadzieją, że uda im się wrócić do bieżących spraw.

Spojrzała na niego, lekko zaniepokojona, ale nic nie powiedziała.

– Chodzi o to, że jestem laikiem, jeśli idzie o wartość zaginionych książek, a także rynek zainteresowany ukradzionymi kartami. – Umilkł na chwilę, ale ona nie miała żadnych pytań czy komentarzy. – Z tego powodu wydaje mi się, że tą sprawą powinien zająć się wydział do spraw kradzieży dzieł sztuki, ale oni mają siedzibę w Rzymie i...

– I poważniejsze sprawy na głowie? – zapytała.

Żadne z nich nie uznało za stosowne wspominać o epidemii kradzieży, których ofiarami padały domy prywatne, kościoły, biblioteki i muzea – nawet biblioteka Ministerstwa Rolnictwa – mającej miejsce w ostatnich latach. Brunetti regularnie czytywał biuletyny wydziału do spraw kradzieży dzieł sztuki oraz Interpolu, informujące o poważniejszych kradzieżach, nie tylko obrazów i rzeźb, ale także rękopisów i książek, całych tomów lub pojedynczych kart.

Nowożytni Wandale, pustoszący swobodnie najstarsze europejskie kolekcje książek, nie mieli żadnych zahamowań.

– Ile książek mają państwo w zbiorach? – zapytał.

Przechyliła głowę na bok i zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Cała kolekcja liczy około trzydziestu tysięcy woluminów, ale większość z tego znajduje się na dole, w zbiorach współczesnych. Tutaj – machnęła ręką, by wskazać sale za Brunettim – mamy około ośmiu tysięcy woluminów; kolekcja manuskryptów zawiera około dwustu pozycji.

– Coś jeszcze?

– Mamy kolekcję perskich miniatur, przywiezionych przez kupca z Iranu na przełomie zeszłego wieku. Jeśli ktoś chce się z nimi zapoznać, jest przy tym zawsze obecny nasz pracownik.

To przypomniało Brunettiemu, że dottore Nickerson nie był w bibliotece sam przez część, a być może przez większość czasu.

– Ten mężczyzna, którego nazwała pani Tertulianem – czy ma pani jego kartę biblioteczną?

– Czego pan chce od niego? – zapytała, a w jej głosie zabrzmiała opiekuńczość.

– Chciałbym z nim porozmawiać. Powiedziała pani, że przychodzi tu od dawna i jest uważany niemalże za pracownika. Jeśli to prawda, być może widział coś, co wydało mu się niecodzienne.

– Nie wydaje mi się, żeby to miało sens – upierała się.

Brunetti był już zmęczony zabawą w dobrego glinę.

– *Dottoressa*, nie wydaje mi się, by sędzia śledczy podzielił pani opinię.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytała, a Brunetti usłyszał, że jej głos twardnieje.

– Sędzia śledczy z pewnością nakaze pani podać nam jego nazwisko i informacje, które pomogą go zlokalizować. – Zanim zdążyła zaprotestować, dodał: – To jest biblioteka, *dottoressa*, a nie przychodnia lekarska czy kościół. Jego nazwisko i adres nie są informacjami poufnymi, a istnieje duże prawdopodobieństwo, że stał się świadkiem przestępstwa. Jediną metodą na zweryfikowanie tego faktu jest rozmowa z nim.

– Myślę, że to może być – zaczęła i urwała w poszukiwaniu odpowiedniego słowa – ... trudne dla niego.

– Dlaczego? – zapytał Brunetti, tym razem łagodniejszym tonem.

– Ma pewne problemy.

– Jakie na przykład? – Teraz z kolei Brunetti sięgnął po nieskończoną cierpliwość, potrzebną, by skłonić ludzi do przełamania oporów i powiedzenia czegokolwiek.

Obserwował, jak Fabbiani rozważa, ile powinna wyjawiać.

– Możliwe, że kiedyś mógł być księdzem albo przynajmniej klerykiem.

Brunetti pomyślał, że to wyjaśniałoby jego zainteresowanie Tertulianem.

– Mógł być?

Rzuciła mu skonsternowane spojrzenie, więc sprecyzował:

– Czy postanowił przestać być księdzem, czy przerwać studia w seminarium? A może został do tego zmuszony?

– Nie wiem – odpowiedziała. – To nie było coś, o co mogłabym zapytać.

– Ale ma pani jakieś podejrzenia? – upewnił się, gdyż jego czujność wzbudziło skrepowanie, z jakim to mówiła.

– Dlaczego o nim rozmawiamy? – zapytała gwałtownie. – On tylko siedzi i czyta. To nie przestępstwo.

– Jeśli jednak ktoś jest świadkiem popełnianego przestępstwa w czasie, gdy siedzi i czyta, ale nie zgłosi tego przestępstwa, sam łamie prawo – oznajmił Brunetti, naginając prawdę do swoich celów.

– To dobry człowiek – upierała się Fabbiani.

Brunetti jednak wiedział z długiego doświadczenia, że dobrzy ludzie nie zawsze byli odważni i niekoniecznie chcieli się mieszać w życie innych ludzi.

Całe wieki temu czytał jakieś prace tego teologa – wiedział, że był prawnikiem i wydawało mu się, że pochodził z Afryki – i pamiętał, że nie polubił go nawet w najmniejszym stopniu. Nigdy nie spotkał kogoś tak przeciwnego wszelkim przyjemnościom jak Tertulian, który nie miał też nic dobrego do powiedzenia o życiu jako takim. Wyobraźcie sobie tylko człowieka, który chciałby czytać Tertuliana.

– Czy pokaże mi pani jego kartę biblioteczną? – zapytał, nie pozwalając

odwrócić swojej uwagi.

– Naprawdę musi pan z nim rozmawiać? – zapytała.

– Tak – odparł Brunetti.

– Nazywa się Aldo Franchini i mieszka w Castello, u wylotu Via Garibaldi.

Brunetti wyjął notes, zapisał nazwisko i adres, a potem spojrzał na dottoressę Fabbiani, zaciekawiony tym, że wiedziała, gdzie mieszka ten mężczyzna.

– Jak dobrze go pani zna?

– Prawie wcale – odparła i przeszła za biurko, żeby usiąść. Gestem wskazała Brunettiemu krzesło, więc zajął miejsce z nadzieją, że to załagodzi napięcie między nimi. – Ale znam jego młodszego brata, który chodził ze mną do szkoły. Zadzwonił do mnie jakieś trzy lata temu. Powiedział, że jego brat wrócił do miasta. Stracił pracę z powodu problemów z dyrekcją szkoły, co oznaczało, że nie dostanie listu polecającego. Chciał przychodzić tu i czytać, a jego brat zapytał, czy mogę wyrazić na to zgodę, mimo że stracił pracę.

– Jaką pracę?

– Uczył teologii w prywatnej szkole męskiej w Vicenzie.

– Teologii? – zapytał Brunetti.

Rzuciła mu chłodne spojrzenie i wyjaśniła:

– Był wtedy duchownym. – Teraz sprawiała wrażenie, jakby wiedziała o tym mężczyźnie znacznie więcej niż wcześniej.

– Wtedy?

– Uznałam, że to nie jest moja sprawa – powiedziała, ale bez mającego podkreślać jej zasady prychnięcia, jakie dodałoby wiele osób.

– Co pani zrobiła?

– Powiedziałam mu, że jeśli jego brat jest obywatelem Wenecji, nie potrzebuje listu. Wystarczy, że przyjdzie z dowodem tożsamości i wyrobi sobie kartę biblioteczną.

– Nie była pani ciekawa, co takiego mógł zrobić? – naciskał Brunetti.

Zignorowała jego pytanie.

– Jeśli chciał czytać, miał do tego prawo. Nic innego, co go dotyczy, nie powinno mnie obchodzić.

– Czy jego brat coś o nim mówił?

– Czy to część pana pracy jako policjanta? – odpowiedziała pytaniem. – A może po prostu chce pan to wiedzieć?

– Interesuje mnie każdy człowiek, który czytałby Tertuliana – odparł z uśmiechem Brunetti, mówiąc częściowo prawdę.

– Powiedział mi, że jego brat jest zapalonym czytelnikiem i poszukuje miejsca, w którym znajdzie książki. – Wyraźnie zmiękła i dodała łagodniejszym głosem: – Powiedział, że czytanie mogłoby bratu pomóc.

– Nie zapytała pani, dlaczego jego brat potrzebował pomocy? – zapytał Brunetti, chociaż nie przypuszczał, by to zrobiła.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy, a całe podobieństwo do ptaka zniknęło. Stała się wysoką kobietą z życzliwą, inteligentną twarzą.

– Myślę, że chciał, bym zapytała, ale nie zrobiłam tego. Wystarczyło mi jego słowo.

– Czy w czasie, który tu spędził, dowiedziała się pani czegoś o nim?

– Nie, właściwie nie. Czytał Augustyna, Hieronima, Maksyma Wyznawcę, ale zaczął od Tertuliana, więc stąd wziął się przydomek, który mu nadaliśmy.

– Dlaczego wpadliście na taki pomysł?

– Bibliotekarze są... – zaczęła, zastanowiła się i zaczęła jeszcze raz. – Bibliotekarze są nietypowymi ludźmi. – Brunetti był skłonny w to wierzyć. – Był pierwszą osobą, która poprosiła o Tertuliana, a potem faktycznie usiadł i zaczął go czytać. Nikt z nas nie pamiętał wcześniej takiego przypadku. Nie chodziło mu o to, by napisać pracę na zaliczenie na studia; był autentycznie zainteresowany książką. – W każdym jej słowie brzmiała szczerza pochwała.

– Jak często pani z nim rozmawiała?

– Po pewnym czasie zaczęliśmy się witać, a potem zdarzało się, że pytałam go, co czyta.

– Jaki się wydawał, kiedy pani z nim rozmawiała?

Uśmiechnęła się, ale tym razem Brunetti zorientował się, że jest to ostrzeżenie, iż nie powinien traktować jej odpowiedzi poważnie.

– Chodzi panu o to, czy coś z nim było nie tak?

– Cóż, biorąc pod uwagę jego dobór lektur...

Roześmiała się.

– Tak, niektórym z nas oni wydają się dzisiaj szaleńcami, ale być może miał nadzieję znaleźć...

– Odpowiedzi?

Uniosła obie dłonie, jakby chciała powstrzymać Brunettiego przed narzuceniem jej swoich słów.

– Nie wiem, co mogą nam dzisiaj zaoferować Ojcowie Kościoła. Może pociechę.

– Pociechę dla umierającej religii? Czy pociechę z niej płynącą?

Spojrzała na blat biurka, a potem znowu na Brunettiego.

– Tak się właśnie dzieje, prawda?

– Statystycznie rzecz ujmując, tak – odparł Brunetti. Nie był pewien, co czuje w związku z tym, ale podejrzewał, że odrobinę żalu. – Niedługo wszyscy mogą stracić pracę – dodał i sprecyzował: – Księża, zakonnice, biskupi.

– Myślę, że to nie nastąpi tak szybko – sprzeciwiła się.

– Nie, zapewne nie – zgodził się z nią Brunetti. Potem, aby otrząsnąć się z nastroju, który sam stworzył, poprosił: – Czy mogłaby pani zostawić te książki na stole?

– Co zrobią pańscy ludzie? Będą musieli posypać je czarnym proszkiem? – Jej obawy były wyraźnie widoczne.

– Tak postępują tylko w telewizji. My teraz używamy laserów, oświetlamy stronę i robimy zdjęcie. To nie uszkodzi papieru. – Widział, jak trudno jest jej w to uwierzyć, podobnie jak każdemu, kto od dziecka oglądał filmy i seriale pokazujące policyjnych techników z pędzlami i czarnym proszkiem. – Proszę mi wierzyć, nic się nie znajdzie na papierze. Jeśli pani chce, może być pani przy tym obecna, a ja mogę obiecać, że będą nosili rękawiczki.

– Kiedy przyjdą?

– Powinni pojawić się dzisiaj.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła z niej wizytówkę. Brunetti schował kartonik do kieszeni bez patrzenia, podziękował Fabbiani i wyciągnął rękę.

– To wszystko? – zapytała, gdy uścisnęli sobie dłonie.

– Na razie tak – odparł i wyszedł z biblioteki.

Po drodze do komendy Brunetti wstąpił wreszcie na kawę, ale pił ją niemalże z niechęcią, ponieważ wiedział, że to zaledwie gra na zwłokę, a nie przyjemność. Po powrocie postanowił bezpośrednio zameldować *vice-questore*, co zaszło w bibliotece. Gdy wchodził po schodach do gabinetu zwierzchnika, przypomniał sobie historię, bez wątpienia zmyśloną, którą niegdyś słyszał. Dotyczyła jednej z amerykańskich gwiazd filmowych – może Jean Harlow? Podobno aktorka dostała kiedyś książkę na urodziny, odpakowała ją, spojrzała na nią i powiedziała: „Książka? Mam już książkę”.

Był przeświadczony, iż to samo mógłby rzec *vice-questore* Giuseppe Patta.

Gdy wszedł do małego gabinetu, w którym zwykle siedziała signorina Elettra, zobaczył, że jej fotel jest pusty, a komputer marnuje swoje wspaniałe możliwości w próżni. W ostatnich tygodniach Elettra często znikła z za biurka. *Vice-questore* Patta, który był jej bezpośrednim przełożonym, albo tego nie zauważał, albo – co było znacznie bardziej prawdopodobne – obawiał się zapytać. Ponieważ to nie była sekretarka Brunetti, komisarz uważał, że nie jego rzeczą jest się dopytywać, i nic nie mówił. Tym razem jej nieobecność oznaczała, że bez żadnego przygotowania miał zostać wystawiony na humory *vice-questore*. Czy był mężczyzną, czy też tchórzem? Brunetti podszedł do drzwi i zapukał.

– *Avanti* – usłyszał i wszedł do środka.

Dottore Giuseppe Patta, najświetniejszy owoc, jaki wydało Palermo, siedział za biurkiem, przyłapany w chwili, gdy wkładał chusteczkę do kieszonki na piersi marynarki. Brunetti z przyjemnością zauważył, że chusteczka była biała – być może lniana – i wybielona jak kości dinozaurów na pustyni Gobi, uniformy sędziów na Lord's Cricket Ground czy pierwszy ząbek dziecka. Patta nigdy nie robił ustępstw na rzecz współczesnej swobody stroju; prędzej dałby się zabić, niż włożyłby kolorową poszetkę do kieszonki na piersi marynarki. Patta był człowiekiem o niezłomnych zasadach, samo przebywanie z nim w jednym

pokoju stanowiło zaszczyt.

– *Buon giorno, vice-questore* – powiedział Brunetti, powstrzymując się od okazania przesadnej uniżoności.

Patta ostatni raz poprawił chusteczkę i spojrzał na Brunettiego.

– Czy to ważne? – zapytał.

– Niewykluczone, *dottore* – odparł spokojnie Brunetti. – Pomyślałem, że powinien się pan o tym dowiedzieć, zanim sprawa trafi do prasy, a nie mam wątpliwości, że tak się stanie.

Nawet gdyby chusteczka nagle się zapaliła, Patta nie ożywiłby się gwałtowniej.

– O co chodzi? – Wyraz lekkiego niezadowolenia na jego twarzy zastąpił grymas obrońcy narodu.

Brunetti podszedł do biurka, stanął za jednym z krzeseł, splótł ręce na plecach i wyjaśnił:

– Mieliśmy telefon z Biblioteki Merula, ze zgłoszeniem wandalizmu oraz kradzieży.

– I o co chodzi, o wandalizm czy o kradzież? – zażądał odpowiedzi Patta.

– Ktoś wyciął karty z ponad dwudziestu książek, *dottore*. Zniknęły też dwie książki, najprawdopodobniej zostały skradzione.

– Dlaczego ktoś miałby to robić? – zapytał Patta.

Brunetti odmówił w duchu modlitwę do świętej Moniki, będącej ucieleśnieniem cierpliwości. Była również patronką ofiar przemocy, więc Brunetti mógł wzywać jej wstawiennictwa także w tym aspekcie, zależnie od gwałtowności zachowania Patty.

– Książki, podobnie jak karty z rzadkich książek, są bardzo popularne wśród kolekcjonerów i mają wysoką wartość.

– Kto to zrobił?

– Ze wszystkich tych książek korzystał doktor Joseph Nickerson, który odwiedził bibliotekę z rekomendacją Uniwersytetu Kansas i przedstawił amerykański paszport jako dokument tożsamości.

– Czy ten paszport był ważny?

– Nie skontaktowałem się jeszcze z Amerykanami, *vice-questore*. – Brunetti

spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że dzisiaj nie da się już niczego załatwić.

Patta posłał mu długie spojrzenie.

– Nie wydaje się, żebyś wiele zrobił w tej sprawie, Brunetti – stwierdził.

Brunetti ponownie polecił się opiece świętej Moniki.

– Właśnie wróciłem i chciałem pana zawiadomić o tej sprawie na wypadek, gdyby konieczna okazała się rozmowa z prasą.

– Dlaczego to miałyby być konieczne? – zapytał Patta, jakby Brunetti wydzielał mu skąpo informacje i ukrywał coś, o czym z pewnością powinien wiedzieć.

– Wśród darczyńców biblioteki jest hrabina Morosini-Albani. To właśnie ona podarowała bibliotece co najmniej jedną z zaginionych książek. Obawiają się jej reakcji.

– Zapewne zabierze to, co im dała. Tak zrobiłaby każda rozsądna osoba.

Z pewnością tak zrobiłby Patta, chociaż Brunetti potrzebowałyby czegoś więcej niż wstawiennictwa świętych, by uwierzyć, że *vice-questore* kiedykolwiek podarowałyby bibliotece książkę.

– Właśnie o to ci chodziło z prasą? Myślisz, że będą zainteresowani? – spytał nieoczekiwanie Patta.

– Myślę, że to niewykluczone. Jej rodzina jest doskonale znana w mieście, a zachowanie jej pasierba z pewnością zaostriżyło apetyty dziennikarzy.

Patta spojrział z furią na Brunettiego i zastanowił się nad jego słowami, poszukując w nich krytyki wyższych warstw społeczeństwa. Brunetti przybrał wyraz twarzy wyprany z wszelkich emocji i stał, uważny, neutralny, w oczekiwaniu na odpowiedź zwierzchnika.

– Chodzi ci o Gianniego?

– Tak.

Brunetti obserwował, jak Patta, który w przypadku skandali miał pamięć słonia, przywołuje zdjęcia i nagłówki, które od lat wypełniały prasę brukową. Ulubiony tytuł Brunettiego to: *Gianni paga i danni*, ze względu na rym wiążący imię młodzieńca z odszkodowaniami, jakie musiał on zapłacić za zniszczenie sprzętu muzycznego zespołu, którego muzyka nie spodobała mu się w klubie

w Lignano. Tekst *Nobile ignobile* relacjonował jego pobyt w areszcie za kradzież w antykwariacie w Mediolanie; był też prześliczny nagłówek z prasy brytyjskiej, *No-account Count*, gdy zatrzymano go podczas próby kradzieży w sklepie na New Bond Street. O ile Brunetti dobrze pamiętał, Gianni pełnił wtedy funkcję jakiegoś attaché w ambasadzie włoskiej w Londynie, więc nie mógł zostać aresztowany, a tylko uznany za persona non grata i wydalony z Anglii.

Chociaż z obecnej wiedzy Brunettiego nie wynikało w najmniejszym stopniu, by Gianni miał jakieś związki z biblioteką lub kradzieżą, sama wzmianka rodowego nazwiska działała na dziennikarzy jak cud świętego Januarego: wystarczy porządnie potrząsnąć, a popłynie świeża krew. Młody człowiek – który nie był już młody i nie uchodził za najlepszego człowieka – tak często gościł na łamach prasy, że dowolne połączenie, nieważne jak bardzo przypadkowe, jego nazwiska i jakiegokolwiek przestępstwa błyskawicznie trafiłoby na nagłówki gazet. Hrabina z pewnością nie życzyłaby sobie widzieć swojego nazwiska pojawiającego się publicznie w takich okolicznościach.

– Czy myślisz...? – zaczął Patta.

Brunetti czekał, ale jego zwierzchnik nie dokończył pytania.

Patta zmienił obiekt zainteresowania, a Brunetti dostrzegł ten moment, w którym *vice-questore* przypomniał sobie, że Brunetti dzięki małżeństwu wśliznął się w szeregi arystokracji.

– Znasz ją? – zapytał Patta.

– Hrabinę?

– A o kim mówimy?

Brunetti nie poprawił go, powiedział tylko:

– Spotkałem ją kilka razy, ale nie mogę powiedzieć, że ją znam.

– A kto?

– Kto ją zna?

– Tak.

– Moja żona i moja teściowa – odparł niechętnie Brunetti.

– Czy myślisz, że któraś z nich porozmawiałaby z nią?

– O czym?

Patta zamknął oczy i westchnął głęboko, jak człowiek zmuszony do obcowania z kimś niedorastającym mu do pięt intelektem.

– O tym, co może powiedzieć prasie, jeśli dziennikarze się o tym dowiedzą.

– A co takiego powinna powiedzieć?

– Że nie ma wątpliwości, iż ta sprawa zostanie niebawem wyjaśniona.

– Dzięki ciężkiej pracy i dociekliwości lokalnej policji? – podsunął Brunetti.

Oczy Patty załśniły niebezpiecznie z powodu sarkazmu Brunettiego. Odpowiedział jednak tylko:

– Coś w tym rodzaju. Nie chcę, by oficjalne instytucje miejskie padły ofiarą krytyki.

Brunetti mógł tylko skinąć głową. Obywatele bezgranicznie ufają policji. Biblioteki, które dopuściły do kradzieży, nie powinny być krytykowane. Zastanawiał się, czy zdaniem Patty ta amnestia powinna obejmować wszystkie państwowe instytucje w Wenecji. A na prowincji? W kraju?

– Będę się widzieć z teściową jutro na obiedzie i wtedy jej o tym wspomnę – powiedział Brunetti, przypominając Patcie, który z nich zasiądzie do stołu z hrabią i hrabiną Falier, a także który z nich pewnego dnia zamieszka w Palazzo Falier i będzie z okna podziwiał fasady pałaców po drugiej stronie Canale Grande.

Patta, bezmyślny, ale nie głupi, wycofał się z tej rozmowy.

– Zostawiam sprawę w twoich rękach, Brunetti. Zobaczymy, co ci powiedzą Amerykanie.

– Tak jest – odparł Brunetti i odsunął się od krzesła.

Signorina Elettra powróciła do swojego biurka, na którym stał teraz duży wazon. Właśnie poprawiała w nim tuziny intensywnie czerwonych tulipanów. Na parapecie stał równie duży bukiet żonkili, dwa kolory rywalizowały o uwagę obserwatora. Brunetti tę uwagę przeniósł na twórczynię owej kwietnej feerii. Ponieważ była ubrana w pomarańczową wełnianą sukienkę i pantofle tak szpiczaste i na tak wysokich obcasach, że cios dowolnym ich końcem byłby zabójczy, taki wybór wydawał się naturalny.

– Cóż takiego *vice-questore* miał panu do powiedzenia, *commissario*? – zapytała życzliwie.

Brunetti zaczekał, aż usiadła, i oparł się o parapet, na którym nie było wazonu.

– Pytał, skąd się wzięły te kwiaty – odparł z kamienną twarzą.

Niezwykłe rzadko miał przyjemność czymś ją zaskoczyć, ale tym razem z pewnością mu się to udało, więc postanowił pociągnąć temat.

– Jest poniedziałek, czyli nie ma targu na Rialto, a to oznacza, że musiała pani kupić je w kwiaciarni. – Jego twarz przybrała surowy wyraz. – Mam nadzieję, że uda się to wpuścić w koszty wyposażenia biurowego.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech równie piękny jak kwiaty.

– Ach, z pewnością nie wykorzystywałambych tych środków, *dottore*. – Odczekała trzy uderzenia serca i dodała: – Przesłano mi je. – Poziom cukru w jej uśmiechu osiągnął szczyt, gdy zapytała: – A co takiego powiedział *vice-questore*?

Brunetti odczekał kilka sekund, przyznając się do porażki, a potem uśmiechnął się, by okazać swój podziw.

– Powiedziałem mu o kradzieży, właściwie wielu kradzieżach, w Bibliotece Merula.

– Książki? – zapytała.

– Tak oraz liczne mapy i karty tytułowe wycięte z tomów.

– W takim razie równie dobrze mogłyby zostać ukradzione – zauważyła.

– Ponieważ są zniszczone? – zapytał, zaskoczony tym, że podzielała pod tym względem opinię dottoressy Fabbiani.

– Jeśli odłupie pan nos z popiersia, to w dalszym ciągu zostanie większość twarzy, prawda? – zapytała.

– Jeśli wytnie pani mapę z książki – odparował – w dalszym ciągu zostanie cały tekst.

– Ale jako obiekt zostanie zniszczona – upierała się.

– Mówi pani jak bibliotekarz – zauważył Brunetti.

– Mam taką nadzieję – odparła tylko. – Oni spędzają całe życie na pracy z książkami.

– Podobnie jak czytelnicy – odparował Brunetti.

Tym razem roześmiała się w odpowiedzi.

- Naprawdę pan tak uważa?
- Że brakująca kartka nie zmienia książki?
- Tak.

Podciągnął się na rękach i usiadł na parapecie ze zwieszonymi nogami. Przyjrzał się swoim stopom, poruszył jedną, a potem drugą.

- To zależy od tego, jak zdefiniujemy „książkę”, prawda?
- Częściowo tak.
- Jeśli celem książki jest przekazanie tekstu, to nie ma znaczenia, jeśli usunie się mapy.
- Ale?

Chciał jej pokazać, że rozumie także argumenty drugiej strony, więc dodał:

- Ale jeśli to jest obiekt, który dostarcza informacji o określonych czasach, na przykład o tym, jak rysowane były mapy, i reprezentuje...

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich Patta. Rzucił spojrzenie Brunettiemu, który siedział wygodnie jak uczeń wśród kwiatów, a potem swojej sekretarce, przyłapanej na spoufalaniu się z wrogiem. Cała trójka zamarła.

W końcu Patta powiedział:

- Czy mogę panią na moment prosić, *signorina*?
- Oczywiście, *vice-questore* – odparła, wstała płynnym ruchem i przesunęła fotel na miejsce.

Patta nie marnował słów na Brunettiego, odwrócił się w stronę swojego gabinetu i zniknął. Signorina Elettra, nie patrząc na Brunettiego, poszła w ślady zwierzchnika. Drzwi się zamknęły.

Brunetti zeskoczył na podłogę, a gdy spojrział na zegarek, stwierdził, że godzina pozwala mu na powrót do domu.

Dzieci zainteresowały się opowieścią o kradzieży i próbowały wymyślić, jak mogła zostać dokonana. Brunetti powiedział im z grubsza, jakich rozmiarów były strony i podkreślił, że złodziej absolutnie nie mógł ich pognieść ani uszkodzić w inny sposób. Raffi, który na gwiazdkę dostał od dziadków MacBooka Air, poszedł po niego do swojego pokoju. Otworzył laptop, odstawił go na bok i wyrwał kilka kartek z zeszłotygodniowego numeru „l’Espresso”. Złożył je równo, ułożył na klawiaturze, zamknął pokrywę i rozejrzał się po siedzących przy stole w poszukiwaniu aprobaty.

Chiara wskazała krawędzie stron, widoczne z boku.

– Gdybym miał taki z większym ekranem, nie byłoby nic widać – upierał się Raffi.

Chiara bez pytania poszła do gabinetu Paoli i wróciła z podniszczoną skórzaną aktówką, której jej matka nie używała od dziesięciu lat, ale nie potrafiła się zdobyć, by ją wyrzucić. Wzięła czasopismo od Raffiego, także wyrwała kilka stron, ułożyła je na lewej dłoni i ostrożnie postawiła na nich laptop. Kartki przycisnęły się równo do spodu laptopa, nie wystając po bokach. Ostrożnie włożyła wszystko do futerału laptopa, zamknęła go, a potem wsunęła do aktówki.

– Ja bym to tak zrobiła – oznajmiła. Aby rozwiązać wszelkie wątpliwości, obeszła stół i pozwoliła wszystkim zajrzeć do aktówki, w której widzieli tylko niewinny laptop, bezpiecznie zapakowany w futerał.

Brunetti powstrzymał się od przypomnienia, że strażnicy znali już od dawna takie sztuczki.

– A pozostali ludzie w bibliotece siedzieliby tylko, patrzyli, jak to robisz, a potem bili brawo? – zapytał Raffi, zirytowany tym, że jej propozycja była równie dobra jak jego własna.

– Jeśli w tym czasie nikogo nie byłoby w sali, nikt by nic nie zauważył – odparła.

– A gdyby ktoś tam był? – zapytał Brunetti. Nie wspomniał o skradzionych książkach, ale nie chciał inicjować kolejnej rundy demonstracji.

– To by zależało, jak bardzo skoncentrowani byliby na lekturze – wtrąciła Paola.

Brunetti dzięki wieloletniemu doświadczeniu wiedział, że Paola przegapiłaby nawet Armagedon, jeśli się wydarzył w czasie, gdy czytała – w dodatku po raz sto dwunasty – fragment *Portretu damy*, w którym Isabel Archer odkrywa podstęp pani Merle. Gdy docierała do tego miejsca, do domu mogliby wejść porywacze i zabrać całą trójkę, wrzeszczącą i wyrywającą się, podczas gdy ona czytałaby dalej. I jeszcze dalej.

Chiara zademonstrowała już biegłość w umiejętnościach, których – jak miał nadzieję Brunetti – nigdy nie będzie używać, więc wrócili do fusilli z tuńczykiem, kaparami i cebulą. Rozmowa zesłała na inne tematy i dopiero gdy Brunetti siedział wraz z Paolą w salonie, pijąc kawę, uznał, że warto wspomnieć o eklezjastycznym czytelniku.

– Tertulian? – zapytała Paola. – Ten okropny facet?

– Prawdziwy czy też ten, który jest czytelnikiem biblioteki?

– Nie mam pojęcia, kim jest ten czytelnik – odparła. – Mam na myśli prawdziwego, żyjącego chyba w trzecim wieku.

– Nie pamiętam – przyznał Brunetti. – Ale chyba mniej więcej wtedy.

Odstawiła pustą filiżankę na spodeczek i umieściła na niskim stoliku przed kanapą, a potem odchyliła się i zamknęła oczy. Wiedział, co zamierza, i nawet po spędzonych z nią kilkudziesięciu latach był nadal zdumiony, gdy to robiła: wszystko tam było, pod jej powiekami, i musiała tylko skoncentrować się odpowiednio, by przywołać to z miejsca, o którym nie miał pojęcia. Jeśli coś czytała, pamiętała przesłanie i ogólną treść; jeśli czytała coś uważnie, pamiętała tekst. Jednocześnie kompletnie nie miała pamięci do twarzy i nigdy nie wiedziała, czy już kogoś spotkała, chociaż przypominałaby sobie rozmowę z nim.

– Ty jesteś bramą diabła. Ty złamałaś pieczęć Chrystusa! Ty jako pierwsza opuściłaś prawo Boże! Ty ogarnęłaś tego, którego diabeł nie mógł tknąć... – Otworzyła oczy i uśmiechnęła się drapieźnie. – Jeśli wolisz coś o kobietach, to służę moim przyjacielem Augustynem. – Znowu weszła w trans i po chwili

powiedziała: – O ile przyjemniej jest dwóm mężom żyć razem niżli mężczyźnie i kobiecie. – Wróciła do terażniejszości i zauważyła: – Chyba najwyższy czas, żeby oni wszyscy przyznali się do swojej orientacji.

– To bardzo skrajne stanowisko – zauważył, chociaż wypominał jej to już niezliczoną ilość razy i cenił ją, ponieważ za każdym razem broniła swoich poglądów. – Uważam, że w tym ustępie chodziło mu o rozmowę, o to, że mężczyźni swobodniej rozmawiają między sobą niż z kobietami.

– Wiem o tym, ale zawsze wydawało mi się dziwne, że mężczyźni mogą mówić takie rzeczy o kobietach, a mimo to zostają świętymi. Czy ktoś się odważy nazwać ich słowa „skrajnym stanowiskiem”?

– Zapewne dlatego, że mówią także wiele innych rzeczy.

Przysunęła się do niego bliżej.

– Zawsze też wydawało mi się dziwne, że ktoś może zostać świętym ze względu na to, co powiedział, chociaż znacznie ważniejsze jest to, co zrobił. – Potem znowu zdołała go zaskoczyć, nagle zmieniając temat. – Co zamierzasz zrobić?

– Jutro zadzwonię do Amerykanów i sprawdzę, czy ten paszport był prawdziwy. Poproszę też signorinę Elettrę, żeby zadzwoniła do różnych bibliotek w mieście i zapytała, czy Nickerson je także odwiedzał. Zadzwonię na Uniwersytet Kansas, żeby się upewnić, czy on rzeczywiście tam pracuje. Zobaczą też, czy uda mi się znaleźć Tertuliana.

– Powodzenia. Jestem ciekawa człowieka, który czyta jego dzieła.

– Ja także – powiedział Brunetti, zastanawiając się, czy w domu jest może egzemplarz Tertuliana i czy powinien go zabrać do czytania do łóżka. Ponieważ to oznaczałoby odłożenie na bok obecnie czytanej książki, *The White War*, angielskiej historii wojny w Tyrolu Południowym, w której walczył jego dziadek, Brunetti oparł się niezbyt silnej pokusie. Postanowił powrócić do zatwardziałej głupoty generała Cadorny, który stoczył jedenaście daremnych bitew nad Soczą, wrócił do rzymskiego pomysłu, by stawiać przed plutonem egzekucyjnym co dziesiątego żołnierza z każdego batalionu, który się wycofał, i poprowadził pół miliona ludzi na śmierć niemalże bez sensu i kompletnie bez celu. Brunetti zastanawiał się, czy Paolę pocieszyłaby świadomość, że niemal wszystkimi ofiarami barbarzyństwa Cadorny byli mężczyźni, a nie kobiety?

Zapewne nie.

Gdy następnego dnia szedł do komendy, przypomniał sobie o prasie i zaczął się zastanawiać, czy napomknięcie o tym Patcie nie było zbyt pochopne. Dottoressa Fabbiani z pewnością nie zamierzała ich zawiadamiać, podejrzewał też, że Sartor jest wystarczająco lojalny, by trzymać język za zębami. Tylko dottoressa Fabbiani i Sartor wiedzieli na pewno, co wydarzyło się w bibliotece, i widzieli listę z tytułami wszystkich książek, które wypożyczał do czytelnicy Nickerson, chociaż tylko dyrektorka i Brunetti obejrzel wszystkie zniszczone książki. W jej interesie leżało zachowanie milczenia, dopóki nie znajdzie sposobu na powiadomienie o tym hrabiny. Brunetti był funkcjonariuszem państwowym i potrafił sobie wyobrazić, jak potraktuje to prasa, więc nie widział powodów, by zawiadamiać ją o kradzieży. Władze zostały powiadomione; dziennikarze mogli iść do diabła.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po wejściu do gabinetu, był telefon do dottoressy Fabbiani, od której zupełnie tym niezaskoczony dowiedział się, że doktor Nickerson nie pojawił się dzisiaj w bibliotece. Podziękował jej, zadzwonił do ambasady amerykańskiej w Rzymie, przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego chciałby zweryfikować paszport Nickersona. Powiedział tylko, że ten mężczyzna jest podejrzewany o popełnienie przestępstwa, a paszport jest jedynym dowodem tożsamości, jakim dysponuje policja. Został przełączony do innego działu, gdzie jeszcze raz przedstawił swoją prośbę. Powiedziano mu, żeby zaczekał, a potem w słuchawce odezwał się mężczyzna, który nie podał swojego nazwiska ani stanowiska, ale poprosił Brunettiego, żeby się przedstawił. Gdy Brunetti zaproponował, że zostawi swój numer telefonu, usłyszał, że to nie jest konieczne i że oddzwonią do niego. Dwadzieścia minut później na jego *telefonino* zadzwonił sekretarz podsekretarza włoskiego Biura Spraw Zagranicznych z pytaniem, czy to on dzwonił do Amerykanów. Gdy Brunetti potwierdził, mężczyzna podziękował i rozłączył się. Niedługo potem zadzwoniła kobieta mówiąca płynnie po włosku z bardzo lekkim obcym akcentem, która zapytała go o nazwisko. Gdy się przedstawił, powiedziała, że rząd Stanów Zjednoczonych nie wydawał takiego paszportu i zapytała, czy chciałby wiedzieć coś jeszcze. Odparł, że nie, wymienili uprzejme monosylaby i zakończyli rozmowę.

Nadal mieli fotografię. Nickerson – z braku lepszego nazwiska – mógł już teraz wyglądać inaczej i równie dobrze wyjechać z miasta, a może nawet z kraju. Ale co skłoniło go do tak szybkiego zniknięcia?

Piero Sartor stwierdził, że ten mężczyzna mówił doskonale po włosku; być może nie marnowałby takiego talentu, wyjeżdżając do innego kraju. Poza tym we Włoszech było pełno muzeów i bibliotek, państwowych, prywatnych i kościelnych, zapewniających mu szerokie pole do popisu. Brunetti zdawał sobie sprawę, jak groteskowe jest użycie takiego określenia na to, co robił ów mężczyzna.

Zabrał ksero paszportu Nickersona i zszedł na dół do gabinetu signoriny Elettry. Dopiero co minęła dziesiąta, więc było o wiele za wcześnie na pojawienie się Patty. Signorina Elettra siedziała dzisiaj za komputerem, ubrana w różowy sweter z angory, którego widok kazał Brunettiemu natychmiast zrewidować niepochlebną opinię zarówno o kolorze, jak i o tej odmianie wełny.

– *Vice-questore* wyraził zaniepokojenie sprawą kradzieży w bibliotece, *commissario*.

Brunetti był ciekawy, czy *vice-questore* wyraził także zaniepokojenie ściągnięciem na ich głowy dziennikarskich Erynii.

– Rozmawiałem z Amerykanami, paszport jest fałszywy – powiedział i położył na biurku kserokopię.

Przyjrzała się fotografii.

– Jak sądzę, należało się tego spodziewać. Czy mam wysłać to do Interpolu i do ludzi z wydziału do spraw kradzieży dzieł sztuki w Rzymie, żeby sprawdzić, czy go nie rozpoznają? – zapytała.

– Tak – odparł Brunetti, ponieważ przyszedł specjalnie, żeby ją o to poprosić. – Wie pani może, czy *vice-questore* rozmawiał z kimś jeszcze o tej sprawie? – zapytał.

– Jediną osobą, z którą on rozmawia, jest porucznik Scarpa – odparła, wymawiając słowo „osoba” tak, jakby nie była pewna, czy jest w tym przypadku stosowne. – Mam wrażenie, że żaden z nich nie uznaje kradzieży książek za poważne przestępstwo.

– Niepokoiłem się ze względu na prasę – powiedział, popatrzył na tulipany na jej biurku i pomyślał, że byłoby miło, gdyby przyniósł dzisiaj wieczorem

podobne do domu. Sięgnął, by przesunąć jeden odrobinę w lewo. – Nie sędzę, by hrabina życzyła sobie rozgłosu.

– Która hrabina? – zapytała bez nacisku signorina Elettra.

– Morosini-Albani – odparł Brunetti, którego uwaga nadal skupiała się na kwiatach.

Wydała z siebie jakiś dźwięk. To nie było westchnienie ani słowo, zaledwie dźwięk. Gdy na nią spojrział, wpatrywała się w ekran komputera, z podbródkiem opartym na zasłaniającej go lewej dłoni. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, oczy utkwiała w ekranie, ale kolor jej policzków był bliższy kolorowi jej swetra niż chwilę wcześniej.

– Widywałem ją kilkakrotnie u moich teściów – wyjaśnił swobodnie Brunetti, przesuwając kolejny tulipan przed zasłaniający go szeroki liść. – Rzekłbym, że to niezwykle interesująca kobieta. – Dodał z absolutną obojętnością: – Spotkała ją pani może?

Prawą ręką nacisnęła kilka klawiszy, na lewej nadal opierała podbródek. W końcu powiedziała:

– Raz. Wiele lat temu. – Odwróciła się od komputera i spojrzała na Brunettiego z twarzą wypraną z wszelkich emocji. – Znałam kiedyś jej pasierba.

Zaciekawiony Brunetti milczał, aż w końcu wymyślił odpowiedź.

– Podarowała wiele książek bibliotece. Nie wiem, ile z tych, które zostały zniszczone, należało kiedyś do niej, czy też pochodziły z oryginalnej kolekcji, ale podarowała im jedną z książek, które zostały ukradzione, i jedną z tych, które zostały zniszczone. Taka wiadomość raczej nie ucieszy darczyńcy.

– Aha – powiedziała tonem, który miał podkreślić jej brak zainteresowania sprawą.

Wyciągnął notes i otworzył go na stronie, na której zapisał tytuły podane mu przez dottoressę Fabbiani.

– Są wśród nich egzemplarze Ramusia i Montalbodda – powiedział, bardzo dumny ze swobody, z jaką wymieniał te nazwiska.

Mruknęła coś z podziwem, zupełnie jakby ich znała.

– Wie pani coś o tych książkach?

– Słyszałam o nich – przyznała. – Mój ojciec od zawsze interesował się

starymi książkami. Ma nawet kilka.

– Czy je kupił? – zapytał Brunetti.

Odwróciła się do niego i roześmiała szczerze, całkowicie likwidując odczuwalne jeszcze w pokoju napięcie.

– To brzmi, jakby pan uważał, że mógł je ukraść. Zapewniam, że od miesiący nie zbliżał się do Meruli.

Brunetti uśmiechnął się z ulgą, ponieważ po dziwnej reakcji na nazwisko hrabiny powrócił jej dobry humor.

– Czy wie pani coś o takich książkach?

– Nie, niewiele. Pokazywał mi je czasem i tłumaczył, co sprawia, że są wyjątkowe, ale rozczarowałam go.

– Dlaczego?

– Och, uważam oczywiście, że ich papier i oprawa są piękne, ale nie potrafię się nimi ekscytować. – Brzmiała tak, jakby miała do siebie o to autentyczne pretensje. – Chodzi o kolekcjonerstwo, nie rozumiem go albo raczej nie czuję. – Zanim zdążył zapytać, wyjaśniła: – Nie chodzi o to, że nie lubię pięknych rzeczy, po prostu brakuje mi dyscypliny, by zbierać je w systematyczny sposób, a myślę, że tak właśnie postępują prawdziwi kolekcjonerzy. Chcą mieć po jednej rzeczy z kategorii, którą są zainteresowani, nieważne, czy chodzi o niemieckie znaczki pocztowe z kwiatami, o kapsle od coca-coli czy... o cokolwiek, co postanowią zbierać.

– A jeśli się nie czuje ich entuzjazmu... – zaczął.

– Nie ma mowy, żeby kiedykolwiek poczuć ich ekscytację – dokończyła. – Czy choćby ją naprawdę zrozumieć.

Jej nastrój złagodniał, więc odważył się zapytać:

– A hrabina?

Signorina Elettra nagle zaczęła wyglądać surowo.

– Co z nią? – zapytała.

Brunetti gorączkowo zastanawiał się nad powodem, który usprawiedliwiłby ponowne przywołanie przez niego hrabiny w tej rozmowie.

– Chciałbym, żeby pani sprawdziła, co wiadomo na temat tego daru, który przekazała bibliotece. To było około dziesięciu lat temu. Wszystko, co pani

znajdzie na temat warunków darowizny, będzie dla mnie przydatne – dodał, przypominając sobie sugestię Patty, że hrabina może zażądać zwrotu książek.

Pochyliła głowę nad notesem, żeby zapisać jego prośbę.

– Chciałbym też sprawdzić, czy da się coś znaleźć na temat Alda Franchiniego, który mieszka u wylotu Via Garibaldi i mniej więcej trzy lata temu przestał być nauczycielem w prywatnej szkole w Vicenzie. Ma młodszego brata, który chodził do szkoły z dyrektorką biblioteki, zbliżając się zapewne do sześćdziesiątki, więc z pewnością nie jest to młody mężczyzna.

– Coś jeszcze?

– Może pani sprawdzić jego powiązania z Kościołem.

Podniosła na niego spojrzenie i uśmiechnęła się.

– Mieszkamy we Włoszech, *commissario*.

– Cóż to oznacza?

– Że, czy tego chcemy, czy też nie, wszyscy mamy powiązania z Kościołem.

– Zaiste – było pierwszą odpowiedzią, jaka przyszła Brunettiemu do głowy. – Jednak w tym przypadku bardziej niż zwykle; on był dawniej księdzem.

– Ach.

– Zaiste – powtórzył i odwrócił się do drzwi.

Gdy ruszył w ich stronę, signorina Elettra zapytała:

– Czego chce się pan dowiedzieć o tym Franchinim?

– Nie wiem – przyznał Brunetti. – Wydaje się, że przynajmniej w niektórych przypadkach mógł się znajdować w sali bibliotecznej w czasie, gdy doszło do kradzieży. – Uniosła brwi, słysząc te słowa. – Przez ostatnie trzy lata czytał tam Ojców Kościoła.

– Ile czasu tam spędzał? Na czytaniu?

– Nie pytałem, ale wydaje mi się, że bardzo dużo. Dyrektorka biblioteki powiedziała, że stał się elementem wyposażenia, niemal jednym z pracowników.

– I nic im nie powiedział o tym, co się działo? – zapytała.

– Być może niczego nie zauważył.

– Tak bardzo pochłaniał go bełkot Ojców Kościoła?

– Lub też siedział odwrócony plecami.

Odczekała kilka sekund i zapytała:

– Czy mógł być zainteresowany tym, co się działo, lub też w to zamieszany?
Brunetti wzruszył ramionami.

– Gdyby był w to zamieszany, toby oznaczało, że celowo przez trzy lata siedział i czytał Ojców Kościoła, lub też udawał, że ich czyta. Nie wiem, co byłoby gorsze. Potrafi sobie pani wyobrazić rozmiary chciwości, która popchnęłaby kogoś do czegoś takiego? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Poza tym, skoro rzeczywiście czytał Ojców Kościoła, wydaje się mało prawdopodobne, by był w coś takiego zamieszany.

Odwróciła od niego głowę i tak długo patrzyła w pusty obecnie monitor komputera, że pomyślał, iż nie ma nic do powiedzenia. W końcu jednak zapytała:

– Naprawdę pan tak sądzi?

– Tak.

– To niezwykle – oznajmiła i dodała, nie ukrywając własnego zaskoczenia: – Ja także.

Brunetti przystanął na schodach, by zastanowić się nad osobliwością ich wspólnego założenia, że osoba, która spędza czas na czytaniu Ojców Kościoła, najprawdopodobniej jest uczciwa. Franchini mógł ich czytać z wielu powodów: zainteresowania retoryką, historią, detalami sporu teologicznego. A jednak zarówno Brunetti, jak i signorina Elettra automatycznie przyjęli, iż nie mógł być zamieszany w kradzieże ani nawet ich świadomy, jakby płaszcz domniemanej świętości Ojców Kościoła przykrywał także Franchiniego.

Brunetti nie pamiętał, co historyczny Tertulian miał do powiedzenia o kradzieży, ale raczej nie zostałby uznany za Ojca Kościoła, gdyby jej nie potępiał, bo na co wtedy zdałyby się przykazania? Które to było? Czwarte? Brunetti wiedział, że dalej na tej liście znajdowało się pożądanie cudzych rzeczy – grzech, który postrzegał zawsze jako przystawkę do Orwellowskiej myślozbrodni. Uważał za rzecz całkowicie normalną pożądanie cudzej żony lub rzeczy. Jak gwiazdy filmowe zdobywałyby sławę, gdyby tak się nie działo? Po co by wznoszono Reggia di Caserta, kupowano maserati lub rolls-royce'y, gdyby pożądlivość i zawiść nie przenikały ludzi do szpiku kości?

Usiadł za biurkiem i zapomniał o różnicy czasu, gdy postanowił zadzwonić do dziekanatu Wydziału Historii Uniwersytetu Kansas. Wybrał numer i po pięciu dzwonekach usłyszał nagrany komunikat, że dziekanat pracuje od dziewiątej do szesnastej, od poniedziałku do piątku, proszę nacisnąć jeden, by zostawić wiadomość. Przeszedł na angielski, wyjaśnił, że jest komisarzem włoskiej policji i chciałby, żeby ktoś skontaktował się z nim telefonicznie lub e-mailowo. Podał swoje nazwisko, numer telefonu i adres e-mail, podziękował automatycznej sekretarce i rozłączył się. Spojrzał znowu na zegarek, a potem na palcach obu dłoni obliczył, że w Kansas jest jeszcze środek nocy. Ponieważ nigdy nie miał pewności, czy można polegać na współpracy technologii i pracowników biurowych, włączył komputer i odszukał adres e-mailowy Wydziału Historii. Napisał bardziej szczegółowe wyjaśnienie swojej prośby, podał nazwisko i specjalizację Nickersona, a także nazwisko osoby, która

podpisała list, i poprosił o oddanie mu przysługi i szybką odpowiedź, ponieważ w grę wchodzi sprawa kryminalna.

Przejrzał szybko swoją pocztę, nie znalazł nic, co by go zainteresowało, niezależnie od tego, jak bardzo ponaglące były żądania odpowiedzi. Otworzył dostępną w komendzie kartotekę osób aresztowanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat, wpisał nazwisko Piero Sartora, a potem dla pewności spróbował też z imieniem Pietro. Znalazł dwa wyniki, po jednym dla Piero i dla Pietro, ale wiek zatrzymanych – jeden miał ponad sześćdziesiąt lat, a drugi zaledwie piętnaście – wykluczył ich od razu. Dla pewności wpisał też Patrizię Fabbiani, ale nie znalazł jej w policyjnych aktach.

Skoro już się tym zajmował, pomyślał, że równie dobrze może zrobić to samo, co signorina Elettra, i wpisał nazwisko Alda Franchiniego.

– Proszę, proszę – mruknął, gdy system wyświetlił informacje o mężczyźnie w wieku sześćdziesięciu jeden lat, mieszkającym pod adresem Castello 333. Brunetti nie był pewien, gdzie to jest dokładnie, ale wiedział, że gdzieś u wylotu Via Garibaldi.

Franchini był przesłuchiwany, chociaż nie aresztowany, sześć miesięcy temu, w związku z incydem na Via Garibaldi, po którym trafił do szpitala ze złamanym nosem. Mężczyzna siedzący na ławce przy Viale powiedział policji, że widział Franchiniego na innej ławce, z książką w ręku, rozmawiającego ze stojącą przed nim kobietą. Nieco później usłyszał gniewny głos, a gdy podniósł wzrok, zobaczył mężczyznę stojącego w miejscu, gdzie wcześniej była kobieta. Bez żadnego ostrzeżenia mężczyzna podciągnął Franchiniego na nogi, uderzył go, po czym się oddalił.

Napastnik, który został szybko zidentyfikowany i aresztowany, był wcześniej notowany za drobne kradzieże i paserstwo, miał też sądowy zakaz zbliżania się do dawnej partnerki na odległość mniejszą niż sto metrów, bo groził jej śmiercią. Okazało się, że to właśnie ona rozmawiała z ofiarą pobicia.

Jednakże Franchini odmówił wniesienia oskarżenia przeciwko napastnikowi, twierdząc, że wstał, gdy mężczyzna na niego krzyczał, a potem musiał się potknąć i złamać nos przy upadku.

Brunetti wpisał nazwisko napastnika, Roberta Durà, do komputera i znalazł szereg informacji o jego aresztowaniach za drobne przestępstwa, które nie zakończyły się wymierzeniem kary więzienia, zazwyczaj z powodu braku

świadków lub wystarczających dowodów, bądź też dlatego, że sąd nie uznał sprawy za wartą rozpatrywania. Dowiedział się, że Durà przebywa obecnie w więzieniu w Treviso, skazany trzy miesiące temu na cztery lata za rozbój z bronią i napaść.

Brunetti wyjrzał przez okno i zobaczył niebieskie niebo ze spiętrzonymi chmurami kłębiącymi się na wschodzie, idealny dzień, by przespacerować się do Castello i trochę rozejrzeć. Po drodze zatrzymał się w pokoju odpraw, gdzie zobaczył za biurkiem inspektora Vianella, pochylonego i rozmawiającego przez *telefonino*. Jedną ręką zasłaniał słuchawkę, by stłumić dźwięk swojego głosu. Brunetti zatrzymał się kilka metrów od niego i obserwował jego twarz. Vianello miał zamknięte oczy i skupioną twarz, jakby poganiał konia wyścigowego do zwycięstwa.

Komisarz nie chciał odrywać Vianella od rozmowy, więc podszedł do biurka, które Alvisie dzielił z Riverrem, i zastał tego pierwszego zajętego zapisywaniem czegoś w małym notesie. Gdy się jednak zbliżył, zorientował się, że to krzyżówka; być może sudoku było dla Alvisiego zbyt skomplikowane. Tak bardzo koncentrował się na słowach, że nie zauważył przełożonego. Gdy Brunetti wymówił jego nazwisko, Alvisie zerwał się na równe nogi.

– *Sì, signore* – powiedział i podniósł do czoła rękę, w której trzymał ołówek, ryzykując wydłubanie oka.

– Czy możesz poprosić Vianella, kiedy skończy, żeby przyszedł na dół do baru?

– Oczywiście, *commissario* – powiedział Alvisie i zrobił notatkę ołówkiem na marginesie książeczki z krzyżówkami.

– Dziękuję – odparł Brunetti, po raz kolejny ponosząc porażkę w kwestii wciągnięcia Alvisiego w swobodną rozmowę. Wyszedł z komendy i przeszedł wzdłuż *riva* do baru. Bambola, Senegalczyk, który praktycznie prowadził teraz bar w zastępstwie właściciela, uśmiechnął się, gdy Brunetti wszedł do środka, i nalał mu kieliszek białego wina. Brunetti wziął kieliszek oraz aktualny egzemplarz „*Il Gazzettino*” i podszedł do stolika na samym końcu, przy oknie, żeby widzieć, kiedy przyjdzie Vianello. Otworzył gazetę na środku. Spojrzał machinalnie na zegarek, a godzina uświadomiła mu nagle, jak bardzo jest głodny. Wyjął *telefonino* z myślą o wysłaniu Paoli SMS-a z przeprosinami, że zapomniał o obiedzie, ale ostatecznie zebrał się na odwagę i do niej zadzwonił.

Narzekąca, ale ponieważ nie wymieniła dań, które go ominą, wiedział, że robiła to bez przekonania. Obiecał, że wróci na kolację, powiedział, że kocha ją bezgranicznie, i rozłączył się. Zawołał Bambole i poprosił, żeby wybrał trzy *tramezzini* dla niego i trzy dla Vianella, a potem wrócił do rozłożonej gazety.

W polityce jak zwykle panował chaos, ale Brunetti przysiągł sobie, że nie będzie czytał niczego związanego z polityką aż do końca roku lub do przybycia króla-filozofa. Dwadzieścia hektarów ziemi rolnej w Kampanii zostało zanieczyszczonych toksycznymi odpadami. Artykułowi towarzyszyły zdjęcia zatrutych owiec, które spożyły tam ostatni posiłek. Guardia di Finanza przypuściła błyskawiczny atak na biura partii rządzącej Lombardią przez ostatnią dekadę. Cóż, to była polityka, prawda? Nagroda za szczególne zasługi została przyznana mężczyźnie, który zamierzał wybudować w lądowej części Wenecji wieżę niezrównanej brzydoty, widoczną z każdego miejsca w mieście. Brunetti westchnął i wrócił na pierwszą stronę, gdzie zobaczył zdjęcie byłego dyrektora projektu MOSE – siedem miliardów euro wydano już na zatrzymywanie wód laguny – obecnie aresztowanego i oskarżonego o korupcję. Brunetti uśmiechnął się, uniósł kieliszek w geście ironicznego toastu i wypił duży łyk.

– Alwise mówił, że chciałeś, żebym przyszedł – powiedział Vianello, stawiając na stoliku talerz z *tramezzini* i kieliszek białego wina. Zanim Brunetti zdążył odpowiedzieć, inspektor wrócił do baru, żeby przynieść dwie szklanki wody mineralnej. Postawił je na stoliku i usiadł naprzeciwko Brunetti.

Brunetti skinął głową, żeby mu podziękować, i wziął kanapkę.

– Znaleźliście jakieś odciski palców na tych książkach? – zapytał, ponieważ nie zdążył wcześniej porozmawiać z Vianellem.

Vianello napił się wina.

– Nigdy nie widziałem tych techników tak bliskich płaczu, obydwu – powiedział.

– Dlaczego? – zapytał Brunetti i odgryzł kęs kanapki z jajkiem i tuńczykiem.

– Zastanawiałeś się kiedyś, ile osób dotyka książki w bibliotece? – Vianello odstawił kieliszek i sięgnął po kanapkę.

– *Oddio* – stwierdził Brunetti. – To oczywiste, że będzie ich wielu. – Napił się wina i zapytał: – Wzięli odciski palców pracowników?

– Tak – odparł Vianello. – Wszyscy powtarzali, że na książkach będą setki odcisków, ale chętnie współpracowali, kiedy powiedzieliśmy, że musimy je zebrać.

– Nawet *direttrice*? – zapytał Brunetti.

– To ona powiedziała im, żeby po prostu się zgodzili. Nawet na ochotnika pozwoliła wziąć własne.

To zaskoczyło Brunettiego, rzadko stykającego się z osobami na kierowniczych stanowiskach, które współpracowałyby w taki sposób z policją.

– To dobrze o niej świadczy – zauważył, biorąc następną kanapkę. – Idę do Castello, porozmawiać z kimś, więc pomyślałem, że może chciałbyś się przejść ze mną. – Kanapka była z szynką i karczochami, a Brunetti podejrzewał, że Bambola musiał zeskrobać z niej część majonezu, zanim położył ją na talerzu.

– Oczywiście – powiedział Vianello i poczęstował się drugą kanapką. – Chcesz, żebym był dobrym czy złym gliną?

Brunetti uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Dzisiaj nie będzie takiej potrzeby. Obaj możemy być dobrymi glinami. Chcę tylko z nim porozmawiać.

– Z kim?

Brunetti opowiedział o kradzieżach i zniszczeniu książek w bibliotece, wspominał o związku rodziny Morosinich-Albanich z całą sprawą, a na koniec opisał gwałtowną reakcję signoriny Elettry na to nazwisko.

– Znała pasierba? – zapytał Vianello. – Jak on ma na imię? Giovanni? Gianni? – Wziął kolejną kanapkę i napił się wina.

Ciekawość Brunettiego została na nowo podsycona. Gianni Morosini-Albani mógłby być sztandarowym argumentem za pozbyciem się arystokracji, nieuczciwym i powszechnie znanym konsumentem nielegalnych substancji. On i signorina Elettra? Nie do pomyslenia.

Stłumił chęć, by stanąć w jej obronie.

– Nie sprawiała wrażenia zadowolonej, gdy usłyszała jego nazwisko – powiedział tylko.

– Ma opinię niezwykle czarującego człowieka – oznajmił Vianelli kompletnie bez przekonania.

– Owszem, wydaje się, że wiele osób go lubi – przyznał Brunetti.

Vianello machnął ręką.

– Wiele lat temu musiałem pójść po niego, kiedy miał być aresztowany. Właściwie doprowadzony na przesłuchanie. Jakies piętnaście lat temu. Był bardzo uprzejmy, zaprosił *commissario* do domu, poczęstował nas wszystkich kawą. Było nas trzech, licząc z komisarzem. – Vianello nie uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Kto to był?

– Battistella.

Brunetti pamiętał go – głupca, który prześliznął się na wcześniejszą emeryturę i nadal był okazjonalnie widywany w barach, gdzie opowiadał o swojej świetlanej karierze obrońcy sprawiedliwości. Z biegiem lat Brunetti zdążył się zorientować, że Battistelli nie proponowano drinków, ale on był skłonny stawiać je każdemu, co gwarantowało mu stałe grono słuchaczy.

– Battistella był oczywiście zachwycony. Oto syn jednej z najbogatszych rodzin w mieście, dziedzic rodu, ulubieniec dam, zaprasza nas na kawę – dodał Vianello, a jego głos stał się twardszy. – Mam wrażenie, że znalazł się pod jego urokiem. Gdyby Gianni chciał uciec, Battistella by mu pomógł; nie zdziwiłbym się, gdyby dał swoją broń i przytrzymał otwarte drzwi.

– Dlaczego miał zostać zatrzymany?

– Z powodu dziewczyny, najwyżej piętnasto- czy szesnastoletniej. Trafiła do szpitala noc wcześniej, coś przedawkowała. Była na przyjęciu w *palazzo*, ale znaleziono ją, co nigdy nie zostało wyjaśnione, przy bocznym wejściu do szpitala. – Vianello urwał i jeszcze twardszym głosem dorzucił informację. – Powiedziała, że była w *palazzo*, ale żadna z osób, które wskazała jako także tam obecne, nie pamiętała, by ją widziała.

– Co się z nią stało?

Vianello w sposób wiele mówiący wzruszył ramionami.

– Była nieletnia, więc akta zostały utajnione. Spędziła noc w szpitalu, a rano pozwolono jej wrócić do domu. Kiedy w końcu powiedziała rodzicom, co się stało, zadzwonili do nas.

– Dlatego właśnie zostaliście do niego wysłani? – Brunetti sięgnął po kanapkę, ale zobaczył, że Vianello zjadł ostatnią. Dopił więc wino.

– Sędzia zadzwonił do niego i powiedział, że chciałby porozmawiać o tym, co się stało na przyjęciu, ale Gianni oznajmił, że jest zbyt zajęty, a w ogóle to o jakim przyjęciu mówimy? – Vianello podniósł kieliszek, przekonał się, że jest pusty, i odstawił go. – Po tym telefonie sędzia nas wysłał, żebyśmy go przyprowadzili na przesłuchanie.

– Chciał sprawdzić, czy sobie przypomni przyjęcie? Albo dziewczynę?

– Właśnie.

– Czy to był Rotili? – zapytał Brunetti, wymieniając szczególnie aktywnego sędziego, który dzięki swoim sukcesom zapracował na przeniesienie do miasteczka na granicy Piemontu i Francji, gdzie mógł się zajmować kradzieżami nart i zwierząt gospodarskich.

– Tak i prawdopodobnie właśnie to przesądziło o jego przeniesieniu. Ojciec Gianniego wtedy jeszcze żył i nie przyjmował do wiadomości, że jego syn mógłby zrobić coś złego.

Brunetti nigdy nie spotkał świętej pamięci hrabiego, ale wiedział o jego reputacji i zasięgu jego wpływów.

– Dlatego Rotili wyjechał do Piemontu?

– Tak – odparł Vianello bez komentarza.

– A jak się skończyła historia z tą dziewczyną? – zapytał Brunetti.

– Wymieniła cztery osoby, które jej zdaniem tam były. Wszystkie co najmniej piętnaście lat od niej starsze – powiedział Vianello. – W tym Gianniego.

– Nikogo z nich nie było na przyjęciu i nigdy w życiu nie widzieli tej dziewczyny?

– Tak. A były wśród nich dwie kobiety. – Vianello nie potrafił ukryć obrzydzenia.

– Jak się zachowywał Battistella?

– Byłem wtedy szeregowym funkcjonariuszem, więc miałem dość rozsądku, by trzymać język za zębami, ale to było naprawdę okropne.

– To znaczy?

– To znaczy, że mężczyzna około pięćdziesiątki płaszczyl się przed kimś, kto niedawno przekroczył trzydziestkę, był już zatrzymywany przez policję co

najmniej w dwóch innych krajach i wszyscy wiedzieli, że bierze narkotyki, a być może także sprzedaje je swoim bogatym znajomym. – Vianello pochylił się do przodu i oparł na łokciach. – Powiedział Battistelli, że dziewczyna chyba zwariowała, żeby wymyślić taką historię. Gdy Battistella się z nim zgodził, Morosini dodał, że pewnie przez narkotyki i że uważa za okropne to, jak rodzice w ogóle nie pilnują swoich dzieci.

Vianello bez ostrzeżenia odchylił się do tyłu, jakby chciał odsunąć od siebie własne słowa lub wspomnienie tej sceny.

– Miałem już wtedy trochę doświadczenia, więc nic nie powiedziałem, starałem się tylko stać tam i wyglądać jak najgłupiej.

– Battistella zawsze to lubił – pozwolił sobie na uwagę Brunetti. – Co było później?

– O ile pamiętam, dzień był ładny, więc poszli do komendy razem, rozmawiając jak najlepsi przyjaciele. – Urwał, po czym dodał: – Dziwne, że nie trzymali się za ręce.

– A ty?

– O, ja szedłem za nimi i pokazywałem, że nie interesuje mnie, o czym mówią. Szedłem obok tego drugiego policjanta, nie pamiętam już nawet, kto to był, czasem wymienialiśmy w przelocie zdanie lub dwa. Ale przysłuchiwałem się większości ich rozmowy. – Po chwili dodał: – Trudno było tego nie słyszeć.

– O czym rozmawiali?

– O młodych dziewczynach.

– Ach – powiedział Brunetti. – Z ich *palazzo* do komendy nie jest daleko, więc przynajmniej nie musiałeś tego słuchać aż tak długo.

– Jak często powtarzała moja babka, miłosierdzie Boże jest we wszystkim. – Vianello podniósł się i wyszli, żeby pójść do Castello.

Poszli piechotą, żeby nie tracić radości z kończącego się dnia. Zrobiło się dostatecznie ciepło, by pączki glicynii zaczęły prężyć mięśnie, jak lekkoatleci przebierający nogami, zanim zerwą się do biegu lub skoku. Brunetti zauważył, że jak co roku glicynie wczołgiwały się po ceglanych murze po drugiej stronie mijanego kanału. Za tydzień kiście pąków zaczną się zwieszać nad wodą, a po kolejnym w ciągu jednej nocy nastąpi lawendowa eksplozja, atakująca wonią wszystkich przechodniów i sprawiająca, że każdy, kto poczuje ten zapach, zacznie się zastanawiać, co na litość boską wyprawia, idąc do pracy w taki dzień jak ten, by gapić się w ekran komputera, podczas gdy na zewnątrz życie rozpoczyna się na nowo.

Dla Brunettiego wiosna rozwijała się razem z zapamiętanymi zapachami: bzy na dziedzińcu przy Madonna dell'Orto; bukiety konwalii przywożone z Mazzorbo przez staruszka, który co roku sprzedawał je na stopniach kościoła Gesuiti i pojawiał się tam od tylu lat, że nikt nie ośmielał się kwestionować jego prawa do prowadzenia działalności handlowej; zapach świeżego potu unoszący się z ciał stłoczonych w tramwaju wodnym, mile widziana odmiana po zatechłym zimowym zapachu kurtek i płaszczy zbyt wiele razy wkładanych, zbyt długo niepranych swetrów.

Gdyby życie miało zapach, można by go poczuć wiosną. Bywały chwile, gdy Brunetti miał ochotę ugryźć powietrze, by je posmakować, chociaż wiedział, że to niemożliwe. Było jeszcze za wcześnie, żeby zacząć zamawiać spritz, ale jego apetyt na poncz rumowy przeminął wraz z ostatnim zimnym dniem.

Tak jak zawsze od czasów dzieciństwa, Brunetti czuł przyływ nieukierunkowanej dobrej woli wobec wszystkiego i wszystkich, którzy go otaczali, jakby zakończył się okres emocjonalnej hibernacji. Patrzył na świat z aprobatą, a perspektywa spaceru wydawała się zniewalająca. Jak pies pasterski kierował Vianella tam, gdzie miał zamiar iść, prowadząc go obok Sant'Antonin i dalej na *riva*. Kościół San Giorgio wznosił się naprzeciwko, widoczny między

wysokimi masztami łodzi zacumowanych wzdłuż ściany bocznej kościoła.

– W takie dni mam ochotę z tym skończyć – odezwał się niespodziewanie Vianello.

– Z czym?

– Z pracą. Z byciem policjantem.

Brunetti siłą woli zachował spokój.

– I co byś robił? – zapytał.

Obaj wiedzieli, że byłoby szybciej, gdyby poszli w przeciwną stronę, przeszli mostem pod Arsenalem i dalej wzdłuż Tana, ale zwabiła ich chęć spojrzenia na otwartą wodę i nie zdołali się oprzeć tej pokusie.

Vianello stał przez chwilę, patrząc na kościół i fale chlupoczące w *bacino*, a potem skręcił w lewo i ruszył w stronę Via Garibaldi.

– Nie wiem. Nic nie interesuje mnie tak bardzo jak praca. Lubię to, co robię. Ale w te pierwsze wiosenne dni mam ochotę uciec i dołączyć do taboru cygańskiego albo zaciągnąć się na frachtowiec i popłynąć... sam nie wiem... na Tahiti.

– Mogę się z tobą zabrać? – zapytał Brunetti.

Vianello roześmiał się i prychnął, by wyrazić brak wiary w to, że którykolwiek z nich zdobędzie się na odwagę, by zrobić coś takiego.

– Ale byłoby miło, prawda? – zapytał, przyjmując tchórzostwo Brunettiego za pewnik.

– Raz jeden uciekłem – powiedział Brunetti.

Vianello zatrzymał się i odwrócił do niego.

– Uciekłeś? Gdzie?

– Miałem wtedy jakieś dwanaście lat – Brunetti pozwolił, by wspomnienia mogły wrócić. – Mój ojciec stracił pracę i właściwie nie mieliśmy pieniędzy, więc postanowiłem znaleźć pracę, żeby coś przynieść do domu. – Zadumał się nad swoją młodością, swoimi pragnieniami lub swoją głupotą.

– Co zrobiłeś?

– Popłynąłem tramwajem wodnym do Sant'Erasmuso i zacząłem podpytywać farmerów na polach, było ich wtedy znacznie więcej niż teraz – czy znalazłaby się jakaś robota. – Zaczekał, ale Vianello ruszył przed siebie, więc Brunetti

przyśpieszył kroku, by go dogonić. – Nie chodziło o prawdziwą pracę, tylko coś na jeden dzień. To był chyba weekend, bo nie przypominam sobie, żebym uciekł ze szkoły.

Szedł po zewnętrznej stronie, bliżej wody.

– W końcu jeden z nich się zgodził, dał mi widły, którymi pracował, i powiedział, żebym dokończył spulchnianie ziemi na polu. – Brunetti zwolnił, a Vianello zrobił to samo, by dopasować się do rytmu jego wspomnień.

– Zacząłem za szybko i wbijałem widły za głęboko, więc zatrzymał mnie i pokazał, jak to się robi: trzeba wbić pod takim kątem, nacisnąć widły stopą, przewrócić ziemię, rozbić bryłę kilkoma uderzeniami, a potem wbić widły jeszcze raz.

Vianello skinął głową. Ponieważ Brunetti nie powiedział nic więcej, zapytał:

– Co było dalej?

– Och, zostawił mnie, żebym pracował przez resztę popołudnia. Kiedy skończyłem, miałem na obu dłoniach krwawe pęcherze, ale nie przerywałem pracy, ponieważ chciałem zabrać do domu coś, co będę mógł dać matce.

– I zabrałeś?

– Tak. Gdy skopałem mniej więcej pół pola, powiedział, że to wystarczy, i dał mi trochę pieniędzy.

– Pamiętasz, ile to było?

– Pewnie koło dwustu lirów, w ogóle już nie pamiętam. Ale wydawało mi się wtedy, że to bardzo dużo.

– Mogę sobie wyobrazić.

– Zabrał mnie do swojego domu, żebym mógł umyć twarz i ręce i wyczyścić buty. Jego żona dała mi kanapkę i szklankę mleka, chyba prosto od krowy. Było niezwykle, nigdy nie piłem czegoś tak dobrego. Potem wróciłem do *imbarcadero* i popłynąłem tramwajem wodnym do miasta.

– A twoja matka?

Brunetti przystanął.

– Wszedłem do mieszkania. Była w kuchni, a gdy mnie zobaczyła, zapytała, czy dobrze się bawiłem z kolegami. To jednak musiał być weekend.

– A potem?

– Położyłem pieniądze na stole i powiedziałem, że to dla niej. Że zarobiłem je pracą. Wtedy spojrzała na moje ręce i odwróciła je. Posmarowała jodyną i zabandażowała.

– Ale co powiedziała?

– Podziękowała mi i powiedziała, że jest ze mnie dumna, ale ma nadzieję, że wiem już, jak ciężko trzeba pracować, żeby coś zarobić, pracując fizycznie. – Brunetti uśmiechnął się, ale bez rozbawienia. – Początkowo nie wiedziałem, o czym myśli, ale potem zrozumiałem. Pracowałem przez cały dzień, przynajmniej wydawało mi się, że minął cały dzień, chociaż sędzę, że to raczej było kilka godzin. Zarobiłem tylko tyle, że starczyłoby jej na kupienie odrobiny makaronu, ryżu i może kawałka sera. Dlatego pojąłem, o co jej chodziło: jeśli wykorzystywało się do pracy tylko swoje ciało, można było zapracować tylko na jedzenie. Nawet wtedy wiedziałem, że nie chcę spędzić tak całego życia.

– No i tak się stało? – zapytał Vianello, uśmiechając się szeroko. Klepnął Brunettiego w ramię i znowu ruszył w stronę Via Garibaldi.

Gdy skręcili w szeroką ulicę, Brunetti zobaczył dowody na poparcie swojej tezy, że był to jeden z nielicznych rejonów miasta nadal zdominowany przez weneccjan. Wystarczyło, że zobaczył beżowe wełniane swetry i krótko przycięte, starannie ondulowane włosy, by wiedzieć, że starsze kobiety są weneccjankami; te dzieci na deskorolkach nie przyjechały tu na wakacje; a mężczyźni z zagranicy na ogół nie stali tak blisko siebie podczas rozmowy. Sklepy sprzedawały rzeczy przeznaczone do zużycia w mieście, w którym zostały kupione, nie zaś do zapakowania i zabrania do domu, gdzie będą pokazywane jak upolowany jeleń, zastrzelony i przywiązany na dachu samochodu. Tutaj ludzie kupowali rzeczy potrzebne w kuchni, papier toaletowy i białe bawełniane T-shirty do noszenia w charakterze bielizny.

Na końcu, tam gdzie ulica dochodziła do Rio di Sant'Anna, skręcili w lewo. Brunetti poprowadził ich dalej do domu z numerem, który znalazł w *Calli, Campielli e Canali*. To było przy Campo Ruga, więc pozwolił, by pokierowały nim wspomnienia: w lewo, w prawo, do kanału i przez most, w pierwszą ulicę w lewo, a potem na *campo*.

Dom był po przeciwnej stronie *campo*, wąski budynek, który bardzo potrzebował nowej warstwy tynku, a sądząc po jego wyglądzie, także nowych rynien. Woda przez lata wyżarła w trzech miejscach tynk i zaczęła dobierać się

na deser do cegieł. Słońce wydobywało z okiennic na pierwszym i drugim piętrze zmęczony, zakurzony odcień zieleni. Każdy weneccjanin potrafił odczytywać z szarzejących bąbli tynku informacje jak archeolog z warstw ziemi, by ustalić, ile czasu upłynęło, od kiedy ktoś tu mieszkał. Te mieszkania musiały stać puste od dziesiątków lat.

Okiennice na trzecim piętrze były otwarte, chociaż nie wydawały się być w lepszym stanie niż te na niższych piętrach. Przy drzwiach były trzy dzwonki, ale tylko przy najwyższym z nich znajdowało się nazwisko: Franchini. Brunetti zadzwonił, zaczekał, znowu zadzwonił, tym razem nasłuchując dźwięków, które mogły dobiec z góry. Nic.

Rozejrzał się po *campo*, które wydawało się zaskakująco niegościnne. Były tu dwa nagie drzewa, wyraźnie niezainteresowane nadejściem wiosny, i dwie ławki, równie spłowiałe i pokryte plamami, jak okiennice domu. Chociaż *campo* było duże, żadne dzieci się tutaj nie bawiły, być może dlatego, że z jednej strony plac przylegał do nieogrodzonego kanału.

Brunetti nie pomyślał o zapisaniu numeru telefonu, ale Vianello, który miał smartfona, znalazł książkę telefoniczną online, a następnie numer. Zadzwonił. Tym razem z góry dobiegł ich cichutki, metaliczny dźwięk dzwonka. Odezwał się dziesięć razy i umilkł. Obaj cofnęli się spod budynku i spojrzeli w okna, jakby czekali, że poszukiwany mężczyzna otworzy je na oścież i zacznie pierwszą arię. Nic.

– Bar? – zapytał Vianello, wskazując ruchem głowy drugi koniec placu.

W środku lokal wydawał się tak samo podniszczony jak okiennice; wszystko, łącznie z barmanem, było stare, zmęczone i wymagało przetarcia wilgotną szmatą. Mężczyzna popatrzył na nich, gdy weszli, a jego usta ułożyły się w grymas, który miał być w jego mniemaniu zachęcającym uśmiechem.

– Sì, signori?

Brunetti zamówił dwie kawy, które pojawiły się szybko i były zaskakująco dobre. Z końca baru rozległ się ostry brzęk; obrócili się i zobaczyli mężczyznę siedzącego na wysokim stołku przed automatem do gry. Brzęk wydawały monety sypiące się przed nim na tackę. Wziął kilka monet, wrzucił je z powrotem do maszyny i nacisnął guziki w żywych kolorach. Zgrzyt, szcęknięcie, światelka. Nic.

– Zna pan Alda Franchiniego? – zapytał Vianello barmana, używając dialektu weneckiego i przechylając głowę do tyłu, w kierunku budynku.

Zanim odpowiedział, barman popatrzył na mężczyznę grającego na automacie.

– Tego byłego księdza? – zapytał w końcu.

– Nie wiem – odparł Vianello. – Wiem tylko, że studiował teologię.

Barman zastanawiał się nad tym przez chwilę tak długą, jak uznał to za konieczne.

– Tak, studiował – odparł. – Dziwne, prawda? – zapytał.

– Że studiował teologię? Czy że przestał być księdzem? – odpowiedział pytaniami Vianello.

– To chyba już i tak bez znaczenia – stwierdził barman. W jego głosie nie brzmiała dezaprobata, jeśli już, było w nim podobne współczucie, jakie wyraziłby na wieść o kimś, kto poświęcił część życia, by nauczyć się naprawiać maszyny do pisania i faksy.

Vianello poprosił o szklankę wody mineralnej.

– Wie pan coś o nim? – spytał Brunetti.

– Panowie z policji?

– Tak.

– Chodzi o tego gościa, który złamał mu nos? Wypuścili go?

– Nie – zapewnił go Brunetti. – Jeszcze odsiaduje wyrok.

– To dobrze. Powinni go tam zatrzymać na długo.

– Zna go pan?

– Chodziliśmy razem do szkoły. Był nieprzyjemnym, agresywnym dzieciakiem, a teraz jest nieprzyjemnym, brutalnym mężczyzną.

– Miał po temu jakieś powody? – zainteresował się Brunetti.

Barman wzruszył ramionami i stwierdził:

– Taki się urodził. – Przechylił głowę, żeby wskazać mężczyznę, który nadal wrzucał monety do automatu. – Tak jak ten. On nie może nic na to poradzić, to jest jak choroba. – Potem, jakby rozczarowany prostolinijnością swojej odpowiedzi, zapytał: – Dlaczego panowie szukają Franchiniego? – A gdy żaden z nich nie odpowiedział, dodał, znowu kiwając głową w stronę mężczyzny przy

automacie: – Myślicie, że on...? – Ostatnią część pytania zagłuszył strumień monet i Brunetti nie był pewien, co powiedział barman. Vianello wyraźnie także go nie usłyszał.

– Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Mógł coś zobaczyć. Chcemy mu tylko zadać kilka pytań.

– Słyszałem już, jak policjanci mówili takie rzeczy – zauważył barman znużonym głosem.

– Chcemy tylko z nim porozmawiać – powtórzył Brunetti. – On nie zrobił nic złego, po prostu znalazł się w miejscu, gdzie ktoś inny popełnił przestępstwo.

Barman zaczął coś mówić, ale powstrzymał się w pół słowa.

Brunetti z uśmiechem ponaglił go:

– Proszę mówić.

– Zwykle nie robi to wam różnicy – odważył się powiedzieć barman.

Vianello popatrzył na Brunettiego, zostawiając mu możliwość odpowiedzi.

– Tym razem zależy nam tylko na informacjach. – Brunetti widział, że mężczyzna walczy z ciekawością.

– Był tutaj wczoraj rano. Wpadł koło dziewiątej na kawę. Od tamtej pory go nie widziałem.

– Często tutaj przychodzi?

– Dość często.

Brunetti odwrócił się, ponieważ nagle usłyszał hałas na tyłach baru. Mężczyzna walił otwartą dłońią we front automatu.

– Przestań, Luca! – krzyknął barman i hałas ucichł. Barman odwrócił się do Brunettiego i Vianella. – Widzą panowie? Mówiłem, to jak choroba. – Brunetti zaczekał, żeby się przekonać, czy to miał być żart, ale najwyraźniej nie. – Nie powinno się im na to pozwalać. Zbyt łatwo jest przegrać wszystko. – Oburzenie barmana wydawało się szczere.

Brunetti czekał, czy Vianello zada oczywiste pytanie, ale gdy inspektor nic nie powiedział, Brunetti wyjął portfel i wyciągnął jedną wizytówkę. Zapisał z tyłu numer swojego *telefonino* i podał karteczkę barmanowi.

– Czy kiedy tu znowu przyjdzie, mógłby mu pan to dać i poprosić, żeby do mnie zadzwonił?

Brunetti wyjął z kieszeni dwa euro i położył je na ladzie. Gdy odwrócili się, wychodząc, usłyszeli stek błuzgów mężczyzny przy automacie, ale zamykające się drzwi ucięły jego słowa.

Postanowili wrócić do komendy piechotą, ale spacer był o wiele mniej przyjemny, ponieważ ciepło dnia umknęło, gdy byli w barze. Brunetti mógł równie dobrze wysłać szeregowego funkcjonariusza, by poszukał Franchiniego, jednak poddał się impulsowi, by wyjść na zewnątrz, coś zrobić, i w ten sposób zmarnował dwie godziny. Zmarnował? Odbił przyjemną rozmowę z Vianellem, przypomniał sobie coś z własnej młodości, a jego przeświadczenie, że niektórzy ludzie po prostu rodzą się źli, zostało potwierdzone przez niezależne źródło. Jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, spędził czas o wiele bardziej owocnie, niż gdyby przez parę godzin siedział za biurkiem i czytał akta.

Potwierdził tę opinię, gdy przez resztę popołudnia zajmował się właśnie tym: protokołami z przesłuchań, zasadami dotyczącymi właściwego sposobu traktowania kobiet podejrzanych o popełnienie przestępstwa, nowym formularzem, liczącym trzy strony, który miał być wypełniany w przypadku odniesienia obrażeń na służbie. Odrobinę wytchnienia znalazł przy komputerze, zawierającym e-maila z Wydziału Historii Uniwersytetu Kansas, w którym go poinformowano, że w gronie wykładowców nie ma żadnego Josepha Nickersona, a uniwersytet nie prowadzi zajęć z historii handlu morskiego i śródziemnomorskiego. Rektor, którego nazwisko wspomniał w swojej wiadomości pan Brunetti, nigdy nie podpisywał podobnego dokumentu.

Brunetti był na to przygotowany, zaskoczyłoby go, gdyby doktor Nickerson okazał się prawdziwą osobą. Wybrał numer signoriny Elettry, by zapytać, czego się dowiedziała, ale nie odbierała telefonu. Chociaż było dopiero wpół do siódmej, potraktował jej nieobecność jako wstęp do własnej i poszedł do domu.

Kiedy zamknął drzwi, usłyszał, że Paola gorączkowo woła go z drugiego końca mieszkania. Wszedł do sypialni i na tle ostatnich promieni światła znikających na zachodzie zobaczył żonę, przechyloną na bok, jakby w paroksyzmie bólu lub szaleństwa. Jedną ręką obejmowała się za szyję, celując łokciem w jego stronę. Z drugiej ręki widział tylko połowę. Pomyślał

o błyskawicznie rozwijających się chorobach, wypadniętym dysku, zawale serca. Gdy zbliżył się do niej z duszą na ramieniu, odwróciła się plecami i wtedy zobaczył, że palce obu dłoni trzymała na suwaku sukienki.

– Pomóż mi, Guido. Zaciął się.

Potrzebował kilku sekund, by zachować się jak przykładowy mąż. Odsunął jej dłonie od suwaka i pochylił głowę, żeby dostrzec cienki skrawek szarego materiału, zaczepiony na ząbkach. Przytrzymał go z góry i spróbował poruszyć suwak, najpierw w górę, a potem w dół. Po kilku szarpnięciach oswobodził materiał i podciągnął suwak do samej góry.

– Już w porządku – oznajmił, pocałował ją we włosy i nie wspomniał o tym, że na moment przestał oddychać.

– Dziękuję. Co zamierzasz dzisiaj wieczorem włożyć?

Wiele lat temu zaproponował, że może pójść w tym samym garniturze, w którym był tego dnia w pracy, a Paola popatrzyła na niego, jakby zapowiedział rozpoczęcie rozmowy przy obiedzie od złożenia jej matce nieprzyzwoitej propozycji. Od tamtej pory, aby nie myślała o nim jak o niewychowanym smarkaczu, niezaznajomionym z fałszywymi subtelnościami świata, zawsze wymieniał garnitur, który, jak sądził, jego żona uzna za najbardziej odpowiedni.

– Ten ciemnoszary garnitur.

– Ten od Giulia? – zapytała, a w jej głosie kryła się umiarkowanie pochlebna opinia o jego starym przyjacielu. Chodzili razem do szkoły, gdy Giulio na sześć lat został wysłany do ciotki do Wenecji, ponieważ jego ojciec miał zakwaterowanie na koszt państwa. To, że pochodził z Neapolu, nie przeszkodziło Brunettiemu natychmiast go polubić: Giulio był pomysłowy, pracowity, głodny wiedzy oraz przyjemności, i podobnie jak Brunetti, był synem człowieka, którego zachowania wiele osób nie aprobowało.

I jak Brunetti, Giulio studiował prawo karne, jednak postanowił wykorzystać zdobytą wiedzę, by bronić przestępców, a nie ich aresztować. O dziwo, to w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na ich przyjaźń. Znajomi i przyjaciele Giulia – nie wspominając o jego ogromnej i mającej liczne znajomości rodzinie – otaczali Brunettiego ochroną w latach, gdy pracował w Neapolu, co on sam starał się zarówno doceniać, jak też ignorować.

Kilka miesięcy temu Brunetti przyjechał do Neapolu na przesłuchanie świadka i pierwszego wieczoru w mieście umówił się na kolację z Giuliem. Przez pięć lat, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania, włosy Giulia stały się całkowicie białe, a pod długim nosem pirata zaczął nosić wąsy. Ponieważ oliwkowa cera oparła się działaniu czasu, kontrast z siwymi włosami sprawił, że wyglądał młodziej niż dawniej.

Brunetti zaczął pośpiesznie komplementować garnitur przyjaciela, grafitowy z ledwie widocznymi czarnymi prążkami. Giulio wyciągnął z kieszeni notes i złote pióro, zapisał nazwisko i numer telefonu, wyrwał kartkę i podał Brunettiemu.

– Zajrzyj do Gina. On uszyje ci podobny w jeden dzień.

Brunetti zmarszczył brwi. Giulio zjadł jeszcze kęs ryby; właściciel restauracji zapewniał, że została złowiona tego samego dnia rano. Nagle Giulio odłożył widelec, podniósł jedną z komórek, które leżały koło jego talerza, wpisał krótką wiadomość, spojrzął na Brunettiego z szerokim uśmiechem zadowolenia, a potem zajął się obiadem.

Rozmawiali, tak jak zawsze, o rodzinach i wskutek długoletniego przyzwyczajenia nie wspominali o bieżących wydarzeniach czy polityce. Dzieci dorastały, rodzice starzeli się, chorowali i umierali; świat poza ich rodzinami nie istniał jako przedmiot konwersacji. Najstarszy syn Giulia rzucił Bocconi Business School i dołączył do zespołu rockowego, a jego osiemnastoletnia córka miała nieodpowiedniego chłopaka.

– Staram się być dobrym ojcem – powiedział Giulio. – Chcę, żeby byli szczęśliwi i wiedli szczęśliwe życie. Ale widzę, dokąd zmierzają, i nie mogę nic na to poradzić. Chciałbym tylko, żeby byli bezpieczni.

Brunetti w słowach przyjaciela dostrzegł echo własnych pragnień.

– Co jest nie tak z jej chło... – zapytał, ale przerwało mu pojawienie się niskiego, łysego mężczyzny, który podszedł do stolika i przywitał się z Giuliem. Giulio wstał, potrząsnął jego dłonią, podziękował za tak szybkie przybycie – a przynajmniej tak przypuszczał Brunetti, ponieważ rozmowa toczyła się w dialekcie neapolitańskim, który z punktu widzenia komisarza brzmiał równie zrozumiale, jak suahili.

Po chwili mężczyzna odwrócił się i popatrzył na Brunettiego, który także

wstał, by uścisnąć jego dłoń. Nieznajomy zmierzył Brunettiego wzrokiem od stóp do głów, a potem stanął za jego plecami. Zbity z tropu Brunetti znieruchomiał, tak jak zawsze w obliczu niebezpieczeństwa.

Mężczyzna odezwał się po włosku, wtrącając wszędzie dźwięk sz, wymawiając g zamiast c i obcinając końcówki wyrazów jak głowy zdrajców. Powiedział Brunettiemu, żeby się nie przejmował, on chce tylko przyjrzeć się jego plecom. Oparł dłoń na stole, przykląkł na jedno kolano i w tym momencie Brunetti zrozumiał, że to musi być Gino. Jego podejrzenia potwierdziły się, gdy krawiec przytrzymał obręb prawej nogawki jego spodni i pociągnął mocno.

Gino wstał, kiwając głową i mrużąc coś do siebie, uścisnął dłoń Brunettiego, a potem Giulia, i oznajmił, że w południe będzie gotowe.

– Ależ ja nie mogę – powiedział Brunetti.

– Możesz zapłacić – zapewnił Giulio z uśmiechem. – Uspokoisz swoje sumienie. Gino robi to dla ciebie po kosztach, a ja obiecuję, że nie dopłacę mu nic z własnej kieszeni. – Popatrzył na Gina, który uśmiechnął się, skinął głową i uniósł ręce, jakby chciał odepchnąć od siebie ten pomysł. Zanim Brunetti zdążył się odezwać, Giulio dodał: – Narazisz na szwank mój honor, jeśli odmówisz. – Gino zrobił tragiczną minę, a Giulio zapytał: – Może być?

Giulio, mimo że był prawnikiem, nigdy nie kłamał, a w każdym razie nie w rozmowie z przyjaciółmi. Brunetti skinął głową. Następnego dnia po południu zjawił się w pracowni Gina. Dlatego właśnie garnitur był „od Giulia”.

Paola odwróciła się i otworzyła szufladę w poszukiwaniu szala, który mogłaby zarzucić na ramiona. Na ulicę zamierzała wyjść w płaszczu, ale gdy znajdują się na miejscu, nie można było mieć pewności, jak tym razem postanowi zachować się ogrzewanie w osiemsetletnim budynku.

Brunetti odwiesił codzienny garnitur i powiesił go w szafie, włożył świeżą koszulę, a następnie zdjął spodnie od garnituru Gina z wieszaka i też je włożył. Wybrał czerwony krawat – czemu by nie? Kiedy wsunął ręce w rękawy marynarki, ogarnęło go uczucie fizycznej rozkoszy. Przyglądał klapy i poruszył ramionami, by ułożyć idealnie materiał. Dopiero wtedy spojrzął w ogromne lustro. Garnitur kosztował go ponad osiemset euro; Bóg raczy wiedzieć, ile płacili klienci Gina. Gino nie dał mu paragonu, a Brunetti nie poprosił o to. „Uspokoilem swoje sumienie” – powiedział sobie z uśmiechem.

Droga do *palazzo* była krótka. Nikt, kogo mijali na ulicy, specjalnie się nie spieszył: wiosna ogarniała wszystkich, zmuszając, by przypomnieli sobie przyjemność i spokój po zakończonym dniu pracy. Na dziedzińcu u szczytu schodów młody mężczyzna otworzył im drzwi, wziął płaszcz Paoli i poinformował ich, że hrabia i hrabina czekają w małym salonie.

Paola poprowadziła Brunettiego korytarzami domu, który miał w przyszłości należeć do niej. A on pozwolił sobie na rozważania, ilu osób potrzeba było, by zadbać o taką wielką posiadłość; jak można było utrzymać ją w czystości? Nigdy nie udało mu się zliczyć pokoi i nie pozwalał sobie zapytać o to Paoli. Dwadzieścia? Więcej, z pewnością było ich więcej. A ogrzewanie? Co z nowym podatkiem od nieruchomości? Jego pensja prawdopodobnie nie wystarczyłaby na zadbanie o ten budynek i zaczęłyby pracować na utrzymanie domu, a nie rodziny.

Jego rozważania zostały przerwane, gdy weszli do saloniku. Hrabia Orazio Falier stał przy oknie i patrzył na Palazzo Malipiero Cappello; hrabina Donatella siedziała na kanapie z kieliszkiem prosecco. Brunetti wiedział, że to prosecco, ponieważ hrabia przypuścił kiedyś atak na francuskie wina i oznajmił, że nie życzy sobie ich w swoim domu. Co więcej, jego winnice we Friuli dawały jedno z najlepszych prosecco w regionie, a Brunetti musiał przyznać, że smakowało ono znacznie lepiej niż szampan.

Hrabia kilka lat wcześniej przeszedł lekki zawał serca i od tamtej pory witał zięcia dwoma pocałunkami zamiast formalnego uścisku dłoni. Jego zachowanie złagodniało z biegiem lat: stał się zarówno bardziej uczuciowy, jak i bardziej pobłażliwy dla wnuków, mniej skłonny do żartowania z tego, co nazywał „krucjatami” Brunettiego, a podszyte uległością ciepło, z jakim traktował zawsze hrabinę, zaczęło być bardziej widoczne.

– *Ah, bambini miei* – zaskoczył Brunettiego, gdy ich zobaczył. Czy to oznaczało, że po ponad dwóch dekadach był skłonny zaakceptować Brunettiego jako własnego syna? Czy może była to tylko pusta, cikliwa formułka?

– Mam nadzieję, że nie będziecie nam mieć za złe, jeśli zjemy obiad tylko w czwórkę – dodał hrabia, podchodząc do nich z wyciągniętymi rękami, które położył najpierw na ramionach Paoli, by ją przyciągnąć i ucałować, a następnie Brunettiego. Podprowadził ich do żony, a oni oboje nachylili się, by ją pocałować.

Paola natychmiast usiadła koło matki, zrzuciła pantofle i podwinęła nogi.

– Gdybyście uprzedzili, że będziemy sami, nie włożyłabym tej sukienki. – Wskazując na Brunettiego dodała: – Ale mimo wszystko kazałabym mu włożyć ten garnitur. Jest prześliczny, prawda?

Teść obdarzył Brunettiego aprobującym spojrzeniem i zapytał:

– Czy uszyto ci go tutaj?

Brunetti zastanawiał się, co takiego kazało pomyśleć hrabiemu, że garnitur został uszyty na miarę, a nie kupiony w sklepie. To była jedna z tajemnych masonskich mocy, jakimi zdawali się być obdarzeni mężczyźni tacy jak hrabia; to oraz doskonałe wyczucie okoliczności, pozwalające mu rozmawiać grzecznie z listonoszem lub prawnikiem, bez uwłaczającego nadmiaru formalności ani też poufałości. A na pewno mogło go tego nauczyć osiem wieków stosowania nienaganych manier.

– Oboje wyglądacie cudownie – powiedziała hrabina, posługując się idealnym włoskim. Większość życia spędziła w Wenecji, ale miejscowy dialekt nie przeniknął do jej sposobu wysławiania się. Wymawiała wyraźnie każde *l*, nie mówiła o swojej córce *la* Paola, w wypowiedzianych przez nią zdaniach nie wznosiła się ani nie opadała kadencja. – Ten garnitur leży idealnie, Guido. Mam nadzieję, że twój przełożony będzie mógł cię kiedyś w nim zobaczyć.

Hrabia stanął za nimi z dwoma wysmukłymi kieliszkami prosecco.

– To zeszłoroczne – powiedział i podał im kieliszki. – Co o nim myślicie?

Brunetti wypił łyk i pomyślał, że jest przepyszne, ale pozostawił wyrażenie opinii Paoli, która doskonale posługiwała się fachowym żargonem.

Podczas gdy ona pociągnęła łyk i smakowała go językiem, Brunetti przyglądał się swoim teściom. Twarz hrabiego była bardziej pokryta zmarszczkami, jego włosy bielsze, ale nadal stał wyprostowany, chociaż Brunetti zauważył, że nie był już tak wysoki jak dawniej. Hrabina wydawała się taka sama jak zawsze, tylko jasny kolor jej włosów sugerował siwiznę. Miała dość rozsądku, by wiele lat temu uznać słońce za swego wroga i dzięki temu jej twarz była teraz niepomarszczona i bez skazy.

Paola przerwała tok jego myśli.

– Jest jeszcze młode i trochę chropowate u nasady języka, ale w przyszłym roku będzie idealne. – Popatrzyła na Brunettiego i dodała: – W takim razie

w przyszłym roku będziemy częściej zaglądać z wizytą. – Mówiąc to przechyliła się w bok, poklepała matkę po udzie i zaczęła jej opowiadać o najnowszych szkolnych osiągnięciach Chiary.

Hrabia wrócił do okna, a Brunetti, który nie mógł się napatrzeć na ten widok, dołączył do niego. Hrabia spojrzał na wodę dwa piętra pod nimi.

– Pływałem tutaj jako chłopiec – powiedział i wypił łyk wina.

– Ja także. Ale nie tutaj, w Castello – odparł Brunetti. Wyobraził sobie, jak wygląda woda. – To okropna myśl, nieprawdaż? To znaczy, gdyby chciać to zrobić teraz.

– Wiele rzeczy stało się okropnych – stwierdził hrabia, przechylając kieliszek w stronę *palazzi* po drugiej stronie Canale Grande. – Na trzecim piętrze Palazzo Benelli mieszczą się kwatery turystyczne. Brazylijska firma dziedzica rodziny zarządza nimi i daje mu dostatecznie dużo, by miał na kokainę. – Pochylił się i wskazał w bok. – Dwa domy stąd właściciel namówił przyjaciół, by zatrudnili go jako inspektora w Komisji Sztuk Pięknych i teraz udziela konsultacji w sprawach związanych z pozwoleniami na renowację.

– „Konsultacji”?

– Tak to się nazywa. Jego znajomy, Anglik, chciał przerobić *piano nobile* w *palazzo* w pobliżu Rialto, ale w tym celu musiał zburzyć ścianę z szesnastowiecznymi freskami. Umówił się na konsultację, a następnie otrzymał zezwolenie.

– Jak to możliwe? – zapytał Brunetti z czystej ciekawości, ponieważ nie miał zamiaru badać tej sprawy jako policjant.

– Freski były ukryte za fałszywą ścianą, prawdopodobnie przez całe wieki, i odkryto je dopiero wtedy, gdy robotnicy zaczęli burzyć tę ścianę. Dlatego nie zostały nigdy zarejestrowane. Robotnicy pochodzili z Mołdawii i nie interesowało ich szczególnie, co robią. Dlatego zamówił konsultację, a potem ściana została zburzona.

– To weneccjanin, prawda? – bez potrzeby zapytał Brunetti. Wiedział, o kim mówi hrabia, i słyszał inne historie o pozwoleniach na przebudowę i o tym, jak można je zdobyć, ale jakaś perwersyjna część jego osoby domagała się potwierdzenia.

– To wszystko weneccjanie – oznajmił hrabia, wymawiając to słowo, jakby

chodziło o pedofilów lub nekrofilów. – Ludzie, którzy decydują, że promy mogą nadal trząść miastem, aż się rozleci na kawałki, i zanieczyszczają je, jakby to był Pekin; ludzie, którzy upierają się, że projekt MOSE będzie działać i trzeba sprawdzić, ile jeszcze da się z niego wycisnąć; ludzie będący właścicielami jedyne go *casinò* na tej planecie, które przynosi straty.

Brunetti słyszał to samo – i powtarzał to samo – od lat, teraz więc zadał pytanie, które sam sobie często zadawał.

– Co zamierzasz w związku z tym zrobić?

Hrabia popatrzył na niego z autentyczną czułością.

– Tak się cieszę, że w końcu zaczęliśmy rozmawiać, Guido. – Napił się wina i odstawił kieliszek na stół. – Mogę tylko robić to, co robię przez ostatnie pięć lat.

– Czyli?

– Wyprowadzać pieniądze z kraju. Inwestować w kraje z przyszłością, inwestować w kraje praworządne. – Urwał, tym samym zachęcając Brunettiego do zadania pytania.

– Które to kraje?

– Północne. Nawet Stany Zjednoczone. Australia.

– A nie Chiny?

Hrabia skrzywił się.

– Praworządne, Guido. Nie chcę wpaść z deszczu pod rynnę. Nie chcę przenieść się z kraju, gdzie prawo jest bezsilne, a system polityczny skorumpowany, do kraju, gdzie prawo nie działa w ogóle, a system polityczny jest jeszcze bardziej skorumpowany.

Brunetti w myślach obejrzał kulę ziemską w poszukiwaniu kolejnych miejsc, w których panowały rządy prawa i gdzie – na czym zależało jego teściowi – pieniądze byłyby bezpieczne. Poszukując bezpiecznych miejsc na zielono-niebiesko-beżowej kuli, Brunetti uświadomił sobie, że ludzie są zazwyczaj bezpieczni właśnie w tych krajach, w których bezpieczne są pieniądze. Czy może przez ostatnie lata zaraził się od hrabiego jego wizją kapitalizmu i tak naprawdę to pieniądze były bezpieczne w miejscach, gdzie ludzie byli bezpieczni?

Znalazł się na grząskim gruncie. Czy mógł zapytać hrabiego Orazio, o jakie

pieniądze chodziło? Czy mógł zapytać, czy hrabia inwestował w tamtejsze firmy, czy też prznosił własne do innych krajów? Guardia di Finanza kontrolowała takie rzeczy, poszukując nieprawidłowości; w splątany gąszcz włoskiego prawa zawsze dawało się znaleźć nieprawidłowości takie lub inne. „Twórz prawa dla przyjaciół, narzucaj je wrogom”. Ile razy w jego życiu ktoś wyjaśniał mu tę zasadę przetrwania?

– Mam nadzieję, że plany się powiodą. – Nie wymyślił lepszej odpowiedzi.

– Dziękuję – odparł hrabia z uśmiechem i skinieniem głowy, którym potwierdzał, że Brunetti ma prawo nie podejmować tego tematu. – A ty? Co u ciebie słyhać?

Brunetti nie musiał prosić hrabiego, by nie powtarzał zasłyszanych informacji. Jego teść osiągnął swoją pozycję w kraju dzięki temu, że umiał trzymać język za zębami.

– Zostaliśmy zawiadomieni o kradzieży w Bibliotece Merula. Ktoś, kto przychodził tam zbierać materiały do pracy naukowej, wycinał karty z książek. Niektóre książki zaginęły.

– Jak się tam dostał? – zapytał hrabia. – Nie sprawdzili go, nie sprawdzili jego danych? – Po przerwie, głosem pełnym udawanej cierpliwości, dodał: – O ile w ogóle proszą czytelników o podawanie danych.

– Podał je. Miał fałszywy paszport i fałszywy list z rekomendacją amerykańskiego uniwersytetu.

– Nikt nie zauważył, że są fałszywe?

Brunetti wzruszył ramionami.

– Uważali go za członka społeczności akademickiej.

Rozległo się głośne, szydercze prychnięcie Paoli, która najwyraźniej oderwała się od rozmowy z matką na dostatecznie długo, by podsłuchać ich wymianę zdań.

– Społeczność akademicka – powtórzyła. – Koń by się uśmieł.

Jej matka zauważyła łagodnie:

– Posyłał cię do tych wszystkich słynnych szkół, a teraz mówisz tak źle o swoich kolegach. Nie mogłabyś okazać im więcej życzliwości?

Paola pochyliła się, objęła matkę ramieniem i pocałowała ją w policzek, raz,

a potem drugi.

– *Mamma*, jesteś jedyną osobą na świecie, która uznałaby tę bandę, z którą pracuję na uniwersytecie, za akademików.

– Studiowałeś tam i jesteś jedną z nich, nie zapominaj o tym – odparła jej matka, nadal łagodnie.

– Proszę, *mamma* – jęknęła Paola. Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, młody człowiek, który ich wcześniej przywitał, stanął w drzwiach i oznajmił, że obiad jest gotów.

Brunetti wyciągnął rękę do hrabiny, która podała mu dłoń lekką jak piórko i wstała bez najmniejszego wysiłku. Paola podniosła się z o wiele mniejszą gracją, włożyła buty i wzięła ojca pod ramię.

Brunetti towarzyszył hrabinie, gdy udawali się do małej jadalni.

– Zawsze jest mi przykro, gdy słyszę, jak Paola mówi źle o swoich współpracownikach – powiedziała, gdy wchodzili do pokoju.

– Spotkałem kilkoro z nich – odparł tylko Brunetti.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie i uśmiechnęła się.

– Ona jest bardzo zapalczą kobietą.

– Twoja córka? – zapytał Brunetti, udając całkowite zaskoczenie.

– Och, Guido, podejrzewam, że czasem ją do tego zachęcasz.

– Nie wydaje mi się, by potrzebowała zachęty – odparł krótko Brunetti.

Zasiedli wszyscy wokół okrągłego stołu, Brunetti naprzeciwko Paoli, mając po lewej stronie hrabinę, a po prawej hrabiego. Młoda kobieta postawiła na środku stołu ogromny ceramiczny półmisek, pełen przystawek z owocami morza, w ilości wystarczającej do zaspokojenia apetytów osób przy stole, w kuchni, a zapewne także w sąsiednich *palazzi*.

Rozmowa, jak zwykle podczas spotkań rodzinnych, obracała się wokół dzieci, krewnych, wspólnych znajomych, chorób – temat z każdym rokiem poruszany częściej – a w dalszej kolejności wokół stanu spraw na świecie, które, jak wszyscy się zgadzali, zmierzały w złym kierunku.

Gdy pokojówka sprzątnęła talerze, na których wcześniej znajdowały się *gnocchi di patate con ragù*, Paola zapytała:

– *Papà*, czy Guido opowiedział ci o bibliotece?

– Tak, opowiedział – odparł hrabia. – Teraz zaczyna się także tutaj. – Wzruszył ramionami i napił się wody mineralnej. Żadne z nich nie uznało za konieczne wspominać Biblioteki Girolamini w Neapolu, jednej z najwspanialszych w kraju, która została obrabowana przez własnego dyrektora, obecnie przebywającego w więzieniu. Ponieważ uznano, że zafałszowane zostały także katalogi, nie można było stwierdzić na pewno, co zaginęło: szacowano, że może chodzić o dwa–cztery tysiące woluminów, z których część pojawiła się w Monachium i Tokio, w szanowanych antykwariatach i w kolekcjach polityków, którzy oczywiście wyrazili zdumienie z powodu obecności tych ksiąg. W ich bibliotece? Podobno widziano wyładowane samochody, wyjeżdżające z dziedzińca biblioteki pod osłoną nocy i uginające się pod ciężarem papieru. Ilu woluminów brakowało? Kto mógł to wiedzieć. Rękopisy, inkunabuły, przepadły, przepadły, przepadły.

– Moim znajomym skradziono egzemplarze z ich bibliotek – hrabia przerwał ogólne zamyślenie, które sam spowodował.

– Czy mógłbym wiedzieć... – zaczął Brunetti i natychmiast pożałował, że się odezwał.

Hrabia popatrzył na niego z uśmiechem.

– Myślę, że będą szczęśliwsi, jeśli nie poznasz ich nazwisk, Guido.

Oczywiście, oczywiście. Nikt nie chciał, by władze dowiedziały się o tym, co działo się w jego domu. Co się stanie, jeśli kiedyś rząd obłoży podatkiem własność prywatną? Skoro można było nałożyć podatek na dom lub domy, co miało powstrzymać polityków od opodatkowania tego, co znajdowało się w środku?

– Nie zgłosili tego? – zapytał Brunetti.

Hrabia uśmiechnął się pobłaźliwie i nawet nie odpowiedział.

– Ja przynajmniej powstrzymałam faceta, który robił to na uniwersytecie – pochwaliła się zadowolona z siebie Paola.

Nikt tego nie skomentował. Żadne z nich nie miało ochoty na deser, więc pili kawę i czekali, co się pojawi w odpowiedzi na prośbę hrabiego o *una grappina*.

Aby przerwać ciszę trwającą po uwadze Paoli, Brunetti zwrócił się do teściowej.

– Hrabina Morosini-Albani jest jednym z mecenasów Biblioteki Merula, więc

musi zostać powiadomiona o kradzieżach. Jak myślisz, jak zareaguje?

– Mecenasem? Elisabetta? – powtórzyła hrabina. – To niezwykle.

– Dlaczego?

– Elisabetta potrafi być czasem tak skąpa, że można by pomyśleć, iż tu się urodziła – powiedziała hrabina, a Brunetti zastanowił się, jakim cudem ojciec Paoli pozwolił swojej żonie spotykać się z jego weneckimi przyjaciółmi. Teściowa kontynuowała głosem smutniejszym i pełnym namysłu. – Koniecznie jej zależało na przyjęciu do towarzystwa, więc może bycie mecenasem stanowiło część ceny, jaką postanowiła za to zapłacić.

– Skoro bywa tutaj i spotyka się z tobą – Brunetti machnął ręką w stronę portretu przedstawiającego jednego z przodków hrabiego – to znaczy, że została przyjęta do towarzystwa, czyż nie?

– Och, bywa tutaj, ponieważ jest jedną z moich najdawniejszych przyjaciółek – powiedziała hrabina z ciepłym uśmiechem. – Większość ludzi jej nie znosi.

– Ale ty ją lubisz?

– Oczywiście. Była dla mnie bardzo dobra, gdy chodziłyśmy razem do szkoły. Jest dwa lata starsza i opiekowała się mną. Dlatego ja teraz staram się robić to samo, gdzie mogę i kiedy mogę. – Zastanowiła się przez chwilę i odstawiła na bok filiżankę z kawą. – Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale to bardzo podobna sytuacja. Byłam obca, a starsze, bogatsze dziewczęta okropnie mi z tego powodu dokuczały. Gdy Elisabetta, mimo wszystko córka księcia, nawet jeśli jej bliscy byli bankrutami, a *palazzo* popadało w ruinę, została moją przyjaciółką, zaakceptowano mnie.

– Nie sądzę, by teraz działa się tak samo – wtrąciła Paola.

– Znasz Elisabetę – powiedziała hrabina. – Mówi, co myśli, ma bardzo stanowcze poglądy i nie jest łatwą osobą. Ma też tych pechowych pasierbów.

Paola skinęła głową. Brunetti pomyślał o tym, co powiedziała signorina Elettra.

– Pechowych dla siebie, dla niej czy dla innych ludzi?

– Powiedziałbym, że dla wszystkich – odparł hrabia.

Hrabina nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Znasz jej pasierbów?

– Miałem wspólne interesy z Giannim – odpowiedział. – Poznałem także jego dwie siostry. Staraly się odzyskać część pieniędzy.

– Od ciebie?

– Z tego, co zainwestował w ich imieniu w jedną z moich firm.

– W jaką firmę? – wtrąciła Paola.

– Och, takie małe przedsiębiorstwo, ferma wiatrowa w Holandii, a kwota, o którą im chodziło, nie była szczególnie duża.

– Ile to było? – zainteresował się Brunetti, ciekawy, jaka suma nie jest „szczególnie duża”.

– O, pół miliona euro, może trochę więcej. Już nie pamiętam, to było jakieś sześć lat temu.

– Co się stało? – zapytała Paola.

– To była dobrze zarządzana firma, ale Gianni postanowił zbyt szybko wycofać kapitał, a kiedy do mnie przyszedł, akcje spadły już o jakieś pięćdziesiąt procent. Powiedział, że potrzebuje pieniędzy. Początkowo chciał je pożyczyć ode mnie, ale odmówiłem. Potem zaproponował, że sprzeda mi udziały. – Hrabia popatrzył na żonę, ale pojawienie się grappy oszczędziło mu konieczności kontynuowania tej historii.

Podniósł kieliszek grappy i otworzył usta, by wyrazić o nim opinię, ale hrabina nie dała mu dojść do głosu.

– Co zaproponował? – zapytała.

Brunetti, któremu zabrakło odwagi, by zadać to samo pytanie, był ciekaw odpowiedzi. Hrabia wzniosł w stronę żony toast małym kieliszkiem grappy i wypił łyk. Postawił kieliszek przed sobą i przechylił głowę na bok, jakby chciał przyznać, że nie ma innego wyboru, jak tylko odpowiedzieć na pytanie hrabiny.

– Powiedział, że zgodzi się sprzedać akcje po niższej cenie, jeśli wystawię mu rachunek na jeszcze niższą kwotę, żeby mógł go pokazać siostrze, a on wtedy zapłaci mi połowę różnicy w gotówce. Byli wspólnie właścicielami tych akcji, ale on wszystkim zarządzał, a one nie znały się praktycznie w ogóle na interesach. – Potem dodał znacząco: – Ufały mu. Wtedy.

– Co zrobiłeś? – zapytała Paola.

– Odmówiłem. Powiedziałem, że może sprzedać akcje, jak mu się podoba, ale ja nie jestem zainteresowany. – Hrabia wypił jeszcze łyk, a w jego głosie pojawił się cień irytacji. – Nalegał wyjątkowo uporczywie, więc musiałem postawić sprawę bardzo jasno. Wyszedł. – Milczał przez chwilę. – Jego siostry przyszły do mnie miesiąc później i zażądały, żebym pokrył ich straty. – Hrabia westchnął. – Gianni powiedział im, że go oszukałem, że oszukałem ich wszystkich.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś, Orazio – przerwała mu hrabina.

– Elisabetta jest twoją przyjaciółką, kochanie. Nie chciałem cię martwić.

– Co im powiedziałaś? – zapytała, wyraźnie zmartwiona tym, co właśnie usłyszała.

– Powiedziałem, że muszą poprosić swojego adwokata, żeby porozmawiał z moim, a on wyjaśni, co zaszło.

– Powiedziałeś im, co Gianni próbował zrobić?

– Nie uważałem tego za właściwe, kochanie. To ich brat.

– Zrobiły to? Czy ich adwokat skontaktował się z twoim?

– Tak. Arturo wyjaśnił mi, jak przebiegała sprzedaż.

– Czy powiedział im o tym, co zamierzał Gianni?

– Nigdy nie powiedziałem o tym Arturowi – oznajmił hrabia i dopił grappę.

– Co się stanie z Giannim? – zapytała hrabina.

Hrabia wzruszył ramionami i wstał z fotela.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie jest tak sprytny, jak mu się wydaje, i że nie potrafi oprzeć się impulsom żadnego rodzaju. Dlatego czegokolwiek spróbuje, poniesie porażkę.

Wracali do mieszkania ręka w rękę, do czego przyczyniło się nadejście wiosny lub też nieustający podziw Paoli dla garnituru Brunettiego.

– Zawsze uważałem ją za przyjaznego smoka – powiedział Brunetti, wiedząc, że Paola go zrozumie.

– Elisabette? – To była prośba o potwierdzenie, a nie pytanie.

– Z pewnością nie twoją matkę.

Po namyśle Paola rzekła:

– Rozumiem, o czym mówisz: jest nim, a jednocześnie nie jest.

– Gdy spotykałem ją u twoich rodziców, nie ziała wprawdzie ogniem i dymem, ale nie wydawało się też, by zależało jej na tym, czy jest lubiana, czy nie, a już z pewnością nie wahała się wyrażać swoich opinii.

– Goszcząc u nas, wiedziała, że jest w towarzystwie ludzi, którzy ją lubią.

– Czy to dotyczy także mnie? – zapytał Brunetti.

Zaskoczona Paola odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Oczywiście, nie bądź niemądry. Ponieważ jesteś jednym z nas, nie udawała, że jest inna niż naprawdę.

– Czyli jaka?

– Inteligentna, niezależna, niecierpliwa, samotna.

Brunetti, który zaobserwował u hrabiny trzy pierwsze cechy, nie zastanawiał się nad czwartą.

– Jak rozumiesz to, że finansuje bibliotekę?

– Zgadza się z moją matką: to cena, jaką swoim zdaniem musi zapłacić, żeby zostać zaakceptowana w towarzystwie.

– Nie brzmisz tak, jakbyś wierzyła, że jej się to uda.

– Znam tych ludzi, Guido. Na litość boską, jestem jedną nich, pamiętaj o tym. Ona ma rodowód, po stronie ojca i po stronie matki, sięgający czasów znacznie

dawniejszych niż tytuły tutejszej arystokracji. Ale jest Sycylijką i nie jest księżniczką – nawet jeśli jej ojciec był księciem – więc nigdy nie zostanie dopuszczona do towarzystwa. Nie tak do końca.

– Mimo że wyszła za mąż za weneccjanina? – zapytał.

Paola zaskoczyła go odpowiedzią.

– Być może właśnie dlatego.

– Czy ty widzisz to szaleństwo? – zapytał Brunetti spokojnym głosem.

– Widzę to szaleństwo, odkąd skończyłam sześć lat, ale to jest coś, co się nigdy nie zmieni. – Przystanęła na szczycie mostu prowadzącego na San Polo, i oparła się o balustradę. – Chciałabym, żeby machnęła na to ręką, ale nie sądzę, by była do tego zdolna. Przyzwyczajenia są za silne lub za stare, to jedyny świat, jaki zna, więc chce zostać przyjęta do tego świata.

– Myślisz, że ze mną porozmawia? – zapytał Brunetti.

– Elisabetta?

– Tak.

– Przypuszczam, że tak. Mówiłam, uważa cię za jednego z nas. I lubi cię. Tak mi się wydaje – dodała z przyzwyczajenia, gdy Brunetti włożył klucz w zamek.

Następnego dnia Brunetti odczekał do wpół do jedenastej, by zadzwonić do hrabiny na numer podany mu przez Paolę. Dzięki temu miał czas przejrzeć zarówno „Il Gazzettino”, jak i „La Nuova” w poszukiwaniu artykułów o kradzieży w bibliotece, ale w żadnej z gazet nie znalazł o tym wzmianki.

Wybrał numer *telefonino* hrabiny i po zaledwie dwóch dzwonkach usłyszał kobiecy głos.

– Morosini-Albani.

– Pani hrabino – zaczął Brunetti. – Mówi Guido Brunetti, mąż Paoli Falier.

– Rozpoznaję pana własne nazwisko, *commissario*. – To był żart, nie prowokacja.

– To dla mnie zaszczyt, hrabino – odparł. – Niezwykle rzadko mieliśmy okazję rozmawiać przy kolacji.

– Zawsze uważałam, że to ogromna szkoda. – W jej głosie słychać było tylko ledwie zauważalne ślady sycylijskiego pochodzenia.

– W takim razie może moglibyśmy porozmawiać dzisiaj, jeśli ma pani czas?
– powiedział, uznając, że z hrabiną najlepiej rozmawiać otwarcie.

– O czym? – zapytała, a on przypomniał sobie, z jakim wahaniem dottoressa Fabbiani powiedziała mu o darowiźnie.

– O Bibliotece Merula.

Nastąpiła długa cisza.

– Dottoressa Fabbiani powiedziała panu o moich związkach z biblioteką? – zapytała w końcu.

– Obawiam się, że nie miała wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór – odparła natychmiast.

– Bywa on jednak ograniczony, gdy w grę wchodzi policja – odpowiedział delikatnie.

– Niestety tak – stwierdziła, wyraźnie niezadowolona. – Czy to oficjalna prośba o informacje? – zapytała i natychmiast dodała: – Chociaż nie mam żadnych, którymi mogłabym się z panem podzielić.

– Chciałbym porozmawiać z panią o książkach, hrabino. Wiem o nich niewiele.

– Ależ rozmawialiśmy o książkach, *commissario*.

Powiedziała to tak sztucznie, że nie mógł się nie roześmiać.

– Chodzi mi o cenne książki.

– Takie, które mogą zostać skradzione?

– W tym przypadku zostały skradzione – zaryzykował Brunetti.

– Czy to oznacza, że to pan prowadzi śledztwo?

– Tak.

– W takim razie proszę przyjść, porozmawiamy o tym.

Wiedział, gdzie znajduje się *palazzo*; mijał je, gdy chodził do gimnazjum, a on i Paola zwykle przechodzili koło niego, gdy postanawiali wracać do domu okrężną drogą po obiedzie w restauracji Carampane. Cztery piętra górowały nad niedużym *campo* w San Polo, a śluza z boku umożliwiała dostęp do jednego z kanałów prostopadłych do Rio San Polo. Okna na parterze i pierwszym piętrze miały żelazne kraty. Przez dziesiątki lat Brunetti na ich widok zawsze myślał

o pożarze i o tym, że gdyby wybuchł, mieszkańcy musieliby skakać z okien drugiego piętra. Kraty były pozbawione wdzięcznych arabesek, choćby imitacji filigranu, zero zainteresowania estetyką: proste jak w krzyżówce pręty zostały wiele wieków temu zlutowane w miejscach, gdzie przecinały się linie poziome i pionowe. Od tamtej pory nie przecisnęło się przez nie nic poza wyciągniętymi rękami.

Kraty przerdzewiały, a na fasadzie widać było ciemne zacieki. Przypomniały one Brunettiemu o zniszczonej fasadzie kamienicy Franchiniego.

Przełożył teczkę do lewej ręki i zadzwonił do drzwi. Po krótkiej chwili otworzyła mu ciemnoskóra kobieta, ubrana w biały fartuch. Mogła być Tajką lub Filipinką.

– Signor Brunetti? – zapytała.

Gdy potwierdził, wykonała gest, który w dawnej epoce mógłby zostać uznany za dygnięcie. Brunetti zmusił się do powściągnięcia uśmiechu. Wpuściła go, powiedziała, że hrabina go oczekuje, i pozwoliła mu wejść do przestronnego *androne*, ciągnącego się aż do kanału i zakończonego kolejnymi zakratowanymi oknami.

Zamknęła drzwi, co wyraźnie wymagało od niej pewnego wysiłku, i poprowadziła go przez hol do schodów na pierwsze piętro. Ogromne drzwi u ich szczytu pokrywały orzechowe panele, a na środku każdego z nich wyrzeźbiono rozkwitłą różę. Mosięzna klamka miała kształt lwiej łapy.

Kobieta poprowadziła go pozbawionym okien korytarzem do dużej bawialni z widokiem na *campo*. Powiedziała, by czuł się jak u siebie, zapowiedziała, że pójdzie po hrabinę, i zniknęła za podwójnymi drzwiami po drugiej stronie pokoju.

Nie miał pojęcia, jak długo będzie musiał czekać, ale nie chciał, by hrabina zastała go siedzącego. Podeszedł, by przyjrzeć się pierwszemu obrazowi po lewej stronie, przedstawiającemu ogromną scenę myśliwską, z dzikiem obalonym na ziemię przez sforę zaślinionych psów gończych, z których dwa zapomniały najwyraźniej o polowaniu i razem kotłowały się na ziemi. Olbrzymi dog szarpał dzika za ucho, a inny wgryzł mu się w tylną nogę. Brunetti rozpoznał styl podobny do tego z martwej natury wiszącej w gabinecie hrabiego i pomyślał, że to może być Snyders, ale nawet nazwisko malarza nie mogło sprawić, by ten obraz mu się spodobał.

Na ścianie, na którą padała odrobina światła z *campo*, wisiało sześć portretów mężczyzn i kobiet. Brunetti zauważył podobieństwo między jednym z mężczyzn a dzikiem; inny miał wyraz twarzy dość podobny do wyrazu pyska psa szarpiącego dzika za nogę. Zastanawiał się, czy to portrety przodków.

Jego obserwacje przerwało pojawienie się hrabiny, ubranej w prosty szary sweter i ciemniejszą wełnianą spódnicę sięgającą tuż za kolano. Brunetti pamiętał, że miała zgrabne nogi, i szybki rzut oka to potwierdził. Nosila naszyjnik z połączonych ze sobą złotych kółeczek, mniejszych niż główka szpilki. Delikatne łańcuszki Manin były obiektem marzeń jego matki i jej przyjaciółek. Pragnęły mieć choćby jeden taki łańcuszek; hrabina nosiła ich chyba ze trzydzieści.

Wiedział, że jest o dwa lata starsza od jego teściowej, ale wyglądała dziesięć lat młodziej. Jej skóra była nieskazitelna, jakby stworzona ze śmietanki i płatków róż, choć Brunetti sam był zdziwiony, że przyszedł mu do głowy te słowa.

Przeszła szybko przez pokój, by się z nim przywitać, i nie wydawała się w najmniejszym stopniu zaskoczona, gdy nachylił się, by ucałować jej wyciągniętą rękę. Podprowadziła go do fotela i zapytała:

– Czy mogłabym pana poczęstować kawą, *commissario*?

– To bardzo miłe z pani strony, hrabino, ale wypilem już kawę po drodze. Była pani niezwykle wspaniałomyślna, zgadzając się na spotkanie ze mną.

Zaczekał, aż zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko, i dopiero wtedy usiadł. Wyprostowana, wyglądała tak perfekcyjnie, że zaczął się zastanawiać, czy jej plecy kiedykolwiek dotykały oparcia. Jej profil, co zauważył, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, był idealny: prosty nos i wysokie czoło, które w sposób, jakiego nie pojmował, promieniowało optymizmem i energią. Głęboką czerń oczu podkreślała dodatkowo błądź skóry.

Brunetti postawił teczkę na podłodze.

– Chciałbym podziękować, że znalazła pani dla mnie czas, hrabino – powiedział.

– Książki, które niegdyś do mnie należały, zostały skradzione lub zniszczone, a pan stara się znaleźć osobę za to odpowiedzialną. Nie uważam, by poświęcenie czasu na rozmowę z panem wymagało ode mnie szczególnej

wspaniałomyślności. – Uśmiechnęła się lekko przy tych słowach.

Brunetti nie był pewny, czy to wymówka, czy też podziękowanie.

– Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt małosłownie, ale jestem tu głównie po to, by pomówić o stratach finansowych biblioteki i jeśli ma pani dość czasu, dowiedzieć się więcej o książkach. Dottoressa Fabbiani powiedziała, że wie pani o nich bardzo dużo. – Zauważył przelotne zaskoczenie na jej twarzy i dodał: – Wyrażała się o pani z najwyższym uznaniem.

– Bardzo mi miło – odparła hrabina i zabrzmiało to całkowicie szczerze.

– Powiedziała, że ma pani wycucie w sprawach książek – zapewnił.

Hrabina uśmiechnęła się na te słowa i uniosła rękę, jakby chciała usunąć ten komplement. Brunetti mówił dalej.

– Wiem naprawdę bardzo niewiele o świecie książek, w każdym razie tak cennych książek. To oznacza, że rozumiem kradzież, ale nie wiem, dlaczego zostały wybrane właśnie te pozycje ani też co stanie się z nimi potem: gdzie można sprzedawać wycięte karty i jaka jest ich cena.

– Cóż za szkoda, że nie rozmawialiśmy o tym nigdy na kolacjach u Donatelli – zauważyła.

– Staram się bywać tam jako mąż Paoli, nie jako policjant.

– Ale dziś jest pan tu jako policjant?

– Tak – przyznał Brunetti. Otworzył teczkę, by wyjąć notes i długopis. – Jedna ze skradzionych książek – zaczął – pochodziła z pani daru dla biblioteki. Dottoressa Fabbiani powiedziała, że był to Ramusio, ale nie znam jego wartości.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytała.

– To daje mi pojęcie o tym, jak poważne jest przestępstwo.

– Nie może być wątpliwości, że jest poważne – oznajmiła surowo. – To rzadka i piękna książka.

Brunetti potrząsnął głową, by wyjaśnić nieporozumienie.

– Obawiam się, że patrzę na to jak policjant. Wartość rynkowa książki ma wpływ na to, jak traktujemy przestępstwo.

Patrzył, jak zastanawia się nad tym, przeświadczony, że ten pomysł wydaje się jej odrażający.

– Kwoty zapłacone za nie będą w rodzinnych księgach rachunkowych –

powiedziała.

– Ale czy większość z tych kwot nie będzie nieaktualna? – zapytał, chociaż wiedział, że tak. Potem przyszło mu do głowy, jak może realnie oszacować bardziej aktualną cenę. – Czy Ramusio był ubezpieczony?

– Mój teść – zaczęła z lekkim uśmiechem – powiedział kiedyś, iż rozważał ubezpieczenie przedmiotów w *palazzo*. – Odczekała po tej uwadze trzy powolne uderzenia serca. – Ale doszedł do wniosku, że taniej będzie zagwarantować, by w domu był zawsze przynajmniej jeden służący. – Jej spojrzenie było równie chłodne jak spokojne.

– Tak, to bez wątpienia tańsze rozwiązanie – zgodził się Brunetti.

– Owszem, tak było – oznajmiła. Podkreśliwszy społeczną pozycję i majątek rodziny męża, dodała bardziej praktycznie: – Jednym ze sposobów określenia aktualnej ceny będzie przejrzanie w internecie list sprzedaży i aukcji.

Brunetti podejrzewał, że takie listy muszą istnieć.

– Poproszę kogoś, by się tym zajął – powiedział. On także miał podwładnych, robiących za niego różne rzeczy.

– Co jeszcze zginęło? – zapytała.

– Nie wydaje mi się, by już to wiedzieli – powiedział Brunetti. – Mężczyzna, który wycinał kartki, nie zamawiał ani nie miał w rękach dwóch z zaginionych książek.

– Ale dyrektorka jest pewna, że ich nie ma? – zapytała hrabina.

– Tak.

Po chwili hrabina zadała kolejne pytanie.

– Czy to znaczy, że był więcej niż jeden złodziej?

– Tak się wydaje.

Wydała z siebie dźwięk, który w przypadku osoby nieutytułowanej należałoby nazwać prychnięciem, i oznajmiła:

– Myślałam, że w bibliotece będą bezpieczne.

Brunetti miał dość rozsądku, by się nie odzywać.

– Ten mężczyzna bywał tam przez trzy tygodnie – ciągnęła – i nikt niczego nie widział?

Słyszał ostry ton jej głosu, ale nadal nic nie mówił.

– Powiedziała mi, że to był Amerykanin – stwierdziła hrabina i dodała: – Chociaż to żadna różnica.

Brunetti pochylił się i wyjął z teczki papiery.

– Nazywał się Joseph Nickerson – przeczytał i spojrzał na nią, by sprawdzić, czy coś jej to mówi. Najwyraźniej nie mówiło, więc dorzucił resztę informacji: Uniwersytet Kansas, historia handlu morskiego i śródziemnomorskiego, list z rekomendacją, paszport.

– Ma pan jego zdjęcie? – zapytała.

– Tak – odparł Brunetti i podał jej kserokopię strony z paszportu.

– Wygląda jak Amerykanin – powiedziała z lekką pogardą.

– Tak właśnie się przedstawił pracownikom biblioteki. – Brunetti sięgnął po kartkę i znowu przyjrzał się twarzy mężczyzny. Osoby, które rozmawiały z Nickersonem, mówiły po włosku i słyszały jego akcent; to oznaczało tylko tyle, że równie dobrze mógł być Anglikiem lub pochodzić z jeszcze innego kraju. Mówił płynnie po włosku. Brunettiemu przyszło do głowy, że być może to akcent był wyuczony, nie język, a mężczyzna był Włochem. Skoro paszport był fałszywy, co kazałoby wierzyć w jakiegokolwiek zawarte w nim informacje?

Przyjrzał się znowu zdjęciu, wyobraził sobie trochę bardziej czarne i dłuższe włosy podejrzanego. Tak, nie wykluczał, że to było możliwe. Szkoda, że Nickerson nie zostawił próbki pisma, choćby tylko kilku słów; to by dało znacznie lepsze wyobrażenie o pochodzeniu niż akcent czy wygląd.

Hrabina milczała przez dłuższą chwilę, podczas gdy Brunetti uczeplił się kwestii pisma. Czy Nabokov nie napisał gdzieś, że świadomie przestał przekreślać cyfrę siedem, gdy przeprowadził się do Ameryki, traktując to jako oficjalną deklarację porzucenia Starego Świata? Jak Nickerson zamawiał książki, jeśli nie wypełniał rewersów? A może to także było już teraz skomputeryzowane?

Hrabina przerwała tok jego myśli.

– Jak właściwie powinnam się do pana zwracać? *Commissario*? *Dottore*? *Signore*?

– Mąż Paoli ma na imię Guido – powiedział. – Czy byłoby z mojej strony nadmierną śmiałością, gdybym zaproponował, by pani używała tej formy?

Przechyliła lekko głowę i popatrzyła na Brunettiego, lustrując go wzrokiem,

aż poczuł się niekomfortowo. Mimo że znajdował się, w pewnym sensie, pod skrzydłami rodziny Falier, nie był pewien, czy hrabina ich widzi, patrząc na niego.

– Rzeczywiście. No dobrze, co takiego chciał pan wiedzieć o książkach? – zapytała, nie wybierając żadnej z form i powtarzając formalne *lei*, którym zwracał się do niej.

Potrzebował chwili, by zaakceptować odrzucenie przez nią poufałości i powrócić myślami do przestępstwa. Cui bono? Kto mógł zyskać na kradzieży i jak był mierzony ten zysk? Jeśli złodziej i przyszły właściciel nie byli jedną i tą samą osobą, jakie korzyści odnosił każdy z nich? Pragnęli książek lub tych kartek z różnych powodów, materialistycznych lub... nie potrafił znaleźć właściwego słowa, być może dlatego, że nie rozumiał takiego pragnienia.

Jego myśli przerwała hrabina, która odchrząknęła lekko, sugerując zniecierpliwienie.

– Jest pani znana jako kolekcjonerka – zaczął. – Inteligentna kolekcjonerka. – Zaczekał, by zobaczyć, czy zareaguje na komplement, ale po prostu czekała z nieprzeniknioną twarzą.

Nie miał innego wyboru, jak tylko kontynuować.

– Nie rozumiem pragnienia posiadania rzadkich książek. – Aby wyrazić się jaśniej, dodał: – To znaczy pragnienia tak silnego, by kraść je lub zlecić ich kradzież.

– I dlatego?

– I dlatego chciałbym, by mi pani pomogła zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby to zrobić. I jaka osoba by coś takiego zrobiła.

Zaskoczyła go uśmiechem.

– Donatella opowiadała mi trochę o panu – powiedziała, nadal zwracając się do niego formalnie.

– Czy powinienem się zaniepokoić? – zapytał lekko Brunetti.

Jej uśmiech się nie zmienił.

– Nie, ależ skąd. Powiedziała, że stara się pan zrozumieć sprawy. – Zanim Brunetti zdążył jej podziękować za komplement, ponieważ tak odebrał te słowa, zaczęła mówić dalej. – Ale w tym przypadku to panu nie pomoże. Tutaj nie ma nic do zrozumienia. Ludzie kradną je dla pieniędzy.

– Ale... – zaczął Brunetti, jednak nie dała mu dojść do słowa.

– To jedyny powód motywujący złodziei do działania. Proszę zapamiętać o wszystkich tych artykułach o ludziach żywiących głęboką namiętność do map, książek i rękopisów, to wszystko romantyczne nonsensy. Freud w bibliotece. – Pochyliła się do przodu i uniosła rękę, chociaż nie musiała dodatkowo zwracać jego uwagi. – Ludzie kradną książki, mapy i rękopisy, wycinają z nich pojedyncze karty lub całe rozdziały, ponieważ mogą je sprzedać.

Brunetti bez trudu mógł uwierzyć w chciwość jako czynnik skłaniający do popełnienia przestępstwa, dlatego zapytał spokojnie:

– A kto je kupuje?

– Słyszałam plotki – przyznała. – Antykwariusze, galerie, domy aukcyjne często kupują rzeczy bez zadawania pytań.

– Czy złodzieje działają na zlecenie?

– Jeśli tylko nie ma pieczęci bibliotecznych i książka jest dostatecznie rzadka, sprzedadzą ją. – Gwałtowniej dodała: – Oczywiście lepszej klienteli.

Brunetti milczał, ale w końcu zapytał:

– Czyli?

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie, jakby oceniała, ile może mu powiedzieć.

– Ludziom, którzy chcą mieć piękne rzeczy, ale zapłacić za nie okazijną cenę.

– Mówi pani o ludziach, których pani zna?

– Najprawdopodobniej mówię o ludziach, których pan zna – odpowiedziała.

– Czy może mi pani powiedzieć, jak wygląda rynek na takie rzeczy? – zapytał Brunetti

– Na książki i kartki z książek? – zapytała, niemal jakby uważała, że wypowiedzenie tych słów na głos pozwoli podsycić jej gniew. Kontynuowała spokojniejszym głosem i ostrożniej. – Nie wydaje mi się, żebym miała wiele do powiedzenia. Profesjonaliści wchodzą do bibliotek i kradną, czasem na zlecenie.

– Kto kupuje?

– Kolekcjonerzy kupują cenne okazy – powiedziała i urwała. – Proszę pamiętać, że mówię panu tylko to, co wywnioskowałam z rozmów prowadzonych i zasłyszanych na przestrzeni lat.

– A reszta?

– Drobiazgi, pojedyncze kartki z książek o ptakach, roślinach lub ssakach, mogą zostać sprzedane do pomniejszych antykwariatów. – Popatrzyła w okna po drugiej stronie *calle*. – To możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że kupujący je pracownik takiego antykwariatu nie podejrzewa, że zostały skradzione. – Nie wydawała się o tym całkowicie przekonana, podobnie jak Brunetti, który wiedział, jak łatwo ludzie przekonują się do czegoś, w co chcą wierzyć. Ale nie podważał jej słów.

– Sądzę też, że osoba kupująca je w antykwariacie – ciągnęła – nie ma praktycznie powodów, by podejrzewać, że mogły zostać skradzione.

Brunetti popatrzył na nią, skinął głową i wrócił do notatek w swoim notesie.

– Sklepy oferujące oprawianie obrazów, targi i jarmarki – w takich miejscach także kupuje się i sprzedaje, więc złodziej mógłby się tam z łatwością pozbyć pojedynczych kartek.

– Wróćmy do całych książek – powiedział Brunetti. – One są najcenniejsze.

– Ach – zaczęła i przeciągnęła ten dźwięk. – One są znacznie trudniejsze do ukrycia lub zamaskowania. Jeśli pochodzą z biblioteki, będą miały pieczęć na

określonych stronach. Każda biblioteka ma własny system, ale wszystkie stemplują więcej niż jedną stronę. – Skinął głową, chcąc dać jej do zrozumienia, że nie jest całkowitym laikiem w tym temacie. – Gdy na stronach są stemple, książka równie dobrze mogłaby mieć wytłoczone na okładce „kradziona”.

– Po co w takim razie ją kupować? – zapytał Brunetti.

Hrabina przesunęła się odrobinę do tyłu w fotelu, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć. Złożyła ręce na kolanach.

– Nie pasuje pan do rodziny swojej żony, wie pan o tym?

– Nie słyszałem tego od lat – odparł Brunetti z uśmiechem.

Roześmiała się. Przypominało to kaszel palacza i zaskoczyło go tak bardzo, że chciał już wstać z fotela, by przyjść jej z pomocą, ale hrabina uniosła rękę i poklepała powietrze, odsyłając go na miejsce. Gdy śmiech ucichł, powiedziała:

– Chodzi mi o to, że najwyraźniej brakuje panu prawdziwej weneckiej żądzы posiadania.

Wzruszył ramionami; podejrzewał, że to komplement, ale nie był tego całkowicie pewien.

– Wielu pragnie takich książek, by chwalić się nimi, przynajmniej przed niektórymi przyjaciółmi, pokazywać imponujące nowe nabytki i wiedzieć, że przyjaciele nie zaczną zadawać pytań – powiedziała. – Chwalić się, że mają traktat Galileusza albo pierwsze wydanie tego czy tamtego. Coś rzadkiego. Zabytek z szesnastego wieku. Częstkę kultury. – Jej głos stał się twardszy, jakby była sędzią odczytującym listę zarzutów. – Jak sądzę, to ma podkreślać, że są bardziej wyrefinowani niż osoba, która kupuje ferrari. – Jej pogarda była miażdżąca.

Skinął głową, że rozumie taką potrzebę, choć sam jej nie odczuwa.

– Podoba mi się, że dla pana to jest bez sensu – powiedziała, znowu z uśmiechem, chociaż zakończonym skrzywieniem ust. Wskazała coś znajdującego się za nim. Brunetti odwrócił się i zobaczył portret mężczyzny z jastrzębim nosem, ubranego w ciemnobrązowy aksamitny kaftan. Zgadywał, że pochodzi z szesnastego wieku, zapewne ze środkowych Włoch. Może z Bolonii?

– Ile wart jest ten obraz? – zapytała.

Schował notes do kieszeni, wstał, podszedł do portretu i przyjrzał się z bliska.

Malarz z pewnością był utalentowany, za dowód wystarczyło jedno spojrzenie na dłonie modela. Brunetti mógłby wyciągnąć rękę i pogłodzić aksamit, a ponieważ był na równej wysokości z obrazem, widział przenikliwą inteligencję w oczach mężczyzny, mocny zarys szczęki i siłę w barczystych ramionach. Byłby to dobry przyjaciel lub zaciekły wróg.

– Nie mam pojęcia – przyznał, wciąż wpatrując się w mężczyznę. – Mogę tylko powiedzieć, że to piękny obraz, doskonale namalowany.

Kiedy odwrócił się do niej, zobaczył, że znowu się uśmiecha.

– Gdybym powiedziała panu, że to jeden z moich przodków, czy zgodziłby się pan, że jest dla mnie więcej wart niż dla pana lub kogokolwiek innego? – zapytała.

– Pomijając inne osoby z pani rodziny – odparł.

– Oczywiście.

Brunetti wrócił na swoje miejsce i usiadł naprzeciwko niej.

– Co powinienem wiedzieć o kolekcjonerach? I o wartości?

Wyraźnie czekała na to lub podobne pytanie.

– To bardzo dziwni ludzie, przynajmniej większość z nich. Niemal wyłącznie mężczyźni, zazwyczaj lubiący się popisywać. – Skinął głową, by dać jej do zrozumienia, że wie o tym, a ona mówiła dalej. – W przypadku zegarków, samochodów lub domów przyjaciele z łatwością sprawdzą, ile mogły kosztować, dlatego będą się rozplęwać nad nowym lamborghini lub zegarkiem firmy Patek Philippe. Ale niewiele osób zna się na wartości książek.

– A zatem po co je kolekcjonować? – zapytał. – I po co je kraść? Albo zlecać ich kradzież? To tylko sprawia, że stajesz się złodziejem wyższej klasy.

Uśmiechnęła się na taki dobór słów.

– Jeśli ich przyjaciele także są złodziejami, to również może być powód do przechwałek.

Brunetti nie brał tego pod uwagę. Czy aż tak nisko upadliśmy? Zastanowił się przez chwilę nad politykami, w których bibliotekach znaleziono skradzione książki. Tak, upadliśmy aż tak nisko.

– Niektórzy kolekcjonują książki, ponieważ kochają je i postrzegają jako część naszej historii i kultury – powiedziała hrabina. – Tego jednak z pewnością

nie muszę panu mówić.

– Czy tak było w przypadku rodziny pani męża? – zapytał.

Znowu się roześmiała i znowu pomyślał, że brzmi jak nałogowa palaczka.

– Dobry Boże, skądże. Kupowali je jako inwestycję. Mieli rację, są teraz warte fortunę.

– Zamierza je pani wszystkie podarować bibliotece, prawda? – zapytał.

– Zapewne tak zrobię – przyznała. – Wolę widzieć je bezpieczne w bibliotece, gdzie mogą być czytane przez osoby nimi zainteresowane, niż myśleć o tym, że wpadną w ręce tych, którzy widzą w nich tylko sposób na przechowywanie gotówki.

Jakby wyczuwała jego reakcję, zapytała szybko:

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Jak poważnym uszkodzeniem książki jest wycięcie z niej kartek?

– To nieodwracalna szkoda. Nawet jeśli karty uda się odnaleźć, książka nie będzie już tym samym przedmiotem.

Brunetti pomyślał, że to przypomina koncepcję dziewictwa kobiet, powszechną w czasach jego młodości, ale uznał za rozsądne nie mówić tego głośno.

– A jaki to ma wpływ na... – zawahał się, jakiego słowa użyć. W końcu się zdecydował: – cenę?

– Spada znacząco, nawet o połowę, jeśli brakuje choćby jednej kartki. Książka jest już uszkodzona.

– Nawet jeśli tekst pozostaje nienaruszony?

– Co pan przez to rozumie? – zapytała.

– Jeśli nie uległ uszkodzeniu. Jeśli tekst nadal jest w książce i można go przeczytać?

Nie potrafiła powstrzymać się od wydęcia warg z dezaprobatą.

– Mówimy o różnych rzeczach – powiedziała. – Ja mówię o książce, a pan mówi o treści.

Brunetti uśmiechnął się i założył skuwkę na długopis.

– Myślę, że oboje mówimy o tym samym, hrabino: o książkach. Po prostu inaczej je definiujemy. – Podniósł się z fotela.

– To wszystko? – spytała, zaskoczona.

– Tak – odparł Brunetti. – Bardzo dziękuję, że poświęciła pani czas, by podzielić się ze mną swoją wiedzą.

Zamknął notes i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Hrabina oddała mu papiery, raz jeszcze spoglądając na zdjęcie paszportowe Nickersona. Brunetti schował je do teczki.

Patrzyła, jak zamyka teczkę. Gdy wstał, podniosła się z fotela i skierowała do drzwi.

– Raz jeszcze dziękuję za poświęcony mi czas, hrabino – powiedział, przystając przy drzwiach.

Położyła dłoń na klamce, ale nie wykonała ruchu, by ją nacisnąć. Zamiast tego popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

– Jeśli chce pan wiedzieć, ile wart jest tekst, Guido – powiedziała, używając jego imienia i poufalego *tu*, którego unikała przez całą rozmowę – proszę przejść się na Rio Terà Secondo. – Uniósł brwi, ale nic nie powiedział. – Znajdzie pan tam budynek, w którym mieściła się drukarnia Manucjusza. Nie muszę panu mówić, że była to najważniejsza drukarnia w historii świata zachodniego. Na ścianie budynku są dwie tablice. Pierwsza informuje, że w tym domu mieściła się drukarnia Alda, „która przywróciła cywilizowanym ludziom świetność greckiej literatury”. Tablica została tam umieszczona przez Szkołę Literatury Greckiej z Padwy. Na parterze, po prawej stronie, znajduje się nieczynny sklep, po lewej zaś jest sklep sprzedający śmieci dla turystów. W dniu, w którym znalazłam ten dom, popytałam w czterech sklepach w pobliżu, ale nikt nie wiedział, kim był Aldus Manucjusz.

– Jak się pani tego dowiedziała? – zapytał Brunetti.

– Zadzwoiłam do przyjaciółki i zapytałam, a ona znalazła to w Wikipedii i oddzwoniła. Adres to San Polo 2310, na wypadek, gdyby chciał pan pójść i to zobaczyć.

Wyciągnęła rękę, a on znowu pochylił się, by pocałować powietrze tuż nad ręką. Och, gdyby tylko jego matka mogła teraz zobaczyć swojego synka, całującego dłoń hrabiny. Jej *palazzo* nie znajdowało się przy Canale Grande, ale Brunetti był przeświadczony, że jego matce by to nie przeszkadzało. Mimo wszystko to było *palazzo*, a kobieta podająca mu dłoń mimo wszystko była

hrabina.

Brunetti i Paola jedli tego dnia obiad we dwoje, lasagnę z kiełbaskami i *melanzane*. Chiara pojechała na wycieczkę szkolną do Padwy, a Raffi był z kolegą na łodzi.

– Prosi się o nieszczęście – powiedziała Paola. – Wypływa na lagunę, w otwartej łodzi, na kilka godzin. Co będzie, jeśli zacznie padać?

Brunetti spojrział w okno kuchni i zobaczył niebo tak niebieskie, jakby wycięto je z płaszcza Matki Boskiej. Przed obiadem wyszedł na taras i został wprost ogłuszony przez świergot ptaków w sosnach na podwórku domu po drugiej stronie *calle*. Wiosna nabrała rozpędu i nic nie mogło powstrzymać jej pochodu. Za dwa miesiące wszyscy będą narzekać na upały.

– Rozumiem już, co mówiłaś o hrabinie – powiedział, ignorując jej uwagę.

Okazja usłyszenia czegoś na kształt plotki błyskawicznie odwróciła uwagę Paoli od pierwotnego.

– Co takiego mówiłam? – zapytała.

– Że w kwestiach towarzyskich lub wygłaszając swoją opinię, nie zawsze wyraża się z najwyższą delikatnością.

– Ach, to – powiedziała. – Tak, potrafi mówić bez ogródek, ale była zawsze ulubionym dzieckiem i traktowano ją jak księżniczkę, chociaż była tylko wicehrabiną, więc sędzę, że można to zrozumieć.

– I wybaczyć? – zapytał Brunetti.

– Broń Boże – odparła natychmiast. – Ważniejsze jest, by ludzi rozumieć, niż by im wybaczać.

Brunetti zastanawiał się, czy jego żona właśnie odkryła, dlaczego Freud zastąpił Chrystusa, ale sam nie zamierzał spędzać czasu na dyskusowaniu z nią o tej możliwości – nie w sytuacji, gdy chciał się dowiedzieć czegoś więcej o hrabinie.

– Nie wyrażała się ciepło o ludziach, którzy kolekcjonują różne rzeczy –

powiedział.

– Bardzo słusznie – stwierdziła Paola, żywo zainteresowana tematem.

Siedzieli na kanapie w jej gabinecie, który zaszczyliło powracające słońce. Zamiast wina do obiadu oboje wybrali kawę, stojącą teraz przed nimi. Paola wypila łyk, rozmieszała resztę cukru i opróżniła filiżankę.

Brunetti przypomniał sobie rozmowę z hrabiną Morosini-Albani.

– Widzi różnicę pomiędzy ludźmi takimi jak ona, którzy rozumieją i kochają piękne przedmioty, a ludźmi, którzy po prostu chcą mieć piękne przedmioty, by powiesić je na ścianie. – Chociaż starał się to ukryć, sam słyszał skrzepowanie w swoim głosie.

Paola bezgłośnie odstawiła filiżankę i odwróciła się do niego.

– Jeśli będę widziała różnicę pomiędzy sumiennym studiowaniem przez ciebie historii Rzymu a dziennikarzem, który odwołuje się do dworu cesarza Heliogabala jako metafory obecnej sytuacji w Rzymie, nie mając pojęcia, kim był Heliogabal, czy powiesz, że to pozorna różnica? – Jej głos był miękki, ale Brunetti słyszał szelest ogona w krzakach, jakby szykowała się do ataku. – Gdybym nawiązała do mojej nieoświeconej pracy i zasugerowała, że moja analiza *Portretu damy* może być bardziej zniuansowana niż ta, którą można znaleźć w filmie hollywoodzkim – czy to byłaby pozorna różnica?

Pochylił głowę i przyjrzał się swojej niedopitej kawie, a potem odstawił filiżankę na spodek obok jej filiżanki.

– Przypuszczam, że to zależy od tego, jak jasno dasz wyraz swojej pogardzie dla Hollywood – powiedział.

– Pogardzie dla Hollywood należy zawsze dawać wyraz tak jasno, jak to możliwe. – Przy tych słowach Paola uśmiechnęła się promiennie. – Wiesz, że ona jest snobką, tak jak my wszyscy. Ale może mieć rację.

– Być może – stwierdził Brunetti, jasno okazując, że jest to ustępstwo, a nie przyznanie słuszności. Spojrzał na zegarek, zobaczył, że zostało mu jeszcze pół godziny, zanim będzie musiał wyjść z powrotem do pracy, więc postanowił zadać Paoli pewne pytanie. Ona czytała wszystko i zastanawiała się nad tym, co czyta.

– Czy kiedykolwiek czytałaś science fiction?

– Henry James niewiele pisał w tym gatunku – odparła ze śmiechem.

– Pytam poważnie – powiedział.

– Tak, trochę. Ale teraz już nie.

– Czytałaś kiedyś tę powieść o paleniu książek? – spytał. Gdyby czytała, wiedział, że miałyby ją w pamięci, skrzętnie spakowaną.

– Nie, nie przypominam sobie. Możesz powiedzieć coś więcej?

– Nie pamiętam tytułu, ale była o świecie, w którym książki zostały zabronione przez prawo, a strażacy – to było sprytne – strażacy chodzili i palili wszystkie książki, jakie zdołali znaleźć. Jeśli ktoś miał książkę, zabijali.

– Jestem pewna, że wszyscy moi studenci chcieliby się tam przeprowadzić – zauważyła Paola z kamienną twarzą.

– Nie spodobałoby im się tam, ponieważ niektórzy ludzie uczyli się na pamięć całych książek; stawali się książkami. To był jedyny sposób, by je zachować.

Przyjrzała mu się.

– Dlaczego sobie o tym przypomniałaś?

Wzruszył ramionami i popatrzył na stół przed nimi, pełen książek na różnych etapach lektury: z postrzępionymi rogami; nieodpakowanych z celofanu; otwartych i leżących grzbietem do góry; włożonych jedna w drugą, by zaznaczyć miejsce w obu; otwartych na płasko i patrzących w sufit.

– Powinienem był wspomnieć o tym hrabinie. – Wątpił, by hrabina była znawczynią gatunku, i podejrzewał, że mogłaby nie być zachwycona takim porównaniem. – Jeśli pozbywasz się wszystkich książek, pozbywasz się pamięci – uzupełnił.

– A także kultury, etyki, różnorodności i wszelkich argumentów, które sprzeciwiałyby się temu, w co zamierzasz wierzyć – powiedziała Paola, jakby odczytywała listę. Potem, ponieważ nie odpowiedział, powtórzyła pytanie. – O czym myślałaś?

– O czymś, co powiedziała. Tak jakby uważała, że uroda książek jest równie ważna jak ich treść.

– Dla niektórych ludzi tak właśnie jest. Przypuszczam, że inaczej by ich nie kradli. – Potem, po chwili zastanowienia, dodała, jakby zgodziła się pójść na ustępstwo: – Obiekt fizyczny może powiedzieć wiele o kulturze, więc ma znaczenie historyczne. Pomyśl też o wszystkich tych książkach o historii

naturalnej, w których fakty się nie zgadzają, ale ilustracje są doskonałe.

– Nie zgodziliśmy się w tym punkcie – powiedział Brunetti.

– Mam nadzieję, że byłeś za treścią. – Paola odwróciła się do niego.

– Oczywiście.

– To dobrze – oznajmiła. – Rozwód wymagałby strasznie dużo zachodu.

Brunetti prychnął i potrząsnął głową.

– Geś.

– Jedna rzecz z tego, co mi powiedziałaś, nadal nie ma sensu – odezwała się Paola po dłuższej chwili.

– Jaka?

– Że uciekł.

– Słucham?

– Że ten Nickerson opuścił bibliotekę w pośpiechu, zostawiając książki na stole – wyjaśniła. Słońce przesunęło się tymczasem po podłodze i teraz dotykało czubków jej stóp, wyciągniętych na stoliku przed kanapą. Paola zsunęła się niżej i wyciągnęła je bardziej, poruszając nimi w promieniach słońca. – O, jakie to przyjemne – westchnęła.

– Ciepłej ci? – zapytał.

– Nie fizycznie – odparła. Wróciła do poprzedniego tematu. – Dlaczego miałyby tak postąpić?

– Zauważył, że ktoś go obserwuje – powiedział Brunetti i przypomniał sobie Tertuliana.

– Albo też ktoś mógł go ostrzec – podsunęła Paola.

– Jak? – zapytał Brunetti.

– Czytelnicy mogą zabierać *telefonino* do środka, prawda? – zapytała.

– Przypuszczam, że tak. Teraz ludzie noszą je wszędzie.

– Czyli ktoś mógł do niego zadzwonić lub przysłać SMS.

– To by wymagało współnika – zauważył Brunetti.

– To, że zdobył fałszywy amerykański paszport, sugeruje bardziej skomplikowaną organizację niż lokalny zastęp skautów, który zszedł na złą drogę – powiedziała, ale złagodziła tę uwagę uśmiechem. – Chyba zgadzamy

się, że coś go przestraszyło.

Brunetti zapadł się w poduszki kanapy. Zamknął oczy i starał się przywołać słowa Sartora o Amerykaninie. Coś o tym, że dzięki entuzjazmowi Nickersona do czytanych książek postanowił przeczytać ten sam tom Cortésa.

Brunetti wyjął *telefonino* i zadzwonił na telefon służbowy signoriny Elettry z nadzieją, że będzie przy biurku.

Odebrała po drugim dzwonku.

– *Sì, dottore?* – zapytała.

– Chciałbym poprosić o przysługę. Czy mogłaby pani zajrzeć do katalogu Biblioteki Merula i sprawdzić, ile mają egzemplarzy książki Hernána Cortésa? Ma tytuł *Relación* cośtam dalej.

– Czy mam się zająć tym od razu, *dottore?* – zapytała.

– Jeśli to nie będzie kłopot.

– Chwileczkę – powiedziała.

Przytrzymał komórkę między ramieniem a uchem i odchylił głowę do tyłu. Za sobą usłyszał szelest przewracanej kartki; najwyraźniej Paola ukrywała jakiś tekst przy sobie lub pod poduszką, na której siedziała, przygotowany na wypadek, gdyby życie wymagało od niej spędzenia trzech minut bez żadnej lektury. Nie musiał nawet na nią patrzeć, liczył tylko przewracane strony.

Po czwartej signorina Elettra odezwała się znowu.

– W ich katalogu znalazłam egzemplarz *Segunda Carta de Relación*, wydany w Sewilli w tysiąc pięćset dwudziestym drugim roku, egzemplarz *Carta tercera*, z tego samego miasta, wydany rok później, i jeszcze jeden *Quarta relación*, z drukarni Gaspara de Ávila w Toledo, zabrany do konserwacji. Jest także wydanie tutejsze, z tysiąc pięćset dwudziestego czwartego roku, z drukarni Vercellese, przełożone na włoski przez Niccolò Liburnio. – Odczekała długą chwilę i zapytała: – Czy coś jeszcze, *dottore?*

– Nie, dziękuję, *signorina*. Podziwiam panią i dziękuję za pomoc.

– *Dovere* – odparła i odłożyła słuchawkę. Brunetti roześmiał się głośno i wyłączył *telefonino*.

– Co takiego powiedziała? – Paola podniosła głowę znad książki.

– Że wypełnia tylko swoje obowiązki. – Zaśmiał się znowu. – Jest sekretarką

Patty, nie moją, a jednak zawsze chętnie zostawia to, co robi, by mi pomóc. I mówi, że to jej obowiązek.

– Masz słabość do ironii – zauważyła Paola.

Położył dłoń na jej kolanie i potrząsnął lekko.

– A ty nie?

Brunetti postanowił przed przyjściem do komendy wstąpić do Biblioteki Merula, dlatego zadzwonił do Vianella i poprosił, by czekał na niego przy Moście Akademii, żeby mieli czas porozmawiać po drodze do biblioteki. Poszedł pieszo, ciesząc się z rzadkiej sposobności przechadzki względnie pustymi ulicami. Za dwa miesiące przejście o tej porze przez San Polo w stronę mostu będzie niemożliwe. Poprawił się: będzie możliwe, ale nie do wytrzymania. Próbował sobie przypomnieć, kiedy to się zmieniło; kiedy miasto stało się nieprzyjemne na tak dużą część roku? Ale gdy przeszedł mostem na Campo San Barnaba i zobaczył trzy kobiety siedzące przy stoliku w kawiarni, obok zaparkowanych dziecięcych wózków, wystawiające twarz do słońca w trakcie rozmowy, jego narzekania spłukała wezbrana fala euforii.

Przy Moście Akademii zobaczył Vianella stojącego za *edicola* i obserwującego, jak właściciel gra w szachy z przyjacielem. Brunetti podszedł do niego.

– Nie wiedziałem, że umiesz grać – powiedział.

– Właściwie nie umiem – przyznał Vianello. – Wiem, jak się poruszają figury, ale nie radzę sobie z taktyką i strategią.

Brunetti postanowił tego nie komentować. To, że tak wspaniały drapieżnik nie zdawał sobie sprawy z własnego talentu, zaskakiwało go, ale być może ściganie przestępców różniło się od zdobywania wież i gońców.

Równym krokiem zaczęli się oddalać od kanału.

– Chciałbym porozmawiać ze strażnikiem w bibliotece. Chciałbym też, żebyś był przy tym i powiedział mi, co o nim myślisz.

– O czym chcesz z nim rozmawiać? – zapytał Vianello.

– Gdy widziałem się z nim poprzednio, wspomniał o czymś i chciałem, żeby powiedział więcej na ten temat.

– Na jaki?

– Wolałbym, żebyś usłyszał to od niego.

Vianello, nie zatrzymując się, odwrócił do niego głowę.

– Podejrzewasz go? – zapytał.

– Nie, nie wydaje mi się. Sprawia wrażenie uczciwego człowieka.

– Ale nie można być pewnym? – zapytał inspektor.

– Właśnie.

Gdy dotarli do biblioteki, Brunetti podszedł do stanowiska na pierwszym piętrze i powiedział temu samemu co poprzednio młodemu człowiekowi, że chciałby zamienić dwa słowa z signor Sartorem. Obserwował uczucia malujące się na twarzy młodszego mężczyzny: ciekawość, niepokój, lęk.

– Pójdę po niego – oznajmił tamten, wstając z krzesła.

Kilka minut później wyłonili się zza drzwi prowadzących do zbiorów współczesnych. Sartor rozpoznał Brunettiego i podszedł z wyciągniętą ręką, ale opuścił ją, gdy zobaczył Vianella.

– Dzień dobry, *commissario*.

– Signor Sartor – zaczął Brunetti – to mój współpracownik, inspektor Vianello. – Sartor uścisnął dłoń im obu, ale nic nie powiedział.

– Chciałbym, żeby poświęcił mi pan chwilę – oznajmił Brunetti. Potem rozejrzał się i zwrócił zarówno do Sartora, jak i do młodego mężczyzny: – Czy możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

– Możecie usiąść w pokoju socjalnym, Piero – podsunął młodszy mężczyzna.

– A, tak – powiedział Sartor po chwili. – Oczywiście. – Odwrócił się do drzwi na schody, zakładając, że Brunetti i Vianello pójda za nim. Tym razem zszedł na dół. Gdy znaleźli się na dziedzińcu, Sartor poprowadził ich bocznym chodnikiem i skręcił w lewo, do drzwi na końcu. Brunetti nie rozumiał, dlaczego nie idą po prostu na skos przez dziedziniec, ale być może chodziło o zakaz chodzenia po młodej trawie. Nie rozumiał też, dlaczego Sartor wykonywał dziwne, niezręczne ruchy, jakby łapał go skurcz w jednej nodze, ale potem zauważył, że mężczyzna unika stawania na szczelinach pomiędzy kamieniami. Przeszli pod dużym krzewem bzu, na którym Brunetti zobaczył pąki, i zatrzymali się przed schodami prowadzącymi do drewnianych drzwi z podwójną szybą.

Sartor sięgnął do kieszeni kurtki, a gdy wyjmował pęk kluczy, razem z nim wyciągnął kartonowe prostokąty w żywych kolorach, które spadły, trzepocząc, na ziemię. Vianello pochylił się szybko i podniósł trzy czy cztery.

– Ach, *Gratta e Vinci*. – Uśmiechnął się i dodał: – Moja żona je kupuje, jeden na tydzień. Najlepszą jej wygraną było pięćdziesiąt euro i nie chcę nawet myśleć o tym, ile musiała wydać, by na to trafić.

Sartor pośpiesznie pozbierał resztę losów i wziął te, które podał mu Vianello. Popatrzył na nie, jakby były kartami w rozdaniu pokera i musiał się zdecydować, ile na nie postawić. W końcu powiedział:

– Ja także kupuję je dla żony. Ale ona nigdy niczego nie wygrała. – Wzruszył ramionami. – Hazard jest dla głupców; *roba da donne* – mruknął, by wyrazić dezaprobatę dla kobiecych słabości. Schował losy do kieszeni kurtki, wszedł po schodach i otworzył drzwi. – Tu właśnie możemy przychodzić w czasie przerwy, albo po to, żeby się przebrać. – Cofnął się o krok, żeby ich przepuścić.

Brunetti z przyjemnością zobaczył, że pomieszczenie było ciepłe, gościnne i bardzo przestronne. Były tu zlew, lodówka, nawet mała kuchenka, wszystko nieskazitelnie czyste. Dwa okna na przeciwległej ścianie wychodziły na kanał, wpuszczając do pokoju o białych ścianach światło, podobnie jak okno w drzwiach, które Sartor zamknął za nimi.

– Podnieśli to wszystko podczas remontu, żeby *acqua alta* nie wlewała się do środka – wyjaśnił strażnik i odsunął od drewnianego stołu dwa krzesła, a potem jeszcze jedno. – Oczywiście o ile nie przekroczy stu czterdziestu. – Czyste ściany zaświadczały, że to prawda.

Po jednej stronie stał rząd metalowych szafek zamkniętych na kłódki; na przeciwległej ścianie na wieszakach wisiał płaszcz i kilka kurtek. Na końcu, pod oknami, trzy mocno podniszczone, ale bardzo wygodne fotele ustawiono w nierównym kole.

– Jeśli panowie się napiją, mogę zrobić kawę – odezwał się Sartor, wcielając się w rolę gospodarza. Jego dłoń nerwowo wsuwała się do kieszeni i wysuwała z niej, jakby chciał się upewnić, że losy nadal tam są.

Brunetti skłamał, mówiąc, że właśnie byli na kawie, i podszedł do jednego z krzeseł przy stole. Vianello zrobił to samo. Cała trójka zajęła miejsca.

– Kiedy rozmawialiśmy dwa dni temu, signor Sartor – zaczął Brunetti bez

żadnego wstępu – powiedział pan, że dottor Nickerson tak obszernie i tak zachęcająco opowiadał o książce, z której korzystał, że ją pan przeczytał.

Sartor popatrzył na przemian na obu mężczyzn, niemal jakby oczekiwał jakichś oznak nagany za to, że przeczytał jedną z książek bibliotecznych. W końcu skinął głową.

– Tak, rzeczywiście.

– Czy może mi pan przypomnieć, jaka to była książka?

Rosnące zaskoczenie Sartora malowało się wyraźnie na jego twarzy.

– Ależ mówiłem to panu: Cortés.

– Po włosku? – upewnił się Brunetti.

– Oczywiście, nie znam innego języka.

– Czy był to pojedynczy tom, czy część w tomie zbiorczym?

– To był pojedynczy tom, *signore*, ten, który tamtego dnia znalazłem na stole dottore Nickersona. – Skinął energicznie głową. – To była ta sama książka.

– Jest pan pewien? – zapytał Brunetti.

Jakby w poszukiwaniu podstępu Sartor spojrzął w bok, na milczącego Vianella, który słuchał tej rozmowy z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Tak, jestem pewien. To była ta sama książka. Wiem to, ponieważ miała plamę na okładce, w prawym górnym rogu. Być może z atramentu, ale bardzo starą.

– Rozumiem – powiedział Brunetti. – Dziękuję panu.

Sartor wyraźnie się uspokoił.

– Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

– Chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie – oznajmił Brunetti, ignorując pytanie przed chwilą mu zadane.

Sartor skinął głową, a jego dłoń poklepała kieszeń z losami.

– Tamtego dnia rano widział pan dottore Nickersona, kiedy wchodził?

– Tak, widziałem.

– Czy zwykle przychodzi pan na poranną zmianę?

– Teraz tak, siedzę na dole przez pierwsze dwie godziny każdego dnia. Tak było przez ostatnie dwa miesiące.

– Dlaczego? – zapytał Brunetti.

– Manuela, bibliotekarka, która zwykle przyjmuje rewersy, spodziewa się dziecka i ostatnio nie przychodzi przed jedenastą. Dlatego dottoressa Fabbiani poprosiła mnie, żebym siedział na stanowisku przez dwie godziny. – Uśmiechnął się i dodał: – Manuela nie chce nam powiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka, ale ja się założę, że chłopiec.

Brunetti zignorował tę uwagę.

– Czy tamtego dnia był pan na stanowisku przez cały czas, gdy dottore Nickerson przebywał w bibliotece?

– Tak.

– Rozumiem – stwierdził Brunetti. – Czy rozmawiał z nim pan codziennie rano?

– O nie, tylko jeśli nie było innych czytelników lub jeśli pracownicy magazynowi potrzebowali dużo czasu na znalezienie książek.

Brunetti znowu przypomniał sobie lata studenckie i podejrzewał, że obaj mężczyźni mieli mnóstwo czasu na rozmowy.

– O czym rozmawialiście? – zapytał swobodnie, jakby chciał tylko zabić czas, zanim wróci do prawdziwych pytań.

– Na przykład o wędkowaniu – zaskoczył go Sartor.

– Wędkowaniu?

– Nie pamiętam dokładnie, od czego się zaczęło, ale któregoś dnia rozmawialiśmy o pogodzie i powiedziałem, że nie mogę się doczekać rozpoczęcia sezonu. – Sartor popatrzył na Vianella, jakby pytając, czy rozumie takie pragnienie. Inspektor uśmiechnął się i skinął głową.

– On łowi ryby? – zapytał Brunetti.

– Tak, chociaż nie w morzu. Powiedział, że tam, skąd pochodzi, są tylko jeziora, ale niektóre bardzo duże.

– Coś jeszcze?

– Właściwie nie, rozmawialiśmy o rzeczach, o jakich zwykle się rozmawia, gdy nie ma nic do roboty.

– Powiedział pan, że to jego entuzjazm sprawił, że zaczął pan czytać Cortésa?
– przypomniał Brunetti z uśmiechem, jak czytelnik czytelnikowi.

Sartor rzucił mu przeciągłe spojrzenie, a potem przeniósł wzrok na Vianella. W końcu odpowiedział.

– Gdy zapytałem go z grzeczności, nad czym pracuje, powiedział, że czyta o europejskich podróżnikach z piętnastego i szesnastego wieku. Powiedziałem mu, że ja czytałem tylko jednego, ponieważ musieliśmy w szkole, i był to Marco Polo. Przyznał, że jego książka jest bardzo dobra i wymienił jeszcze kilka, twierdząc, że są równie interesujące.

Sartor odsunął krzesło od stołu i założył nogę na nogę. Najwyraźniej oswoił się z obecnością Vianella na tyle, że zapytał:

– Jest pan pewien, że chce się panu o tym słuchać?

– Tak – potwierdził Brunetti.

Sartor westchnął i skrzyżował ramiona na piersi.

– Gdy wymieniał nazwiska podróżników, którzy go zainteresowali, rozpoznałem wśród nich tylko Cortésa. – Odchrząknął kilka razy i mówił dalej. – Chciałem rzucić okiem na tę książkę i... i zaskoczyć go, mówiąc, że ją czytałem. – Umilkł i popatrzył na nich, być może skrępowany przyznaniem się do tego, że chciał zaimponować zagranicznemu naukowcowi.

– I co dalej? – ponaglił go Brunetti.

– Przeczytałem fragment pierwszego tomu, tak jak panu mówiłem. Potem, innego dnia, gdy przyszedł dottore Nickerson, powiedziałem mu, jak bardzo podobał mi się Cortés.

– Czy to go ucieszyło? – zapytał lekko Brunetti. Gdy Sartor nie zareagował, doprecyzował: – Czy mówił cokolwiek, gdy mu pan o tym powiedział?

Sartor odwrócił wzrok, jakby nagle uderzyło go wspomnienie tamtej rozmowy.

– To dziwne – powiedział cicho.

Brunetti był nieruchomy jak jaszczurka na kamieniu. Pozwolił sobie na leciutkie skinienie głową.

– Początkowo wydawał się zaskoczony. Ale potem powiedział, że cieszy się, że podobała mi się ta książka, i poszedł na górę do czytelni.

– Czy powiedział pan do niego coś jeszcze?

– Tylko to, że chętnie sięgnę po następny tom.

Brunetti uśmiechnął się i wstał. Sartor kilka razy przeniósł spojrzenie z niego na Vianella i z powrotem, zanim także się podniósł. Komisarz wyciągnął rękę nad stołem i uścisnął dłoń strażnika.

– Bardzo nam pan pomógł, signor Sartor.

Starał się, by jego głos brzmiał możliwie uspokajająco.

Strażnik uśmiechnął się blado, przysunął krzesło do stołu i odwrócił się do drzwi.

Gdy je otwierał, Brunetti zapytał, jakby nagle wpadł na ten pomysł:

– Powiedział pan, że dottor Nickerson bardzo dobrze mówił po włosku. Czy przyszło panu kiedykolwiek do głowy, że mógłby być Włochem?

Sartor przepuścił ich przodem na schody prowadzące na dziedziniec, a potem odwrócił się, by zamknąć drzwi. Trzymał dłoń na kluczu przez dłuższą chwilę, zanim schował go do kieszeni. Zszedł po schodach i stanął przed Brunettim.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale mógłby być. Powiedział, że jest Amerykaninem, ale chodził do szkoły w Rzymie. Uznałem, że to wyjaśnia, dlaczego mówi prawie bez akcentu. – Milczał przez chwilę, zrobił kilka kroków, zatrzymał się i odwrócił. – Może słyszałem ten akcent, ponieważ się go spodziewałem? Czy to możliwe?

Vianello odezwał się po raz pierwszy.

– Naoczni świadkowie często pamiętają rzeczy, które się nie wydarzyły, lub ludzi, których nie było na miejscu.

– To dziwaczne, prawda? – Sartor rzucił pytanie w przestrzeń.

Skierował się do drzwi na *calle*, ale Brunetti go zatrzymał.

– Chciałbym zamienić dwa słowa z dottoressą Fabbiani – powiedział.

– Oczywiście, oczywiście. – Sartor odwrócił się i poszedł do głównych schodów. Na ich szczycie Brunetti zauważył, że kartka informująca o „problemach technicznych” nadal była przyklejona. Sartor otworzył drzwi,

a potem zamknął je za nimi na klucz. – Jeśli panowie zaczekają tutaj, powiem jej, że chcą się panowie z nią zobaczyć – powiedział i skierował się w stronę, która w ocenie Brunettiego musiała być zapleczem budynku.

– To możliwe, że wyobraził sobie ten akcent, prawda? – zapytał Vianello.

– Ludzie robią dziwniejsze rzeczy – odparł Brunetti. Podszedł do stanowiska i popatrzył na papiery w tackach na dokumenty. Przeczytał leżące na wierzchu: prośba o wypożyczenie międzybiblioteczne, lista książek na zbliżającą się aukcję w Rzymie i list z zapytaniem o możliwość zatrudnienia w bibliotece w charakterze nieopłacanego praktykanta.

Gdy usłyszał kroki, odsunął się od stanowiska i usiadł na krześle. Vianello zrobił to samo, odchylił się do tyłu i skrzyżował nogi.

Otworzyły się drzwi i weszła dottoressa Fabbiani. Ledwie widoczny za nią Sartor przytrzymał jej otwarte drzwi.

– Dziękuję – powiedziała i dodała z uśmiechem: – Możesz wracać i zaplanować strategię na Formula Uno.

Sartor wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Brunetti podniósł się i zapytał, chociaż to nie była jego sprawa:

– Formula Uno?

Dyrektorka uśmiechnęła się.

– Piero jest zagorzałym kibicem wszystkich sportów. Nie wiem, jak żona z nim wytrzymuje, on myśli tylko o wyliczaniu szans i zwycięstw. – Urwała, gdy zobaczyła Vianella.

– To mój współpracownik, inspektor Vianello – przedstawił go Brunetti.

Swoboda i nieformalność zniknęły; Fabbiani zaproponowała, by przeszli do jej gabinetu. Prowadziła ich między regałami tak szybko, że Brunetti całkowicie stracił orientację. Po pewnym czasie otworzyła drzwi na końcu długiego korytarza z drewnianymi półkami na ścianach i zaprosiła ich do gabinetu. Na jej biurku znajdowały się: komputer, telefon i jedna teczka z żółtego kartonu; nie było śladu żadnych innych papierów, długopisu, ołówka, spinacza. Błat biurka był gładką taflą czarnego szkła.

Na czterech ścianach wisiały cztery reprodukcje, które Brunetti rozpoznał jako pochodzące z *Carceri* Piranesiego, niezależnie od ich jakości ponure i pozbawione życia. Parkiet z rombów, dwa okna wychodzące na Giudecę.

Fabbiani usiadła na zwyczajnym krześle i dała znak, by usiedli koło niej.

– W czym mogę panu pomóc, *commissario*? – zapytała.

– Chciałbym wiedzieć, jakie straty finansowe poniosła biblioteka, i zastanawiałem się, czy miała pani czas, by je oszacować – wyjaśnił.

Zanim odpowiedziała, wpatrywała się przez chwilę w jedną z ruin Piranesiego.

– Montalboddo został sprzedany na aukcji w tym roku za dwieście piętnaście tysięcy euro. Ramusio to tylko jeden tom z trzech, ale pierwsze wydanie.

– Jaki to ma wpływ na cenę? – zapytał Brunetti.

– Choć był to tom drugi, o dziwo został wydrukowany jako ostatni – powiedziała.

– Przykro mi, *dottorressa*, ale w dalszym ciągu nie rozumiem.

– Ach tak, oczywiście. – Przeczesła włosy palcami prawej dłoni. – To oznacza, że złodziej został prawdopodobnie przysłany przez kogoś, kto chciał skompletować swój zbiór. – Ponieważ ani Brunetti, ani Vianello, nie odzywali się, mówiła dalej. – Jeśli tak, teraz ma on wszystkie trzy tomy, a ich łączna wartość jest o wiele wyższa niż zsumowana wartość pojedynczych, sprzedawanych oddzielnie tomów. – Obaj pokiwali głowami.

– Przepraszam, *dottorressa* – wtrącił Vianello, jakby nie mógł powstrzymać ciekawości. – Ale jaki to ma wpływ na wartość waszego księgozbioru?

Spojrzała na niego zaskoczona, być może nie spodziewając się, że inspektorzy są zdolni do myślenia.

– Całkowicie ją przekreśla – odparowała. Natychmiast dodała ze znużonym uśmiechem: – Nie, to przesada. Znacznie ją obniża. Ale nie o to chodzi.

– Oczywiście że nie – przyznał Vianello współczująco. – Jesteście biblioteką, a nie księgarnią.

Spojrzała na niego uważniej.

– Ma pan rację, nie jesteśmy księgarnią. Dla placówki takiej jak nasza strata finansowa nie jest najważniejsza. – Znowu zaczęła się wpatrywać w Piranesiego.

– Jak komukolwiek udaje się ukraść książki z biblioteki? – zapytał Vianello tonem pełnym niepokoju.

Znowu przeczesła włosy.

– Nie wiem. Ktoś jest zawsze na stanowisku, zarówno w zbiorach współczesnych, jak i w starych drukach. Przy wyjściu sprawdzają torby czytelników.

Brunetti zastanawiał się, jak dokładne jest to przeszukanie, szczególnie w przypadku kogoś, z kim rozmawiało się o wspólnej pasji wędkarskiej.

– Tylko tyle? – zapytał Brunetti.

– Zaczęliśmy chipować zbiory – powiedziała. Zobaczyła, że nie wiedzą, o czym mówi, więc wyjaśniła: – Wkładamy chipy komputerowe w grzbiety wszystkich tomów, przynajmniej tych tutaj na górze. Czujnik, taki jak ten, przez który przechodzi się na lotnisku, wykryje, jeśli ktoś spróbuje wynieść książkę bez jej wypożyczenia.

Brunetti, który nie zauważył ani śladu podobnego urządzenia w pobliżu stanowisk na żadnym piętrze, zapytał:

– Czy ten czujnik został zainstalowany?

Zamknęła oczy i westchnęła głęboko.

– Zamówiliśmy go sześć miesięcy temu i wtedy zaczęliśmy chipowanie. – Otworzyła oczy i popatrzyła na Brunettiego.

– Ale? – ponaglił.

– Czujnik, który nam przysłano, był zaprojektowany do współpracy z chipami używanymi innego programu. Przynajmniej tak nam powiedziano.

– I co się z nim stało?

– Firma zabrała go, ale nie dostarczyli nam jeszcze nowego.

– Czy powiedzieli, kiedy go dostarczą? – zapytał Vianello.

– Nie – odparła z trudem, twardym głosem.

– Powiedziała mi pani, że w zbiorach jest osiem tysięcy książek, *dottoressa* – odezwał się Brunetti. – W ilu z nich mają się znaleźć chipy?

– We wszystkich – odparła, kolistym machnięciem ręki wskazując to piętro biblioteki. – A także w rękopisach – dodała.

– Jak pani myśli, ile czasu to zabierze?

Rzuciła mu ostre spojrzenie i zapytała:

– Jaki to ma związek z kradzieżą, *commissario*?

– Mam nadzieję, że nie poczuje się pani dotknięta, *dottorressa*, ale myślałem o przyszłych kradzieżach.

Jej twarz zastygła. Brunetti zastanawiał się, czy każe im wyjść. Złożyła dłonie na kolanach i zaczęła skubać kawałeczek skórki na lewym kciuku. Popatrzyła na Brunettiego.

– To już się stało. – Odetchnęła głęboko i starała się mówić spokojnie. Zaczęła, ale głos jej się załamał, spróbowała znowu i w końcu zdołała powiedzieć: – Są kolejne.

W pokoju zapadła cisza. Brunetti i Vianello nie poruszyli się. Minęła ponad minuta, zanim komisarz powiedział w końcu:

– Jakie kolejne, *dottorressa*?

– Kolejne książki – wyjaśniła.

– Brakujące?

Opuściła wzrok i podrapała kciuk, ale szybko przerwała i popatrzyła na Brunettiego.

– Tak. Chciałam mieć pewność, że niczego więcej nie brakuje, więc wydrukowałam co dziesiątą z pierwszych stu stron katalogu i sprawdziłam, czy wymienione na nich książki są wypożyczone lub na półkach.

– Ile książek pani sprawdziła? – zapytał Brunetti.

Patrzył, jak zastanawia się nad jego pytaniem, i zauważył, kiedy zrozumiała jego sens.

– Ponad sto czterdzieści – odpowiedziała.

Brunetti nie widział powodów, dla których miałby tracić czas, więc zadał bezpośrednie pytanie.

– Ilu brakuje?

– Dziewięciu – odparła, spoglądając na Vianella i znowu na Brunettiego. – Jest coraz gorzej – dodała głosem podniesionym nagle w gniewie. – Słyszę to od kolegów ze wszystkich stron, nie tylko w tym kraju. Nic już nie jest bezpieczne. – Brunetti zobaczył jej dłonie, splecione teraz i zgniatające się nawzajem. Dodała spokojniejszym głosem: – Nie wiem, co mamy robić. Nie możemy zakazać czytelnikom wstępu. Akademicy potrzebują tego, co mamy w zbiorach. – Spojrzała na swoje dłonie i uwolniła je.

– Czy sporządziła pani listę książek zamawianych przez Nickersona? – zapytał Brunetti.

– Tak.

– Ile książek zostało...? – Brunetti nie zdołał znaleźć właściwego słowa.

– Zniszczył trzydzieści jeden z nich – odparła, używając odpowiedniego określenia. – Przynajmniej tyle odkryliśmy do tej pory – dodała.

– A straty? – zapytał z nadzieją, że Fabbiani zrozumie, iż znowu stara się oszacować ich wartość finansową. Był pewien, że doceni przemilczenie pytania, jak to możliwe, że nikt niczego nie zauważył.

Potrząsnęła głową, dziwiąc się, że ktoś nie może pojąć tak prostej rzeczy.

– Książki są zniszczone, przynajmniej z punktu widzenia naszych standardów. Mogły zachować część swojej wartości, w jednej z nich wycięto tylko jedną mapę, więc jej wartość spadła zaledwie o połowę. Jednak nie są już tymi samymi przedmiotami co wcześniej, a te, z których wycięto więcej kartek, stały się praktycznie bezwartościowe. – W przekonaniu, że w końcu ją zrozumie, podeszła do biurka i wróciła z teczką. Otworzyła ją, podała Brunettiemu plik kartek i zatrzymała jedną dla siebie. Znowu usiadła.

– To książki, o których wiemy, że zostały przez niego zniszczone, oraz sumy, jakie zapłaciliśmy za te, które zostały zakupione do zbiorów. – Pochyliła się i wskazała pierwszą kolumnę liczb. – Reszta pochodzi z darów, więc możemy tylko określić cenę, jaką takie egzemplarze osiągnęły ostatnio na aukcji. Nie mieliśmy czasu i obawiam się, że nie potrafię ocenić, co już mogło zostać sprzedane. – Po chwili namysłu dodała: – Nie wiem, czy warto to sprawdzać.

– Dlaczego? – zapytał Brunetti.

– Nigdy nie zdobędziemy dość pieniędzy, by kupić podobne egzemplarze.

– A ubezpieczenie?

Jej śmiech był pełen gorczy i lekceważenia.

– Nie mamy go. Ponieważ jesteśmy organizacją publiczną, powinniśmy otrzymać odszkodowanie od państwa, ale nie warto na to liczyć. – Zanim zdążyli zapytać, wyjaśniła: – Jakies osiem lat temu pęknięta rura zalała część zbiorów, a my nadal czekamy, aż przyślą inspektora, który obejrzy książki. – Jakby to nie wystarczało, powiedziała: – Nie zapłacą za nic, co pochodzi z darów. – Zauważyła ich zaskoczenie. – Twierdzą, że skoro nie zapłaciliśmy za

książki, to nie ponieśliśmy żadnej straty.

Odczekała chwilę, żeby mogli przyswoić to, co właśnie powiedziała, a potem pochyliła się do Brunettiego i postukała w liczby w prawej kolumnie.

– To najnowsze ceny aukcyjne za dwie z brakujących kartek. Tylko te zdołaliśmy znaleźć.

– Przepraszam, *dottorressa* – wtrącił Vianello. – Czy często się zdarza, że ktoś kolekcjonuje pojedyncze kartki?

– Tak – odpowiedziała.

– Więc ludzie po prostu to robią?! – zapytał Vianello. Zauważył, że dyrektorka nie wie, o czym on mówi. – Chodzi mi o to, że skoro te kartki są wystawiane na aukcji, to jakieś egzemplarze zostały... uszkodzone.

– To częsta praktyka – odparła surowo. – Gdy brakuje jednej kartki, wielu ludzi uznaje, że można równie dobrze zużyć całość i sprzedać pojedyncze kartki, aż nic nie zostanie. Jeśli egzemplarz znajduje się w prywatnych rękach, nikt ich nie może przed tym powstrzymać.

Ciszę, jaka nastąpiła po tych słowach, przerwał w końcu Brunetti.

– Czy poznała go pani?

– Chodzi panu o Nickersona?

– Tak.

– Rozmawialiśmy kilka razy, ale właściwie tylko po to, żeby się przywitać. – Otworzyła znowu teczkę i wyjęła plik kartek. – To jego rewersy – powiedziała. – Nadal je mamy.

Zobaczyła, że Brunetti się zawahał, więc dodała:

– Pańscy ludzie wzięli z nich wszystkich odciski palców, więc można ich dotykać.

Brunetti spojrzał na Vianella, który skinął głową.

Komisarz wręczył mu połowę rewersów i zaczął przyglądać się charakterowi pisma na każdym z nich; Vianello robił to samo. Po niecałej minucie podnieśli głowy znad kartek, a ich spojrzenia się spotkały.

– To Włoch, prawda? – zapytał Vianello.

– Tak podejrzewam – zgodził się Brunetti.

Zadzwoiła jego komórka. Komisarz wyjął ją i spojrzał na numer.

– Przepraszam – powiedział, wstając. Bez dalszych wyjaśnień podszedł do drzwi, wrócił do sali z książkami i zamknął drzwi za sobą.

– Brunetti – powiedział.

– Mówi Dalla Lana, *commissario* – usłyszał jednego z nowych funkcjonariuszy.

– Tak?

– Mamy przypadek zgonu, *signore* – powiedział Dalla Lana, umilkł na chwilę i dodał: – Brutalnego.

– Jeśli masz na myśli morderstwo, możesz to mówić wprost, jasne?

– Tak, proszę pana. Przepraszam, ale to dla mnie pierwszy raz i nie wiedziałem, czy mogę użyć tego słowa.

– Powiedz, co wiadomo – polecił Brunetti.

– Jakieś dziesięć minut temu zadzwonił mężczyzna, żeby powiedzieć, że jest w mieszkaniu swojego brata i ten brat został zabity. Mówił, że jest tam dużo krwi.

– Czy podał nazwisko? – zapytał Brunetti. Zauważył, że Dalla Lana potrzebował dziesięciu minut, żeby do niego zadzwonić. Dziesięciu minut.

– Tak, proszę pana. Enrico Franchini. Mieszka w Padwie.

Brunetti podniósł wzrok i popatrzył na całe rzędy książek, pamiętek z dawnych epok, świadków życia.

– Czy podał ci nazwisko swojego brata? – zapytał bardzo spokojnie.

– Nie, proszę pana. Powiedział tylko, że on nie żyje, a potem zaczął płakać.

– Ten brat mieszkał w Castello? – zapytał Brunetti, chociaż to właściwie nie było pytanie.

– Tak, proszę pana. Znał go pan?

– Nie. – Brunetti przeszedł do spraw praktycznych. – Wysłałeś tam kogoś?

– Starąłem się pana znaleźć. Zadzwoniłem do pana gabinetu, ale pana tam nie było. Nikt nie potrafił mi podać numeru pana *telefonino*, ale w końcu...

– Już go masz – przerwał mu Brunetti. – Zadzwon do Bocchese i powiedz mu, żeby pojechał tam z ekipą. Czy ten mężczyzna, który dzwonił, zostawił swój numer telefonu?

– Nie, proszę pana – powiedział Dalla Lana i dodał znacznie ciszej: –

Zapomniałem go zapytać.

Brunetti uświadomił sobie, że jego palce na telefonie są zupełnie białe. Rozluźnił je.

– Telefon w dyżurce ma listę połączeń. Sprawdź najnowsze, oddzwonź do niego i powiedz mu, że jeśli nadal jest w mieszkaniu, ma z niego wyjść i czekać na policję. Nie musi wychodzić z budynku, ale chcę, żeby opuścił mieszkanie. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

– Skontaktuj się z Foą, telefonicznie albo przez radio, i powiedz mu, że ma przerwać to, co robi, cokolwiek to jest, i podpłynąć do La Punta della Dogana. Spotkam się tam z nim za dziesięć minut.

– A jeśli nie będzie mógł przyplłynąć, proszę pana?

– Będzie mógł. – Brunetti rozłączył się.

Otworzył drzwi i wrócił do gabinetu.

– Przykro mi, ale muszę wracać do komendy, *dottoressa*. – Starał się zachować spokój w głosie. Dyrektorka nie dostrzegła w tym nic niezwykłego, ale Vianello wstał i podszedł do drzwi.

– Dziękuję za poświęcony nam czas – powiedział Brunetti. Nie czekając na jej odpowiedź, odwrócił się, wyszedł z pokoju i ruszył w dół po schodach, składając papiery, które od niej dostał, i wpychając je do kieszeni.

– Co się stało? – zapytał Vianello, idąc o krok za nim.

Brunetti zbiegł na dziedziniec, a potem wyszedł pośpiesznie na ulicę, skręcił w lewo na *riva* i skierował się do Punta della Dogana.

– Franchini nie żyje – powiedział.

Vianello potknął się, ale szybko odzyskał równowagę.

– Jego brat zadzwonił z jego mieszkania i powiedział, że on nie żyje. Widział dużo krwi.

– Co jeszcze mówił?

– Nie rozmawiałem z nim. Zadzwonił do komendy, a oni zadzwonili do mnie. Nie zauważając niczego wokół siebie, szli niemal biegiem.

– Bocchese przyjedzie tam z ekipą. Powiedziałem Dalla Lanie, żeby zadzwonił do tego brata i kazał mu wyjść z mieszkania.

– Dokąd idziemy? – zapytał Vianello, jakby nagle uświadomił sobie, gdzie się kierują. *Riva* urywała się nad wodą; nie było tu żadnej przystani, żadnej możliwości zrobienia czegokolwiek poza zawróceniem do *vaporetto* przy *La Salute* lub wezwaniem przepływającej taksówki.

– Poprosiłem, żeby Foa tu po nas podpłynął – wyjaśnił Brunetti. Minęli kobietę wyprowadzającą dwa psy. Jeden z nich pobiegł za nimi, szczekając głośno, ale z rozbawienia, a nie agresywnie. Brunetti zadał sobie pytanie, skąd to wie.

– *Bassi, smettila* – zawołała kobieta do psa, który zrezygnował z pościgu i zawrócił do niej.

Gdy wyszli na otwarty trójkąt na krańcu wyspy, Brunetti zobaczył łódź policyjną zacumowaną na miejscu.

– Foa – zawołał. Pilot podszedł do burty i wyciągnął rękę. Najpierw Brunetti, a potem Vianello wskoczyli na pokład; Foa ściągnął cumę z pachołka i uruchomił silnik. Odbił od *riva* i skierował się w lewo, żeby zawrócić w stronę *Castello*.

Zostali na pokładzie z pilotem, zupełnie jakby uważali, że widok mijanych budynków przyspieszy podróż. Żaden z nich się nie odzywał, a Foa, wyczuwając ich nastrój, także nic nie mówił. Nie włączył syreny, hałas był dla nowicjuszy. Zamiast tego zapalił niebieskie światło i lawirował w tłoku, aż wypłynęli na kanał przy *Sant'Elena*. Lekko zwolnił, wymijając zacumowane łodzie w jeszcze węższych kanałach *Castello*. Przed nimi duża, płaska barka transportowa wychyliła dziób na kanał, ale Foa zmusił ją do szybkiego cofnięcia się jednym krótkim sygnałem syreny.

Foa zwolnił jeszcze bardziej, gdy wpłynął na *Rio di Sant'Ana* i polecił, by pochylili głowy, gdy przepływał pod mostem. Skręcił w lewo, przepłynął jeszcze kawałek z wyłączonym silnikiem i zatrzymał się za inną policyjną łodzią, przycumowaną po prawej stronie kanału. Nie zdążył nawet podnieść cumy, gdy Brunetti i Vianello wyskoczyli na *riva* i ruszyli przez *campo*.

Zobaczyli na jednej z ławek mężczyznę, który wydawał się nie zauważać nic wokół. Siedział przygarbiony, z szeroko rozstawionymi nogami, wpatrując się w ziemię. W lewej ręce trzymał białą chusteczkę, a gdy podeszli bliżej, otarł nią oczy i wydmuchał nos, a potem znowu spojrzął w ziemię, trzymając ręce na udach. Brunetti widział, że jego ramiona unoszą się i opadają, usłyszał

stłumiony szloch. Mężczyzna po raz kolejny otarł oczy, ale nie podniósł głowy, słysząc ich zbliżające się kroki.

Brunetti usłyszał melodyjny dźwięk, a potem mężczyzna znowu zaszlochał. Dłonie miał zaciśnięte w pięści, zgniatał chusteczkę w palcach. Brunetti podszedł do ławki i zatrzymał się o metr od mężczyzny.

– Signor Franchini – powiedział normalnym głosem. Melodyjny dźwięk był nadal słyszalny, a mężczyzna znowu otarł oczy.

Brunetti przykucnął, by znaleźć się na wysokości jego wzroku.

– Signor Franchini – powtórzył, tym razem trochę głośniej.

Mężczyzna wzdrygnął się gwałtownie, popatrzył na Brunettiego, wyprostował się i wbił w oparcie ławki. Brunetti uniósł rękę z otwartą dłonią.

– Jesteśmy z policji, *signore*. Proszę się nas nie obawiać.

Mężczyzna patrzył na niego w milczeniu. Zbliżał się do sześćdziesiątki, był ubrany w wełniany garnitur, miał elegancko zawiązany krawat, jakby przyszedł tutaj prosto z biura. Rzadkie, siwe włosy opadały mu na wąskie czoło. Oczy miał brązowe, napuchnięte od łez, a nos długi i cienki.

– Signor Franchini? – powtórzył po raz trzeci Brunetti. Kolana zaczęły go boleć, więc pochylił się do przodu i oparł dłoń na ziemi. Podniósł się, starając się to robić powoli, chociaż czuł, jak jego kolana protestują.

– Czy możemy panu jakkolwiek pomóc? – zapytał. Odwrócił się do Vianella, który stanął kilka metrów od nich, i skinął, by podszedł bliżej. Vianello pamiętał, by poruszać się bardzo powoli. Zostawił odstęp wystarczający, by można było przejść pomiędzy nim a zwierchnikiem.

– Kim jesteście? – zapytał mężczyzna. Pociągnął nosem, wydmuchał go i pozwolił, by ręce mu opadły.

– Jestem komisarz Guido Brunetti, a to inspektor Vianello. Dowiedzieliśmy się właśnie o pańskim bracie, dlatego przyjechaliśmy tutaj. – Odwrócił się, żeby wskazać dwie łodzie policyjne, przycumowane jedna za drugą, jakby to poświadczało, że mówi prawdę.

– Widział go pan? – zapytał mężczyzna.

Brunetti potrząsnął głową.

– Nie, dopiero przypłynęliśmy.

– To wygląda okropnie – stwierdził Franchini.

– Jest pan jego bratem? – zapytał Brunetti.

Mężczyzna skinął głową.

– Tak, młodszym bratem.

– Ja mam starszego brata – powiedział Brunetti.

– To nie jest łatwe – zauważył Franchini.

– Nie, nie jest – przyznał Brunetti.

– Nigdy nie są dość ostrożni. – Franchini urwał, zaskoczony tym, co właśnie powiedział, podniósł oburącz chusteczkę i przycisnął ją do oczu. Wydał z siebie pojedynczy, krótki szloch i opuścił ręce.

– Czy pozwoli pan, że usiądę? – zapytał Brunetti. – Moje kolana dłużej tego nie wytrzymają.

– Proszę, proszę – powiedział Franchini i przesunął się w lewo, by zrobić dla niego miejsce.

Brunetti usiadł z westchnieniem ulgi i wyciągnął nogi. Poruszył głową, a Vianello skierował się do budynku. Franchini nie zwrócił na niego uwagi.

– Przyjechał pan z Padwy? – zapytał niezobowiązująco Brunetti.

– Tak. Aldo i ja zawsze rozmawialiśmy we wtorkowe wieczory, więc gdy wczoraj nie odebrał telefonu, uznałem, że będzie lepiej, jeśli przyjadę i sprawdzę, co się stało.

– Dlaczego pan pomyślał, że coś się stało? – zapytał Brunetti, zupełnie jakby prowadził najzwyczajszą rozmowę.

– Ponieważ rozmawialiśmy przez telefon w każdy wtorek, o dziewiątej wieczorem, przez szesnaście lat.

– Rozumiem – powiedział Brunetti i skinął głową, potwierdzając, że Franchini słusznie postanowił przyjechać. Odwrócił się do mężczyzny, jak w normalnej rozmowie, i zobaczył, że chociaż Franchini był chudy, pod jego twarzą wisiał niepasujący do niej drugi podbródek. Miał też duże uszy.

– Przyjechał pan dzisiaj po południu?

– Wcześniej byłem w pracy. Kończymy dopiero o trzeciej.

– O, a co takiego pan robi?

– Jestem nauczycielem łaciny i greki. W Padwie.

– Rozumiem – stwierdził Brunetti. – To były moje ulubione przedmioty.

– Naprawdę? – Franchini odwrócił się do niego, nie potrafiąc ukryć, że sprawiło mu to przyjemność.

– Tak – powiedział Brunetti. – Lubilem tę precyzję, szczególnie w grece. Wszystko było na właściwym miejscu.

– Czy zachował pan kontakt z tymi językami? – zapytał Franchini.

Brunetti ze szczerym żalem potrząsnął głową.

– Obawiam się, że jestem zbyt leniwy. Nadal czytam klasyków, ale po włosku.

– To nie to samo – stwierdził Franchini i dodał szybko, jakby obawiał się, że zrani uczucia ucznia: – Ale to dobrze, że nadal ich pan czyta.

Brunetti odczekał dłuższą chwilę, zanim zapytał:

– Był pan blisko z bratem?

Po jeszcze dłuższej chwili Franchini odpowiedział:

– Tak. – Po kolejnej przerwie dodał: – I nie.

– To tak jak ja i mój brat – zauważył Brunetti, odczekał trochę i zapytał: – W jakim sensie byliście blisko?

– Studiowaliśmy tę samą dyscyplinę – powiedział Franchini, odwracając głowę, by patrzeć prosto na Brunettiego. – Jednak on wołał łacinę.

– A pan grekę?

Franchini wzruszył ramionami na potwierdzenie.

– Coś jeszcze?

Widział, jak Franchini zaczyna składać chusteczkę w równy kwadrat, jakby zwyczajność ich rozmowy stłumiła potrzebę łez.

– Byliśmy wychowywani jako wierzący. Nasi rodzice byli bardzo religijni.

Brunetti, którego ojciec był zaciekle ateistą, skinął głową, jakby dzielił doświadczenie rozmówcy.

– Aldo był tym bardziej zainteresowany niż ja. – Franchini odwrócił spojrzenie. – Poszedł za swoim powołaniem i został duchownym. – Nadal składał chusteczkę, która miała teraz rozmiary paczki papierosów. – Potem jednak je stracił. Powiedział mi kiedyś, że obudził się pewnego dnia, a ono zniknęło, jakby odłożył je gdzieś przed pójściem spać i nie mógł znaleźć po

przebudzeniu.

– Co wtedy zrobił? – zapytał Brunetti.

– Zostawił to. Przestał być duchownym, więc wyrzucili go z posady nauczyciela. Nie mogli tego zrobić, przynajmniej zgodnie z prawem, ale załatwili to tak, żeby wyglądało, jakby przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

– Jak w takim razie tutaj żył? – zapytał Brunetti. Wiedział, że Franchini rozumie, iż pyta o pieniądze.

– Mieszkanie należało do naszych rodziców, którzy nam je zostawili. Dlatego przeprowadził się tutaj, a ja zostałem w Padwie.

– Czy ma pan tam rodzinę? – zapytał Brunetti.

– Tak – odparł Franchini, ale nie rozwinął tematu.

– Dzwonił pan do niego w każdy wtorek?

Franchini skinął głową.

– Aldo zmienił się, gdy stracił pracę; zupełnie jakby stracił wszystko, co dla niego ważne. Z wyjątkiem łaciny. Spędzał czas na czytaniu.

– Po łacinie?

– Pomogłem mu znaleźć miejsce, w którym mógł czytać. Powiedział, że chciałby przeczytać dzieła Ojców Kościoła – wyjaśnił Franchini.

– Aby na nowo odnaleźć wiarę? – zapytał Brunetti.

Usłyszał, że materiał marynarki Franchiniego trze o oparcie ławki, gdy mężczyzna wzruszył ramionami.

– Tego mi nie powiedział. – Potem, zanim Brunetti zdążył zapytać, dodał: – A ja nigdy nie zapytałem.

– Czyli spędzał czas na czytaniu Ojców Kościoła – powiedział Brunetti na pół twierdząco, na pół pytająco.

– Tak – odparł Franchini. – A teraz stało się coś takiego – dodał, unosząc wolną dłoń, by machnąć nią w stronę budynku za nimi.

W tym właśnie budynku, jakby w odpowiedzi na machnięcie dłonią Franchiniego, otwarło się okno, a głos z góry zawołał:

– *Commissario!*

Brunetti wstał i odwrócił się w stronę źródła dochodzącego głosu, rozzłoszczony tym, że jego spokojna konwersacja z Franchinim została tak gwałtownie przerwana. W oknie stał policjant, wychylał się i machał, jakby przypuszczał, że Brunetti nie wie, że są w mieszkaniu. Komisarz uniósł rękę i machnął nią kuliście, z nadzieją, że to będzie czytelny gest: „już idę”.

Gdy znowu spojrzął na Franchiniego, zobaczył, że ten pochylił się do przodu i wpatruje się w chodnik ze złożonymi rękami i przedramionami opartymi na udach. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na Brunettiego, który wyjął komórkę i wybrał numer Vianella.

– Możesz przysłać kogoś na dół, żeby został z signorem Franchinim? – powiedział, gdy tylko inspektor odebrał telefon, i rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Po kilku minutach Brunetti z ulgą zobaczył Pucettiego, wyłaniającego się z budynku.

Gdy Pucetti podszedł do ławki, Brunetti pochylił się do Franchiniego.

– *Signore*, funkcjonariusz Pucetti zostanie tutaj z panem do mojego powrotu.
– Policjant lekko skinął głową. Franchini podniósł spojrzenie na Brunettiego, a potem znowu spuścił wzrok. Brunetti poklepał Pucettiego po ramieniu, ale nic nie powiedział.

Policjant, którego znał, nazywał się chyba Staffelli, stał w korytarzu przy otwartych drzwiach na trzecim piętrze budynku. Zasalutował Brunettiemu, a potem zacisnął wargi i uniósł brwi w sposób, który mógł oznaczać wszystko, od zdumienia ludzkim zachowaniem po akceptację sposobu działania świata. Brunetti uniósł dłoń w odpowiedzi na jego salut oraz niesprecyzowaną wiadomość, jaką starał się przekazać. Nie widział ani śladu Vianella.

W mieszkaniu zobaczył Bocchese, szefa zespołu techników, ubranego w biały fartuch ochronny i ochraniacze na buty, stojącego w otwartych drzwiach i zaglądnącego do pokoju, w którym co chwila błyskało światło flesza.

– Bocchese – odezwał się Brunetti.

Technik odwrócił się i spojrzał na niego, uniósł dłoń w geście powitania, a potem odwrócił się w momencie, gdy rozpoczęła się kolejna szybka seria błysków flesza. Brunetti zrobił kilka kroków, ale zatrzymało go syknięcie Bocchese. Technik sięgnął do kieszeni i wyjął dwie przezroczyste plastikowe koperty.

– Włóż to – powiedział.

Brunetti, znający jego zasady, wycofał się na klatkę schodową. Z dłonią na poręczy wsunął papierowe ochraniacze na buty, a następnie włożył gumowe rękawiczki. Oddał puste koperty Staffellemu i wrócił do mieszkania.

Bocchese nie stał już w drzwiach, więc Brunetti zajął jego miejsce. Z różnych punktów mieszkania dobiegały głosy; jeden z nich należał chyba do Vianella. Dwóch ubranych na biało techników przesuwało sprzęt fotograficzny na drugą stronę pokoju, dalej od leżącego pod ścianą ciała mężczyzny.

A więc to jest Tertulian – pomyślał Brunetti, spoglądając na zaskakująco drobną, leżącą bezwładnie sylwetkę. Gdyby wokół nie było tyle krwi, można by pomyśleć, że to pijak, który przewrócił się we własnym domu, gdy próbował znaleźć drogę do łóżka, lub stracił równowagę i padł na podłogę, opierając się głową i ramieniem o ścianę. To byłby jeden z możliwych scenariuszy, gdyby nie alternatywne wyjaśnienie widoczne na ścianie. Trzy krwawe odciski prawej dłoni znajdowały się jeden nad drugim, jakby mężczyzna próbował się podeprzeć i wstać, ale o daremności tych wysiłków świadczyła czerwona smuga ześlizgującej się dłoni, sięgająca do podłogi, jak pociągnięcie czerwonego pędzla na obrazie Shiragi.

Martwy mężczyzna leżał oparty barkiem o ścianę, z rozłożonymi szeroko rękami, głową przechyloną pod nienaturalnym kątem i kolanem zgiętym pod drugą nogą. Gdyby tliło się w nim życie, każdy, kto by go zobaczył, zareagowałby instynktownie i odsunąłby go od ściany, by poprawić ułożenie głowy i wyprostować uwięzione kolano. Jednak sekunda refleksji wystarczyłaby największemu optymizmowi, by stwierdzić, że ta nieruchoma, skarlała istota była całkowicie pozbawiona życia.

Brunetti obserwował to więcej razy, niż chciałby sobie przypominać. Wydawało się, że dusza ulatująca z ciała zabiera ze sobą masę i substancję, zostawiając byt mniejszy od tego, który zamieszkiwała. Ten mężczyzna był kiedyś młody, był księdzem, człowiekiem religijnym, czytelnikiem, a teraz stał się wykręconym kształtem z poznaczoną smugami krwi twarzą i marynarką skłębioną na ramionach. Nad lewym butem widać było ciemnoszarą skarpetkę, a jeszcze wyżej białą skórę starego człowieka.

Dwie zaschnięte kałuże krwi widniały na parkiecie o metr od ciała. Jedna z nich została rozdeptana i biegły od niej prosto w stronę drzwi trzy krwawe odciski tylko prawego buta. Czwartego nie było.

Błysnął flesz i Brunetti uchylił się, instynktownie unosząc dłoń w geście zaskoczenia. Odwrócił się do dwóch techników.

– Kto przyjedzie?

– Chyba Rizzardi – odparł wyższy z nich, ale nie wyjaśnił, dlaczego nie ma pewności.

– Kiedy tu weszliście? – zapytał Brunetti.

Mężczyzna podciągnął rękaw ochronnego fartucha końcem palca w gumowej rękawiczce.

– Jakież dwadzieścia minut temu.

– Co jeszcze znaleźliście?

– Był w drugim pokoju – wtrącił się drugi technik i przesunął statyw z aparatem fotograficznym kawałek w lewo.

– Dlaczego tak myślicie?

Technik zrobił kilka zdjęć. Brunetti, przyzwyczajony już do flesza, nie próbował zasłaniać oczu. Mężczyzna przesunął aparat jeszcze dalej.

– Proszę tam zajrzeć, *commissario*. – Wskazał drzwi po swojej lewej stronie.
– Zrozumie pan, o czym mówię.

Brunetti podszedł do drzwi i zajrzał do pokoju, ciekaw, jaką historię zdoła z niego wyczytać. W rogu stał fotel pokryty ciemnozielonym sztruksem, a obok niego lampa do czytania z mlecznym szklanym kloszem. Koło fotela znajdował się okrągły stół z mniejszą lampą. Obie były zapalone, a przy tej na stole leżała grzbietem do góry otwarta książka, jakby ktoś na chwilę przerwał czytanie i

odłożył książkę, by odebrać telefon lub otworzyć drzwi. Za fotelem stał masywny regał z książkami, którego wszystkie półki były wypełnione.

Dzięki akustyce mieszkania Brunetti usłyszał głosy mężczyzn, w których rozpoznał teraz Vianella i Bocchese.

– Zbieracie odciski ze wszystkich pokojów? – zapytał Vianello.

– Oczywiście – odparł Bocchese, ale potem musieli się pewnie przemieścić, ponieważ ich głosy stały się stłumione i niezrozumiałe.

Brunetti odwrócił się w stronę pierwszego pokoju i zobaczył w drzwiach doktora Rizzardiego, patologa. Przywitali się po cichu. Wysoki, szczupły, z włosami bielszymi, niż kiedy Brunetti widział go ostatnim razem, Rizzardi spojrzał na komisarza, ale nie potrafił oderwać na dłużej uwagi od popsutego opakowania, które kiedyś zawierało życie Franchiniego.

Rizzardi miał już ochraniacze na butach i wkładał właśnie drugą rękawiczkę na lewą rękę. Podszedł do ciała i stał nad nim przez chwilę, a Brunetti zastanawiał się, czy odmawia modlitwę, życząc duszy mężczyzny bezpiecznej podróży do lepszego świata. Przypomniawszy sobie, że Rizzardi powiedział mu kiedyś, iż nie wierzy w lepszy świat, nie po tym, co zobaczył tutaj.

Patolog przykląkł na jedno kolano, pochylił się nad martwym mężczyzną, wyciągnął rękę i ujął go za nadgarstek. Obowiązkowo aż do przesady, sprawdzał puls. Brunetti na moment odwrócił wzrok, a gdy znowu spojrzał na lekarza, ten przysunął się już bliżej ciała i opuszczał ramię Franchiniego na podłogę, gdzie spoczęło bezwładnie. Spróbował wyprostować zgięte kolano, ale nie zdołał tego zrobić.

Rizzardi, nadal przykucnięty, przesunął się do głowy mężczyzny. Znowu przykląkł, obejrzał potylicę i przechylił głowę zmarłego, by lepiej się przyjrzeć. Potem wstał i podszedł do Brunettiego.

– Co tu się stało? – zapytał Brunetti.

– Ktoś go kopnął. Ktoś w ciężkich butach.

– W głowę? – zapytał Brunetti.

– Tak, to go zabiło. Ale także w twarz. Prawy policzek ma przecięty prawie na całej długości i wybite co najmniej cztery zęby. Ale to ten cios w tył głowy był śmiertelny. – Odwrócił się i machnął ręką w stronę miejsca zbrodni. – Próbował wstać, Bóg jeden wie jak, ale nie mógł. Lub też ten drugi popchnął go

na ziemię.

– Ale to był przecież stary człowiek – zaprotestował Brunetti.

– Starzy ludzie to lepsze ofiary – oznajmił Rizzardi i zdjął rękawiczki. Złożył je starannie i równo, a potem włożył do plastikowej torebki, w której były wcześniej, i schował je do kieszeni. – Są słabi i nie mogą się bronić.

– Można by pomyśleć, że będą szanowani – powiedział Brunetti. – Że ludzie będą... inni.

Rizzardi popatrzył na Brunettiego.

– Wiesz, Guido, czasem trudno mi uwierzyć, że pracujesz w tym zawodzie.

Brunetti od lat obserwował respekt, niemalże szacunek, z jakim Rizzardi traktował zmarłych, do których był wzywany, więc nic nie powiedział.

– Trudno powiedzieć, ile razy został kopnięty – stwierdził Rizzardi. – Będę to sprawdzać... później.

– Tym, którzy ranią, przyjemność sprawia twoje cierpienie. – Brunetti uświadomił sobie, że mówi te słowa na głos.

– Słucham? – zapytał Rizzardi.

– To coś, co napisał Tertulian – wyjaśnił.

– Tertulian?

– Teolog.

Rizzardi westchnął, starając się, by zabrzmiało to, jakby był pełen cierpliwości.

– Wiem, kim był Tertulian, Guido, ale nie wiem, dlaczego go cytujesz akurat teraz.

– Tak go nazywano. – Brunetti skinął głową w stronę martwego mężczyzny.

– Znałeś go?

– Wiedziałem o jego istnieniu – odparł Brunetti.

– Aha – stwierdził tylko Rizzardi.

– Spędzał całe dni, czytając Ojców Kościoła w Bibliotece Merula.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że mieli ich pisma po łacinie. I że było to miejsce, gdzie można pójść.

– Podobnie jak kina i restauracje – zauważył Rizzardi.

– Był dawniej duchownym – wyjaśnił Brunetti. – Być może czuł się bardziej komfortowo, czytając, niż idąc na *Bambiego*.

– Ludzie nadal chodzą na *Bambiego*? – zapytał Rizzardi.

– Nie mówiłem dosłownie, Ettore. To był pierwszy film, jaki mi przyszedł do głowy.

– Ach.

Brunetti pomyślał, że to koniec rozmowy. Milczenie przeciągało się, i właśnie gdy uznał, że najwyższy czas wracać i porozmawiać z bratem Franchiniego, Rizzardi powiedział:

– A teraz nie żyje.

Powiedziawszy to, patolog poklepał się po kieszeniach, skinął głową Brunettiemu i wyszedł z pokoju.

Brunetti powiedział Vianellowi, by zaczekał na łódź, która przypłynie zabrać ciało, zszedł na dół i przeciął na skos *campo*. Gdy zbliżył się do dwóch mężczyzn na ławce, zobaczył głowę Pucettiego tuż obok głowy Franchiniego. Gdy tamci odwrócili się do siebie, zatrzymał się, by ich poobserwować. Ramiona Pucettiego poruszały się lekko jednocześnie z dłońmi, gdy gestykulował, mówiąc coś do starszego mężczyzny. Franchini skinął głową, jego ramiona uniosły się, splótł ręce na piersiach. Pucetti wskazał jeden z budynków po drugiej stronie *campo*, a Franchini znowu skinął głową.

Brunetti podszedł jeszcze bliżej i usłyszał głos Pucettiego:

– Od siódmego do jedenastego roku życia.

Nie usłyszał odpowiedzi Franchiniego.

– Do Santa Croce, przy San Basilio. Mieszkanie było większe, a nas tymczasem zrobiła się trójka dzieciaków. – Pucetti umilkł na dłuższą chwilę. – Dostałem wtedy własny pokój, po raz pierwszy.

Franchini powiedział coś jeszcze, czego Brunetti także nie dosłyszał.

– Mam dwie siostry, więc musiały mieszkać razem. Żałowałem, że nie mam brata. – Przypomnił sobie, z kim rozmawia. – Przepraszam, *signore*, ja...

Brunetti patrzył, jak Franchini odwraca się, by lekko poklepać Pucettiego po kolanie, ale znowu nie usłyszał jego słów. Zobaczył, że kark Pucettiego poczerwieniał i poczuł ulgę, widząc, że młody mężczyzna jest nadal zdolny się wstydzić. Przeszedł na lewo i zbliżył się do nich z boku.

Pucetti zerwał się i zaszalutował; Franchini spojrzał, jakby go nie poznawał.

Brunetti powiedział młodszemu policjantowi, że może wracać na górę, i zajął miejsce koło Franchiniego.

Pozwolił, by minęła minuta, nim Franchini zapytał:

– Widział go pan?

– Tak, *signore*. Przykro mi, że coś takiego mu się przytrafiło. I panu.

Franchini skinął głową, jakby słowa wymagały zbyt wiele wysiłku.

– Powiedział pan, że byliście blisko.

Franchini odchylił się do tyłu, splótł ramiona, ale chyba stwierdził, że to niewygodna pozycja, bo pochylił się znowu i wrócił do studiowania chodnika pod stopami.

– Tak powiedziałem.

– Powiedział pan, że studiowaliście to samo i w młodości byliście bardzo wierzący – przypomniał Brunetti. – Czy byliście na tyle blisko, by opowiadać sobie o swoim życiu?

Po pewnym czasie Franchini odpowiedział:

– Nie ma dużo do opowiadania. Jestem żonaty, ale nie mamy dzieci. Moja żona jest lekarzem. Pediatrą. Ja nadal uczę, ale nie zostało mi już dużo czasu.

– Z powodu pana wieku?

– Nie, to dlatego, że uczniowie nie są już zainteresowani greką ani łaciną. Chcą się uczyć o komputerach. – Zanim Brunetti zdążył się odezwać, Franchini zaczął mówić dalej. – Tym właśnie się interesują na tym świecie. Po co komu greka i łacina?

– Dyscyplinują umysł – stwierdził Brunetti, jakby wypowiadał wyuczoną formułkę.

– To bzdura – odparł Franchini. – Pokazują uporządkowaną strukturę, ale to nie to samo, co dyscyplinowanie umysłu.

Brunetti musiał mu przyznać rację; skoro już o tym mowa, nie rozumiał też, po co w ogóle należałoby dyscyplinować umysł.

– Czy pana brat się ożenił? – zapytał.

Franchini potrząsnął głową.

– Nie, gdy opuścił stan duchowny, było już na to za późno.

Brunetti postanowił nie dociekać przyczyn takiego osądu. Zamiast tego zapytał:

– Czy emerytura pozwalała mu na wygodne życie?

– Tak – odparł Franchini. – Miał niewiele wydatków. Mówiłem panu: dom należy do nas, więc mógł tu mieszkać. Wystarczyło, że płacił za gaz i światło. – Skinął głową kilka razy, jakby próbował przekonać chodnik, że jego brat żył

wygodnie.

– Rozumiem – powiedział Brunetti. – Nie wie pan, czy miał tutaj przyjaciół?
– Gdy zauważył, że mężczyzna zacisnął dłonie, dodał: – Przykro mi, że zadaję panu te pytania, ale muszę się dowiedzieć o nim wszystkiego, co się da.

– Czy to go sprowadzi z powrotem? – zapytał Franchini, jak wiele osób przed nim w podobnych okolicznościach.

– Nie. Obawiam się, że nic tego nie sprawi. Obaj to wiemy. Jednak nie można pozwalać, by działy się takie rzeczy...

– Już się stały – przerwał mu Franchini.

Niewzywana łacina pojawiła się w myślach Brunettiego.

– *Nihil non ratione tractari intellegique voluit.*

Słowa spłynęły po Franchinim, który przesunął się w bok i odwrócił, by spojrzeć na Brunettiego.

– Nie ma niczego, czego Bóg nie chciałby, żebyśmy zrozumieli i zbadali rozumem. – Nie zdołał ukryć zaskoczenia. – Skąd pan to wie?

– Nauczyłem się tego w szkole, wiele lat temu, i najwyraźniej zostało mi w pamięci.

– Uważa pan, że to prawda?

Brunetti potrząsnął głową.

– Zbyt wielu ludzi mówi nam, czego Bóg chce lub czego się domaga. Ja nie mam pojęcia.

– Ale zacytował pan te słowa. Uważa pan, że powinniśmy nadal być posłuszni naukom Tertuliana?

– Nie wiem, czemu to powiedziałem, signor Franchini. Przykro mi, jeśli poczuł się pan tym dotknięty.

Twarz mężczyzny złagodniała w uśmiechu.

– Nie, to mnie tylko zaskoczyło, nie uraziło. Aldo wiecznie to robił, cytował nie tylko Tertuliana, ale także Cypriana i Ambrożego. Miał cytaty na każdą okazję – zakończył i znowu musiał wytrzeć oczy.

– *Signore* – zaczął Brunetti. – Myślę, że słuszną rzeczą jest znaleźć człowieka, który zabił pańskiego brata. Nie z powodu Boga. Takie rzeczy są złe i powinny zostać ukarane.

- Dlaczego? – zapytał po prostu Franchini.
- Dlatego.
- To nie jest powód.
- Dla mnie jest – odparł Brunetti.

Franchini przyglądał się twarzy Brunettiego, a potem odchylił się i rozpostarł ramiona na oparciu ławki. Wyglądał, jakby był tak zrelaksowany i swobodny, jak ktoś, kto nie ma do roboty nic lepszego od wygrzewania się na słońcu.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie o swoim bracie, *signore* – odezwał się Brunetti.

Franchini odchylił głowę do tyłu i wystawił twarz do słońca. Po długiej chwili powiedział:

- Mój brat był złodziejem i szantażystą. Był także kłamcą i oszustem.

Brunetti patrzył na łódź policyjną, gdzie na pokładzie stał Foa, pochylony nad różowymi stronami „La Gazetta dello Sport”. Pomyślał o czymś, co często powtarzała Paola, twierdząc, iż są to słowa Hamleta o jego matce, że „można nosić na ustach uśmiech i być łotrem”.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej – poprosił.

– Tak naprawdę nie ma wiele do opowiadania. Aldo zawsze twierdził, że zmieniła go utrata wiary, ale to także było kłamstwo. Nigdy nie wierzył w nic poza własnym sprytem, nigdy nie miał powołania; uznał zostanie księdzem za drogę do sukcesu. Ale to się nie sprawdziło i ostatecznie skończył, ucząc łaciny nastoletnich chłopców w szkole z internatem, a nie jako biskup, którego słuchają rzesze ludzi.

- Czy tego właśnie chciał?

Franchini spuścił głowę i odwrócił się, by spojrzeć na Brunettiego.

– Nigdy go o to nie pytałem. Nie wydaje mi się, żeby tak naprawdę sam to wiedział. Uważał, że bycie księdzem pozwoli mu się wybić w świecie, dlatego chciał się tym zajmować.

Brunetti nie miał pojęcia, na czym polega wybić się w świecie, i nie potrafił o to zapytać. Być może sama myśl o odpowiedzi, jaką mógł usłyszeć, przerażała go, szczególnie po tym, co Franchini powiedział o swoim bracie. Uświadomił sobie, że jego pytanie nie ma żadnego celu poza zachęceniem Franchiniego, by

mówił dalej, podczas gdy on przyzwyczajając się do nowej wizji martwego mężczyzny. Aldo Franchini nie był już gorliwym poszukiwaczem prawdy religijnej, ale kłamcą, złodziejem, oszustem i szantażystą. Nic dziwnego, że nie powiedział bibliotekarzom o zachowaniu Nickersona.

Brunetti pomyślał o drobnej sylwetce mężczyzny opartego o ścianę w pokoju na górze i z ulgą stwierdził, że nadal ogarnia go poczucie straty i oburzenia na myśl o tym, że Tertulian musiał cierpieć i umrzeć, niezależnie od tego, co właśnie powiedział jego brat.

Był księdzem uczącym w szkole męskiej i był szantażystą.

– Czy to, co właśnie mi pan powiedział o jego charakterze, miało jakiś związek z tym, dlaczego opuścił szkołę, w której był nauczycielem?

Franchini nie potrafił ukryć zaskoczenia. Brunetti obserwował, jak rozważał ścieżkę słów, która mogła zaprowadzić Brunettiego do tego pytania.

– Tak. – Potem, po chwili, dodał: – To oczywiste wyjaśnienie, prawda?

– Czy powiedział o tym panu?

– Nie, oczywiście że nie. Nigdy nie mówił mi prawdy w żadnej sprawie.

– Jak w takim razie się pan o tym dowiedział?

– Och, żyjemy w bardzo małym świecie, jeśli mowa o osobach uczących tego przedmiotu co my. Znałem człowieka, który go zastąpił, to nie był zresztą ksiądz, i on mi powiedział, co się wydarzyło.

– Co to takiego było?

– Aldo szantażował dwóch księży.

– Ach. – Brunetti westchnął. – Jak to się skończyło?

– Jeden z chłopców powiedział w końcu o księżach rodzicom, a oni zawiadomili policję. – Franchini urwał, jakby przypominał sobie odkrycie tych wydarzeń. Brunetti poszukał w pamięci takiego przypadku z ostatnich lat w Vicenzie, jednak nie przypominał sobie niczego, ale dość często się zdarzało, że aresztowanie księdza nie zostawało podane do wiadomości publicznej.

– Obaj zostali aresztowani, ci księża, i wtedy właśnie powiedzieli swojemu przełożonemu o szantażu.

– Czy on powiedział o tym policji? – zapytał Brunetti.

– Nie wydaje mi się. Alda nie spotkały żadne przykrości. – Franchini

popatrzył znowu na chodnik i stopą odsunął niedopałek papierosa. – Wie pan, to bardzo dziwne. Przez pewien czas pocieszałem się myślą, że tylko ich szantażował, a to znaczy, że sam nie zrobił niczego chłopcom. – Podniósł głowę i uśmiechnął się ponuro do Brunettiego, a potem znowu opuścił spojrzenie. – Ale to oznaczało, że moim zdaniem w porządku jest być szantażystą. – Pozwolił się im obu nad tym zastanowić przez chwilę, zanim dodał: – Jako dziecko byłem z niego niezwykle dumny.

– Stracił pracę – powiedział Brunetti, gdy Franchini milczał przez dłuższą chwilę.

– Tak.

– Co się stało z tymi dwoma księżmi?

– Znajomy powiedział mi, że zostali na miesiąc odesłani w odosobnienie.

– A potem?

– Jak przypuszczam, przeniesieni do innych szkół.

– Czy pana brat robił coś podobnego innym ludziom?

Franchini potrząsnął głową.

– Nie wiem. Ale zawsze dobrze mu się powodziło i jeździł na kosztowne urlopy.

– Jako ksiądz?

– Miał bardzo dużo swobody, szczególnie gdy pracował w szkole. Był tam przez piętnaście lat. Mówił, że daje korepetycje. – Spojrzał na Brunettiego i zorientował się, że komisarz go nie rozumie. – Żeby wyjaśnić, skąd ma pieniądze.

– Ach – odparł Brunetti.

Jakby tracąc cierpliwość, ponieważ Brunetti nie potrafił zadać właściwego pytania, Franchini powiedział:

– Jeden z tych księży był dyrektorem szkoły.

Tym razem to Brunetti skinął głową.

– Wie pan może, czy robił coś podobnego?

– Nic nie wiem o innych szantażach. Ale kradł różne rzeczy.

– Na przykład?

– Różne rzeczy z domu naszych rodziców.

– Jakie?

– Mieliśmy cztery piękne obrazy, należące do naszej rodziny od pokoleń. Były w tym mieszkaniu, gdy zmarli moi rodzice i wprowadził się Aldo. Teraz ich nie ma.

Zanim Brunetti zdążył zapytać, Franchini wyjaśnił:

– Nie, nie zauważyłem ich braku dzisiaj. Zorientowałem się kilka lat temu.

– Jak dawno?

– Dwa lata temu. Mieszkał już w tym domu od roku. Wszystkie zniknęły.

– Czy pan go o nie pytał?

Franchini westchnął i wzruszył ramionami.

– Co by to dało? Tylko by kłamał. Poza tym nie mam nikogo, komu mógłbym je zostawić. To tylko kolejne rzeczy, o które trzeba by się martwić. – Dodał lżejszym tonem: – Jeśli te pieniądze go uszczęśliwiły, to cieszę się z tego.

Brunetti wierzył mu.

– A kłamstwa? – zapytał.

– Całego jego życie było kłamstwem – oznajmił ze znużeniem Franchini. – Wszystko udawał: udawał, że chce być księdzem, że jest dobrym synem, dobrym bratem. – Nastąpiła długa cisza, której Brunetti nie chciał przerywać.

– Jediną prawdziwą rzeczą w jego życiu była łacina. Naprawdę ją kochał i kochał to, co było w niej napisane.

– Czy był dobrym nauczycielem?

– Tak. To była jedna z rzeczy, które robił z prawdziwym zamiłowaniem. Potrafił zainspirować chłopców na lekcjach, sprawić, że widzieli sztywną przejrzystość tego języka, głęboki sens, w jaki łączył słowa, koncepcje.

– Czy powiedział to panu?

Franchini zamyślił się.

– Nie, on mnie uczył. Był już studentem, gdy ja zaczynałem *liceo* i pomagał mi przez pierwsze lata, pokazał, jak doskonale są oba te języki. – Umilkł na chwilę, by się nad tym zastanowić. – Pokazał mi pasję do języka. – Dodał mocniejszym głosem: – Spotkałem kilku spośród jego byłych uczniów i wszyscy mówili, że lekcje z Aldem były fascynujące i że nauczyli się od niego więcej niż od pozostałych nauczycieli. Uczył nas miłości do języków, a my

kochaliśmy go za to.

Użycie przez Franchiniego tego słowa zaniepokoiło Brunettiego.

– Czy istnieje możliwość, że pański brat mógł... to znaczy, z chłopcami?

– O nie, Aldo kochał kobiety. Miał kochanki w całej Wenecji Euganejskiej. Powiedział mi kiedyś, gdy wypił naprawdę dużo, że zarabia na nich mnóstwo pieniędzy. Prosi je, by przekazywały darowizny na Kościół.

– Wiedziały, że jest księdzem?

– Niektóre, nie wszystkie.

– Rozumiem – stwierdził Brunetti. – Wiedział pan o tym wszystkim?

– Miałem wiele czasu, by się dowiedzieć. Całe moje życie – powiedział Franchini i po raz pierwszy w jego głosie Brunetti usłyszał zawód.

– No tak – zgodził się. – Ale jak pan się tego o nim dowiedział?

– Od wspólnych przyjaciół – wyjaśnił Franchini. – Albo może raczej od moich przyjaciół, którzy go poznali. – Znowu odchylił się do tyłu i wyciągnął nogi. – Czasem też sam się przechwalał – dodał niespokojnym głosem. – Byłem jedyną osobą, której mógł się chwalić: tymi kobietami, pieniędzmi i tym, że jest bardziej przebiegły od każdego, kogo spotyka.

– Kiedy to robił?

– Zazwyczaj kiedy się widywaliśmy, ale w końcu nie mogłem już tego wytrzymać, szczególnie po tym, jak zniknęły obrazy, więc przestałem tu przyjeżdżać, żeby go odwiedzać. – Franchini popatrzył na budynki po drugiej stronie kanału. – Dorastaliśmy tutaj. To był nasz dom.

Rozłożył chusteczkę, otarł nią twarz jak ręcznikiem i schował z powrotem do kieszeni spodni.

– W ostatnich kilku latach zostały nam tylko rozmowy telefoniczne. Z jakichś powodów nie mogłem przestać do niego dzwonić. Może wydawało mi się, że w końcu zacznie słuchać tego, co sam mówi, i zrozumie, jak to brzmi. Ale tak się nie stało. Wydaje mi się, że naprawdę uwierzył, iż jest dość sprytny, by przechytryć wszystkich. – Przyjrzał się domom nad kanałem i machnął ręką w ich stronę. – Ten młody policjant mówił, że mieszkał tutaj jako dziecko. – Dodał przytomnym głosem: – To nadal dobra dzielnica.

Usiadł prosto i w geście mającym sygnalizować aktywność klepnął dłońmi

w uda.

– Co mam teraz zrobić?

– Obawiam się, że musi go pan zidentyfikować – powiedział Brunetti.

Franchini popatrzył na niego z wyraźnym przerażeniem.

– Chyba nie zdołałbym znowu na niego spojrzeć. – Łzy napłynęły mu do oczu, ale tego nie zauważył.

– Oficjalnie, signor Franchini. Przykro mi, ale takie jest prawo. Musi pan dokonać identyfikacji zgodnie z zasadami.

Franchini przesunął się w tył na ławce i potrząsnął głową.

– Nie wydaje mi się, żebym mógł to zrobić. Naprawdę.

Łzy na jego twarzy sprawiły, że Brunetti powiedział:

– Wystarczy, jeśli spotka się pan z doktorem Rizzardim w szpitalu i podpisze pan tam papiery. Porozmawiam z doktorem, nie będzie pan go musiał znowu oglądać. – Komisarzowi przyszedł do głowy jeszcze jeden pomysł. – Powinien pan to zrobić jutro albo pojutrze. Jeśli nam pan powie, o której przyjeżdża pociąg z Padwy, Pucetti, czyli ten młody człowiek, z którym pan rozmawiał, przyplynie po pana łodzią na stację. – Nie potrafił powiedzieć, że doktor Rizzardi urzęduje w kostnicy, więc dodał: – Zabierze pana do gabinetu doktora.

Twarcz Franchiniego wygładziła się.

– Czy mogę już iść? – zapytał, jakby zaskoczony, że nie zadał tego pytania wcześniej. Podniósł się z ławki.

– Tak – odparł Brunetti. Wstał i wziął starszego mężczyznę pod ramię. – Łódź odwiezie pana na stację, *signore*.

Franchini zawahał się i nie zrobił ani kroku w stronę łodzi.

– Dzień jest piękny, mogę się przejść.

– To prawda, pogoda jest ładna, ale do stacji spory kawałek i myślę, że będzie panu wygodniej na łodzi. – Brunetti puścił jego ramię i odwrócił się, by machnąć ręką w stronę Foi.

– To bardzo miło z pana strony – powiedział Franchini.

Brunetti nie znalazł na to odpowiedzi.

– Chciałbym pana o coś poprosić – powiedział w końcu.

– Słucham?

– Chciałbym, żeby przypomniał pan sobie rozmowy z bratem z ostatnich kilku miesięcy.

– Robię to od dwóch godzin, *signore* – stwierdził Franchini i dodał: – Przepraszam, zapomniałem, jaki ma pan stopień.

– *Commissario*.

– *Commissario* – powtórzył Franchini.

– Czy jakoś się zmienił?

Franchini zrobił pół kroku w stronę łodzi, a Brunetti, w obawie, że za bardzo zaczął naciskać, ruszył za nim. Franchini przystanął, zrobił jeszcze krok, znowu przystanął i popatrzył na Brunettiego.

– Wydawał się czymś podekscytowany. Nie wiem czym. Nie pytałem, a Aldo mi nie powiedział. Ale był podekscytowany. Wiem, że chciał mi o tym opowiedzieć, ale nie mogłem tego słuchać.

– Czy coś podobnego miało miejsce w przeszłości? – zapytał Brunetti.

Franchini skinął głową.

– Czasem zachowywał się jak myśliwy. Ekscytowało go, gdy znajdował coś lub kogoś nowego. Obserwowałem to i słuchałem o tym w przeszłości i nie mogłem dłużej tego wytrzymać. Dlatego przerywałem mu, gdy pytał, czy chce wiedzieć, co robi. Pytałem tylko, co u niego i co aktualnie czyta. Tylko o tym chciałem z nim rozmawiać.

– Rozumiem – stwierdził Brunetti, zastanawiając się, czy może skłonić Franchiniego, by odsłonił coś więcej: uczucia, wrażenia, niewyartykułowany sens tego, co chciał powiedzieć jego brat.

– Raz, jakieś pół roku temu, powiedział mi, że siedział i czekał od lat, aż wreszcie spotkał kogoś, kto może polować razem z nim. – Urwał i dodał, zaskoczony swoją pamięcią: – „W kurniku”. Dokładnie tak powiedział.

– Co miał na myśli? – zapytał Brunetti, chociaż przypuszczał, że zna odpowiedź.

– Nie wiem. Nie pytałem. Nie chciałem wiedzieć. – Z każdym krótkim zdaniem głos Franchiniego stawał się donośniejszy.

Znowu ruszył w stronę łodzi.

– Chyba skorzystam z pańskiej propozycji, *commissario* – powiedział.

Gdy Brunetti wrócił do mieszkania Franchiniego, zastał tuż za drzwiami dwóch techników kryminalistyki, zajętych zamykaniem kaset ze sprzętem. Wciąż mieli na sobie fartuchy ochronne, które zdejmą dopiero, gdy wrócą do komendy.

Pucetti i Vianello, w ochraniaczach na buty i rękawiczkach, wyłonili się z drzwi prowadzących w głąb mieszkania. Za nimi wyszedł Bocchese, także w pełnym stroju ochronnym.

– Widziałeś drugi pokój? – zapytał Vianello Brunettiego.

– Tak.

– Co o tym myślisz?

– Czytał książkę. Ktoś zadzwonił lub zapukał do drzwi mieszkania, więc odłożył na stół książkę grzbietem do góry i poszedł otworzyć. Ktokolwiek to był, zabił go. – Brunetti zwrócił się do Bocchese: – Czy twoi ludzie przeszukali mieszkanie?

– Wiesz, że tego nie robimy, Guido – powiedział technik z teatralną cierpliwością. – Fotografujemy pozostawione ślady, dokumentujemy miejsce zdarzenia i zbieramy próbki, ale to wy, panowie, możecie otwierać różne rzeczy i się rozglądać wszędzie.

Brunetti niemal się uśmiechnął, ale powstrzymał się, nie chcąc dawać Bocchesemu satysfakcji.

– W takim razie zapytam inaczej: czy ktoś od was zobaczył może coś, co mogłoby nas interesować? Całkowicie przypadkowo zobaczył?

– Zawsze lubiłeś dzielić włos na czworo, prawda? – zapytał Bocchese. – To Lorenzo się tu rozglądał, a nie ktoś ode mnie.

Brunetti przeniósł spojrzenie na Vianella.

– Patrzyłem na książki tutaj – powiedział inspektor. – Wydaje mi się, że niektóre różnią się od pozostałych.

„Różnić się” mogło znaczyć wiele rzeczy, jak doskonale wiedział Brunetti.

– Czym?

– Wyglądają na stare. – Vianello uśmiechnął się. Stojący za nim Pucetti skinął głową.

Jeden z techników zawołał do Bocchese, że mogą już wracać do komendy.

– Pojadę z nimi – powiedział Bocchese. – I zostawię wam książki.

– Możesz nam zostawić pudło na dowody? – poprosił Brunetti szefa techników. – Na wszelki wypadek.

Bocchese skinął głową i oddalił się, szurając stopami po podłodze. Vianello poprowadził ich do drugiego pokoju. Brunetti i Pucetti podeszli za nim do orzechowego regału z książkami stojącego za fotelem. Gdy wkładali gumowe rękawiczki, Brunetti zaczął oglądać książki. Na górnej półce stali najbardziej znani klasycy historii włoskiej i myśli politycznej: Machiavelli, Guicciardini, Gramsci. Był tutaj nawet Bobbio. Niżej zaczynali się pisarze łacińscy: współczesne wydania Cyncerona, Pliniusza, Seneki, Propercjusza. Brunetti odnotował ich przewidywalną obecność, ale przy trzeciej półce przeżył zaskoczenie, ponieważ znalazł na niej Waleriusza Flakkusa, Flawiusza Arriana i Kwintyliana. A także *Kodeks Justyniana*, którego nigdy nie czytał – podobnie jak nie czytał dzieł Flakkusa. Był tu Salustiusz, *Sprzysiężenie Katyliny*, które czytał, ale całkowicie zapomniał, a także *O języku łacińskim* Warrona, chociaż Brunetti zawsze uważał, że nikt tego nie czytał.

Na półce niżej znajdowały się dramaty, ale pomiędzy *Fedrą* Seneki a *Komediami* Plauta stała jeszcze jedna książka, znacznie starsza niż współczesne wydania. Brunetti wyciągnął ją z półki i rozkoszował się tym, jak ułożyła się wygodnie w jego dłoni. Czarna safianowa oprawa, wzmocniona chyba drewnem, trzy wypukłe poziome paski na grzbiecie. Spojrzał na okładkę i zobaczył podwójny okrąg wewnątrz nakreślonego cienką złotą linią prostokąta: CATVL TIBULLUS PROPER. Niezręcznymi palcami w rękawiczkach otworzył stronę tytułową i zobaczył, że książka została wydrukowana w Lyonie przez Sebastiana Gryphiusa w... przeliczył rzymskie cyfry... 1534 roku.

Zrobił krok w bok, położył książkę na poduszce fotela, w którym siadywał Franchini i wrócił do półki. Wziął kolejną książkę, dalej w tym samym rzędzie, i otworzył ją. Ze strony tytułowej dowiedział się, iż są to tragedie Seneki.

Odwrócił stronę, znowu nie bez trudności, i poczuł przyjemne ukłucie, jakiego zawsze doświadczał na widok piękna. Dłoń iluminatora ożywiła ozdobne N, od którego rozpoczynała się strona, i wykorzystwała je jako punkt początkowy dla girlandy drobnych kwiatków – czerwonych, złotych, niebieskich, wyglądających jakby zostały namalowane wczoraj – otaczającej cały tekst. Na dole kwiaty wsuwały się pod herb z dwoma wspiętymi lwami, a potem wyłaniały się i biegly wzdłuż wewnętrznego marginesu z powrotem do N, z którego wzięły początek. Brunetti nachylił się, by przeczytać tekst. *NISI GRATIAS AGEREM tibi, vir optime*. Czyli autor dziękował dobremu człowiekowi – zrozumiał Brunetti. Być może Enrico Franchini miał rację i zdolność rozumienia łaciny nie dyscyplinowała umysłu.

Położył książkę na poprzedniej i zobaczył, że na tej półce są jeszcze trzy podobne tomy, a kolejne na półkach niżej. Na najniższej zobaczył duży tom leżący poziomo, więc pochylił się, by go wyjąć. Tacyt, pierwsze pięć ksiąg. Oparł tom na fotelu i otworzył go, wzdrygając się na widok atramentowych dopisków na marginesach. Przekartkował księgę, którą czytał kiedyś, ale po włosku. Mógł przełożyć frazy i całe zdania, ale nie zdołałby przeczytać tego po łacinie, nie po tylu latach i nie po tym, jak jego umysł stał się tak bardzo niezdyscyplinowany. Spróbował odczytać notatki na marginesach, ale odręczne pismo pokonało go i musiał się poddać.

Zamknął Tacyta i odłożył go na coraz wyższy stos, a potem cofnął się i przyjrzał grzbietom pozostałych książek; zabytkowe tomy były łatwo rozpoznawalne, bo niemal na każdym widać było ślady w miejscach, skąd usunięto sygnatury katalogowe.

Wybrał jeden losowo i otworzył go, nie patrząc nawet na tytuł; oprawa podpowiadała mu wiek i sugerowała cenę. Przytrzymał księgę oburącz i rozłożył w miejscu, gdzie sama chciała. Zobaczył ozdobny inicjał T, z mężczyzną klęczącym po lewej i dwoma owcami po prawej stronie litery. Widok wersów poezji, wydrukowanych italiką, sprawił, że jego serce, a następnie dłonie, zacisnęły się. Po raz pierwszy widział ten sam tekst ponad dwadzieścia lat temu, podczas pierwszej, sztywnej wizyty u rodziców Paoli – był nieśmiałym studentem z ubogiej rodziny, zaproszonym na kolację do Palazzo Falier – gdy hrabia pokazał mu wybrane pozycje ze swojej biblioteki. Wrócił na stronę tytułową i potwierdził swoje wspomnienie: był to Wergiliusz

z drukarni Manucjusza. Odcyfrował datę: 1501. Przeszedł na stronę trzydziestą szóstą i sprawdził, czy na dole widnieje pieczęć hrabiego, ale nie było jej tam.

Brunetti dołożył książkę na stos. Na tym fotelu leżała teraz fortuna, a on nawet przez moment nie zakładał, że Franchini wszedł w posiadanie tych książek uczciwą drogą. „Złodziej i szantażysta, kłamca i oszust”.

Wyjął ze stosu Senekę i znowu go otworzył. Szybko znalazł małą owalną pieczęć w lewym dolnym rogu karty tytułowej. Biblioteca Querini Stampaglia – przeczytał. Przekartkował księgę i znalazł to samo oznaczenie powtórzone na stronie pięćdziesiątej siódmej i sto pięćdziesiątej siódmej. Potem, dla pewności – chociaż już jej nie potrzebował – zajrzał na ostatnią stronę, gdzie znowu zobaczył pieczęć. To był system oznaczeń bibliotecznych, który znał od czasów studenckich.

Vianello, który przez cały ten czas obserwował go w milczeniu, powiedział:

– Pomyślałem, że będziesz wiedział, co to jest. – Podniósł do góry jedną książkę po drugiej: Katullusa, Tibullusa i Propercjusza. – Ja nie mam o nich pojęcia, ledwie mogę odczytać tytuł i datę. Nie miałem w szkole łaciny.

– Dla mnie są stare i to wszystko – wtrącił Pucetti.

– To coś, co mogłoby ci się spodobać – zapewnił Brunetti młodszego policjanta.

– Być może – odparł Pucetti. Brunettiemu zadzwoniło w uszach, tak bardzo przypominał Raffiego, gdy zapytał: – Czy są interesujące?

– Zależy, co uważasz za interesujące, Roberto – odparł wymijająco Brunetti. – Ja je czytałem i podobały mi się.

– Dlaczego?

Brunetti sięgnął po książkę trzymaną przez Vianella.

– Pewnie dlatego, że lubię przeszłość – powiedział. – Czytając o niej, możemy się przekonać, że tak naprawdę niewiele się zmieniliśmy przez te wszystkie stulecia.

– Dlaczego mielibyśmy się zmieniać? – zapytał Pucetti.

– Może byłoby dobrze, gdybyśmy się pozbyli pewnych wad – wtrącił Vianello.

– To by nas pozbawiło pracy – zauważył Brunetti i zostawił ich, żeby zapytać

techników, czy mają pudło dość duże, by pomieściło książki.

W komendzie wszyscy trzej udali się do gabinetu Brunettiego. On sam szedł pierwszy, niosąc pudło z książkami. W środku znowu włożyli rękawiczki i zgodnie z jego instrukcjami zaczęli otwierać książki, wsuwając palce pod okładkę i zaglądając na stronę tytułową w poszukiwaniu śladów prawowitego właściciela. Starali się jak najmniej dotykać książki i odwracali strony, trzymając je tylko za rogi.

Dwanaście pochodziło z Biblioteki Merula. W jednej, która była z innego miejsca, Brunetti znalazł znajomego delfina Manucjusza i herb z kotwicą, a z greckich liter odczytał imię Sofoklesa i datę, 1502 rok. Pod herbem widniał nowszy ekslibris, z inicjałami P.D., rozdzielonymi skaczącym delfinem. Dwie kolejne zabrano z biblioteki publicznej w Vicenzie. Następna, którą utworzył, była pochodzącym z 1485 roku wydaniem *Historii* Liwiusza, wydrukowanym w Treviso, także z ekslibrisem P.D. Jeszcze inna – wydanie *Retoryki* Cyncerona z 1470 roku – nie miała żadnych oznaczeń. Można by przypuszczać, że Franchini sam ją kupił, chociaż Brunetti w to powątpiewał.

Dopiero gdy skończył sporządzać listę książek, zadzwonił do Bocchesego i poprosił, by przysłał po nie kogoś ze swoich ludzi. Prędzej czy później mogli znaleźć powtarzające się na nich odciski palców nienależące do Franchiniego.

Gdy książki zostały zabrane, a Vianello i Pucetti powiedzieli, że wrócą do domu Franchiniego, żeby przepytac okolicznych mieszkańców, Brunetti zadzwonił do dottoressy Fabbiani i powiedział jej o śmierci Franchiniego, a potem o książkach znalezionych w jego mieszkaniu.

– Mój Boże, biedny Tertulian – powiedziała, nie zastanawiając się nad książkami. Nastąpiła długa cisza, której Brunetti nie miał odwagi przerywać. Innym tonem podziękowała mu za informacje i powiedziała, że dział starych druków będzie zamknięty do czasu zakończenia pełnego skontrum zbiorów. Zaczął ją jeszcze o coś pytać, ale przerwała mu, powiedziała, że nie może teraz rozmawiać, i rozłączyła się.

Brunetti odłożył słuchawkę, podszedł do okna i powiedział sobie, że zamierza sprawdzić, jakie postępy poczyniła wiosna. Popatrzył na pnącza wspinające się na parkan ogrodu po drugiej stronie kanału, ale nie zauważyłby nawet, gdyby pędy i pączki kwiatowe wyprostowały się i zatańczyły kankana.

Coś w głębi pamięci nie dawało mu spokoju i starał się to skubać, jak dottoressa Fabbiani swój paznokiec. Popchnąć i pociągnąć, do przodu i do tyłu... co takiego usłyszał, w co teraz nie mógłby uwierzyć?

Znalazło się, wyraźnie widoczne wśród innych wspomnień. Viale Garibaldi, kobieta siedząca na ławce i rozmawiająca z Franchinim, nagłe pojawienie się innego mężczyzny, napaść, Franchini odmawiający wniesienia oskarżenia. Gdyby spojrzeć na to tylko z jednej strony, mógł to być przypadkowy atak. Jeśli jednak uwzględnić słabość Franchiniego do kobiet i szantażu, te same wydarzenia mogły układać się w zupełnie odmienną historię.

Brunetti wrócił do komputera, wpisał nazwisko napastnika i wyświetlił jego akta. Na drugiej stronie znalazł imię i adres jego partnerki, tej, do której nie wolno mu się było zbliżać: Adele Marzi, Castello 999, to samo *sestiere*, gdzie mieszkał Franchini. Sprawdził adres: Campo Ruga 333. Było mało prawdopodobne, by te budynki znajdowały się po sąsiedzku, ale mimo wszystko wyjął z dolnej szuflady *Calli, Campielli e Canali*, znalazł koordynaty i otworzył mapę 45. Przez moment przyglądał się chaotycznym liczbom, aż znalazł 999 na samym dole Ponte S. Gioachin, czyli – z powodu bałaganu z numeracją w mieście – niespełna dwie minuty od mieszkania Franchiniego.

Wpisał w program nazwisko kobiety, ale była wymieniona tylko jako osoba, która złożyła do sądu wnioski o wydanie dla Roberta Durà zakazu osobistej styczności. Na wniosku znalazł numer *telefonino* i zadzwonił.

– Sì? – odpowiedział kobiecie głos po piątym dzwonku.

– Signora Marzi? – zapytał Brunetti.

– Sì.

– Mówi komisarz Guido Brunetti – powiedział i odczekał dostatecznie długą chwilę, by uświadomiła sobie, że ma do czynienia z komisarzem policji. – Chciałbym z panią porozmawiać.

– O czym? – zapytała po chwili.

– O incydencie na Viale Garibaldi.

Po dłuższej chwili milczenia w końcu zapytała:

– O co chodzi?

– Postanowiliśmy jeszcze raz przyjrzeć się tej sprawie.

– On siedzi w więzieniu – powiedziała.

– Wiem o tym, *signora*. Mimo wszystko musimy z panią porozmawiać o tamtym incydencie.

Jej głos był niepewny, krył w sobie lęk, jaki odczuwał każdy obywatel mający przypadkowo do czynienia z prawem.

– Nie kontaktował się ze mną.

Brunetti był ciekaw, czy miała na myśli swojego byłego partnera, czy Franchiniego, ale nie zapytał.

– Mimo wszystko musimy z panią porozmawiać, *signora*.

– Dlaczego?

– Ponieważ musimy dowiedzieć się więcej o tym, co zaszło. – To była głupia odpowiedź, ale wiedział, że strach przytępią ludziom zmysły i sprawia, że stają się bezkrytyczni.

– Kiedy?

To brzmiało jak negocjacje, ale on rozpoznał sygnał kapitulacji.

– Kiedy to będzie pani odpowiadało, *signora* – odparł ciepłym głosem. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest prawie ósma. – Czy jutrzejszy dzień będzie pani pasował?

– O której godzinie?

– Kiedy tylko pani zechce, *signora*.

– Gdzie? – zapytała.

– Może pani przyjść do nas, do komendy, albo...

– Nie – przerwała mu w pół słowa.

W jej głosie znowu był lęk. Miał zamiar zaproponować miejsce w pobliżu jej domu, ale w ten sposób pokazałby, że wie, gdzie ona mieszka. To również by oznaczało, że byłaby widziana w pobliżu swojego domu w towarzystwie obcego mężczyzny, a mogła sobie tego nie życzyć.

– Możemy się spotkać w Caffè Florian – zaproponował.

– Niech będzie – powiedziała niechętnie. – O której?

Brunetti pomyślał, że może dobrze będzie zostawić jej czas na obawy przed tym spotkaniem.

– O trzeciej – powiedział.

– Niech będzie – zgodziła się po chwili ciszy, w której niemal słyszał, jak

dostosowuje swój plan dnia.

– Doskonale. W takim razie tam się widzimy. – Zanim zdążyła zapytać, dodał: – Kiedy pani przyjdzie, proszę zapytać o komisarza Brunettiego; przekażę kelnerom swoje nazwisko.

– Niech będzie – powtórzyła po raz kolejny i rozłączyła się.

Otworzył pocztę i napisał e-mail do signoriny Elettry, ponieważ był pewien, że poszła już do domu: „Czy mogłaby Pani sprawdzić, co wiadomo o Adele Marzi, Castello 999? Wiem, że jej były partner, Roberto Durà, ma zakaz zbliżania się do niej, ale nie wiem nic poza tym”. Potem, jako niezbyt subtelne ponaglenie, dodał: „Spotykam się z nią jutro po południu”. Wyłączył komputer, nie sprawdzając, jakie e-maile do niego przyszły, i poszedł do domu.

Znalazł się tam już po dziewiątej, chociaż nie uprzedził o tym. Paola była przyzwyczajona do jego spóźnień i nieregularnych godzin, więc zazwyczaj zostawiała coś dla niego w piecyku lub na kuchence, a sama wracała do swojego gabinetu, by czytać lub oceniać eseje studentów. Wiele lat, wiele lat temu, czuł się winny temu, że wraca późno, ale to poczucie zaczęło się zmniejszać, ponieważ ona najwyraźniej nie przejmowała się jego nieobecnością.

Zapytał ją o to kiedyś, a ona zapytała w odpowiedzi, czy naprawdę mu się wydaje, że przeszkadza jej spędzenie godziny w towarzystwie Trollope'a i Fieldinga zamiast w towarzystwie dwojga nastoletnich dzieci i męża zajętego jakąś koszmarną zbrodnią. Zdarzały się chwile, gdy Brunettiemu trudno było pogodzić słowa Paoli z własnym przekonaniem, iż jest ona oddaną żoną i matką.

W kuchni znalazł duży półmisek z karczochami, nie ogromnymi i wulgarnymi rzymskimi, ale ich własnymi delikatnymi *castraura*. Musiało ich być co najmniej z tuzin. Podniósł leżący obok nich widelec, nałożył sobie pięć na talerz, a potem wyciągnął łyżkę z szuflady i polał je oliwą z dna naczynia. Dołożył szósty. Otworzył lodówkę i nalał sobie kieliszek białego wina, nie zawracając sobie głowy czytaniem etykiety. Położył z boku talerza dwie kromki chleba, który, jak zauważył, był już trochę czerstwy. Brunetti nie potrafił sobie wyobrazić losu bardziej okrutnego niż samotny posiłek, dlatego skierował się w głąb mieszkania, do gabinetu Paoli.

Drzwi były otwarte, więc wszedł do środka bez pukania. Spojrzała na niego z kanapy, do której zgłosiła prawo własności, wyciągnąwszy się niemal na całą jej długość. Usiadł na wolnym miejscu na brzeżku i postawił talerz i kieliszek na niskim stoliku.

– Guido – odezwała się, gdy podniósł kieliszek wina, by się napić. – Ktoś opowiedział mi bardzo dziwną historię.

– O czym? – zapytał i nadział na widelec pierwszy karczoch. Zostały

usmażone w oliwie z odrobiną wody, z całymi ząbkami czosnku i dodaną na końcu pietruszką. Przeciął karczoch na pół, przesunął go po oliwie, obracając, by obie strony zostały omaszczone. Zjadł kęs, popił winem i wytarł odrobinę oliwy kawałkiem chleba. Wziął kieliszek i oparł się wygodniej. – Powtórz mi.

– Rozmawiałam dzisiaj z Brunem.

– Tym, który prowadzi kemping?

– Tak.

– Powiedział, że zamierza uciec do Rio z niemiecką turystką i otworzyć szkołę samby?

Bruno, którego Brunetti znał od lat, był wujem szkolnej koleżanki Paoli i prowadził nieduży hotel na Lido. Ponieważ Lido znajdowało się spory kawałek od centrum miasta, Guardia di Finanza była tam mniej dokuczliwa, a Brunetti zawsze zakładał, że Bruno niezbyt starannie prowadzi księgi rachunkowe.

– Czy chodziło o coś, co ma związek z jego gośćmi? – zapytał Brunetti, który uważał, że komentarze turystów są często oknem na prawdziwy świat.

– Nie, to było kompletnie z niczym niezwiązane.

– Co takiego?

– Jakiś czas temu ktoś zadzwonił do niego do domu. Mężczyzna, który znał jego nazwisko, powiedział, że przeprowadzają badania wśród wszystkich pracowników branży turystycznej.

– Oni, czyli kto? – zapytał Brunetti i napił się wina.

– Właśnie o to Bruno zapytał: kim oni są. Mężczyzna powiedział, że jest z La Finanza. – Paola zauważyła jego spojrzenie i potwierdziła. – Właśnie tak, La Finanza.

– Czego Guardia di Finanza chciała od niego?

– Mężczyzna zapytał go, czy nie byłby zainteresowany prenumeratą czasopism.

– Jakich czasopism?

– Opisał pięć z nich i powiedział, że jest pewien, iż Bruno zechce zaprenumerować przynajmniej jedno.

– Co zrobił?

– A jak myślisz? Zgodził się.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest zagrożony, Guido. Jest zagrożony, tak jak my wszyscy. Ilu z nas zawsze przestrzega prawa? Gdy idziemy na obiad do restauracji, czy bierzesz *ricevuta fiscale*?

– Nie, jeśli znam właścicieli, nie ma mowy – odparł z oburzeniem Brunetti, jakby go zapytano, czy kradnie w sklepie.

– To niezgodne z prawem, Guido. Ty także jesteś zagrożony, chociaż tobie najprawdopodobniej daliby spokój, kiedy byś im powiedział, że jesteś policjantem – powiedziała i dodała: – Ale nie dadzą spokoju ludziom niebędącym członkami ich klubu.

– Takim jak Bruno? – zapytał.

– Takim jak on i wszyscy inni, którzy są uczciwi, ale nie mogą żyć całkiem uczciwie. Przez ostatnie dziesięć lat jego opłaty się potroiły, a coraz mniej turystów chce mieszkać na Lido. Dlatego łamie prawo, by przetrwać, zarabia pieniądze i nie płaci od tego podatku. Ktokolwiek do niego dzwonił, wiedział o tym. I wykorzystał to.

– Kiedy to było?

– Jakies cztery miesiące temu.

Brunetti wypił jeszcze łyk wina, ale nie tknął karczochów.

– Mów dalej.

– Czasopisma przynosi kurier, któremu on płaci za każdym razem. Dlatego nie ma pojęcia, kto je przysyła.

– Co to za czasopisma?

– O historii Guardia Costiera, o działalności marynarki na rzecz państwa. Tego rodzaju czasopisma.

Znał je doskonale. W każdym posterunku w całym kraju leżały takie pisma, nieczytane i nienadające się do czytania opowieści z różnych jednostek służby publicznej.

– Czy ten mężczyzna podał jeszcze jakieś informacje? – zapytał. – Poza tym, że dzwoni w imieniu La Finanza?

– Nic, nic więcej. Telefon, z którego dzwonił, miał zastrzeżony numer.

Brunetti oparł się wygodniej.

– Czyli jest tylko kurier, który dostaje pieniądze. I może przychodzić z dowolnego miejsca.

– Tak.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Ponieważ on im płaci. Ponieważ są tylko dwie możliwości: że to oszustwo, i myślę, że tak właśnie jest, albo że to rzeczywiście Finanza. Bruno wierzy, że to Finanza i płaci, by zostawili go w spokoju, ponieważ uważa, że jest szantażowany.

Nie miał nic więcej do powiedzenia ani żadnych więcej pytań.

– Tak właśnie teraz żyjemy, Guido. Jeśli jakiś organ państwowy dzwoni i grozi nam, albo jeśli uwierzmy, że to organ państwowy – płacimy mu. Do tego się zniżyliśmy, płacimy szantażującemu nas państwu, by się przed nim zabezpieczyć.

Brunetti nie dał się sprowokować. Chciał w spokoju zjeść karczochoy, wypić wino i wrócić do kuchni, by sprawdzić, co czeka na niego w piecyku. Nie chciał się w to mieszać, nie chciał nawet tego komentować.

Popatrzył na pozostałe karczochoy i zastanowił się, co powinien zrobić. Jeśli zacznie jeść, da do zrozumienia Paoli, że nie interesują go jej słowa; jeśli ich nie zje, będzie musiał podjąć rozmowę. Zabrał talerz i kieliszek i wrócił do kuchni. W piecyku znalazł owalne naczynie przykryte folią aluminiową. Dotknął ostrożnie palcem bocznej ścianki i przekonał się, że może je bezpiecznie wyjąć. Zrobił to, a potem zdjął folię.

Dwie drobne przepiórki leżały pomiędzy stosem zielonego groszku a jeszcze większym stosem pieczonych młodych ziemniaków. Cała potrawa pachniała koniakiem, w którym zostały upieczone przepiórki. Ta kobieta mogła sprawiać kłopoty, ale umiała gotować. Brunetti odsunął na bok pozostałe karczochoy i przeniósł potrawę na talerz, który następnie postawił na stole. Wyjął wino z lodówki – został przy białym. Przyniósł z salonu „Il Gazzettino”, porzucone tam rano. W kuchni rozłożył gazetę koło talerza i kontynuował przerwana lekturę. Porannej gazety podobnie jak jedzenia nie należało odkładać na następny dzień; należało ją skosztować, dopóki była ciepła.

Gdy skończył jeść, włożył talerz do zlewu i zalał gorącą wodą, a potem wyjął butelkę koniaku i wziął dwa kieliszki. Wrócił do gabinetu Paoli, niosąc te

pokojowe dary, chociaż nie było konieczności zawierania pokoju.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, albo z powodu jego powrotu, albo też na widok przyniesionej butelki. Tym razem podwinęła nogi, by zostawić mu więcej miejsca, i odłożyła książkę.

– Mam nadzieję, że ci smakowało.

– Przepyszne – zapewnił i podniósł butelkę. – Pomyślałem, że będziemy kontynuować temat koniaku.

Sięgnęła po kieliszek, który jej podał.

– To miłe z twojej strony, Guido. – Wypiła łyk i skinęła głową w podziękowaniu.

– Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, co się stało – powiedział, siadając przy jej stopach.

Drugi kieliszek koniaku stał przed nim nietknięty, gdy skończył opowiadać Paoli o morderstwie Franchiniego i książkach znalezionych w jego mieszkaniu.

– Ale dlaczego ktoś miałby go zabijać? – zapytała, a on w odpowiedzi powtórzył słowa brata Franchiniego.

To ją powstrzymało. Zaczęła coś mówić, ale wyraźnie nie mogła znaleźć słów, odwróciła spojrzenie i uniosła rękę w powietrze, by pozwolić zaraz jej opaść.

– Wierzę mu – powiedział Brunetti. – Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale mu wierzę. Płakał, nawet po tym, gdy mi to powiedział. – Przekazał pozostałe rzeczy, jakich dowiedział się od brata Franchiniego: o szantażu, gorącym pragnieniu Alda, by wybić się w świecie, o jego radości, że znalazł towarzysza polowań.

– A teraz nie żyje – powiedziała Paola.

– Tak.

Przez te wszystkie lata ani razu nie zapytała go o szczegóły morderstwa, gdy prowadził śledztwo. To, że ktoś zginął z ręki drugiego człowieka, było dla Paoli wystarczająco przerażające.

Odstawiła kieliszek na stół gestem, który zawsze wskazywał, że nie będzie pić więcej. Jej kieliszek był prawie pełny. Podobnie – co zauważył z zaskoczeniem, gdy spojrzał na niedopity koniak – jak jego własny.

- Co teraz zamierzasz zrobić?
- Jutro po południu spotkam się z kobietą, która go znała.
- W jakim sensie go znała? – zapytała Paola.
- O to między innymi zamierzam ją spytać – odparł po prostu Brunetti.
- O co jeszcze?
- Dlaczego jej były partner go pobił.

Jej ciekawość była wyraźnie widoczna w rzuconym mu spojrzeniu.

– To było około pół roku temu. Mieli jakąś sprzeczkę, a Franchini wylądował w szpitalu ze złamanym nosem. Nie wniósł oskarżenia. Mężczyzna, który go uderzył, siedzi teraz w więzieniu z innego powodu, więc to nie on jest sprawcą.

– To już coś – stwierdziła Paola. – Dlaczego chcesz z nią rozmawiać?

– Żeby dowiedzieć się więcej o Franchinim. Na razie wiem tylko, że to były ksiądz, który od lat przesiadywał w bibliotece, czytając Ojców Kościoła, ale który, jak twierdzi jego brat, nie był przyzwoitym człowiekiem. A w jego domu pełno jest skradzionych książek. – Urwał na moment i dodał: – Chcę się przekonać, czy jej wersja pokrywa się ze słowami jego brata i która jest prawdziwa.

– A nie mogą być obie? – zapytała Paola.

Brunetti zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę i w końcu odpowiedział pytaniem:

– Czemu nie?

Brunetti pamiętał o tym, gdy następnego dnia szedł przez Piazza do Caffè Florian. Zjadł obiad z Paolą i dziećmi; za obopólną zgodą nie wracali do rozmowy z poprzedniego wieczoru, zamiast tego starali się podjąć ogólną decyzję co do miejsca wakacyjnego wyjazdu.

– O ile szef nie każe ci zostać w mieście i wypatrywać kieszonkowców – zauważyła Chiara, co stanowiło dla Brunettiego ostrzeżenie, że być może zbyt otwarcie komentuje swoją pracę.

– Bardziej prawdopodobne będą licencje pilota i przekraczanie prędkości na Canale Grande – podsunęła Paola, gdy wstał z miejsca. Pochylił się, by pocałować ją w czubek głowy.

– Zadzwoń, jeśli będę miał wrócić później – powiedział.

Chociaż dyskutowali o tym wszyscy, nie zdołali – jak zawsze – dojść do porozumienia, gdzie chcą spędzić wakacje. Paoli nie obchodziło szczególnie, dokąd pojedą, jeśli tylko będzie mogła leniuchować całymi dniami z książką, a potem iść wieczorem na kolację do restauracji. Dzieci były zadowolone, jeśli miały plażę i mogły pływać cały dzień. Brunetti chciał mieć okazję do długich wycieczek po górach, z których wracałby po południu i zasypiał nad książką. Obawiał się, że czekają go kłopoty. Dawanie dzieciom prawa głosu to straszna rzecz.

Wszedł na plac Św. Marka od Marzarie i przeciął go na skos, kierując się do Caffè Florian. Zatrzymał się na środku placu, by popatrzeć na fasadę bazyliki. Jakże absurdalny, jakże przesadny był ten budynek, wzniesiony z tego, co złupiono w Bizancjum. Jacy ludzie przy zdrowych zmysłach mogli zaprojektować to, na co patrzył: drzwi, kopuły, światło odbijające się od złocen? Z nadzieją, że złamie tym urok rzucany przez budowlę, wyjął telefon i wybrał numer signoriny Elettry. Uderzyła go osobliwość rozmowy przez komórkę i jednoczesnego patrzenia na kopie koni zrabowanych w Konstantynopolu niemal tysiąc lat wcześniej. Signorina Elettra, która rano nie pojawiła się

w gabinecie, teraz nie odebrała, co oznaczało, że musiał się spotkać z signorą Marzi bez wstępnej przewagi, jaką dałaby mu znajomość jej życia i poczynąń.

W kawiarni jak zawsze zwrócił uwagę, jak elegancko zaniedbane było to miejsce. Obrusy były nieskazitelnie czyste, kelnerzy lśnili w białych frakach i obsługiwali gości szybko i życzliwie. Ale farba na ścianach była spłowiała i spękana, poznaczona rysami w miejscach, gdzie ocierały się o nią przez dziesiątki lat odsuwane krzesła. Aksamitne siedzenia, wygładzone przez całe pokolenia turystów, przypominały mu łyse placki na dawno zapomnianych pluszowych misiach jego dzieci.

Powiedział kelnerowi, że oczekuje na pewną panią i że zapyta ona o niego po nazwisku. Wszedł do pierwszej sali po lewej i zapowiedział, że złoży zamówienie, gdy przyjdzie jego towarzysza, a potem wrócił do drzwi, żeby wybrać dzisiejsze „Gazzettino” spośród gazet przygotowanych dla gości kawiarni.

Notatka o morderstwie Franchiniego była w prawym dolnym rogu pierwszej strony drugiej części i mówiła tylko, że został znaleziony martwy, zgon nastąpił „w niewyjaśnionych okolicznościach”, a policja prowadzi śledztwo. Nazwisko i wiek ofiary zostały podane prawidłowo, napisano także, że był dawniej księdzem i pracował w szkole w Vicenzie. Brunetti zastanawiał się, jak dowiedzieli się tego tak szybko, kto z policji z nimi rozmawiał i czy miał do tego upoważnienie.

– Signor Brunetti? – odezwał się kobiecy głos.

Odłożył gazetę na sąsiedni stolik i wstał.

– Signora Marzi? – zapytał, wyciągając rękę.

Była wysoka, niemal dorównywała mu wzrostem, jej włosy były odrobinę za bardzo blond, a makijaż trochę zbyt mocny jak na tę porę. Miała oczy tak ciemne, że niemal czarne, obwiedzione od góry i od dołu maszarą. Brwi wyskubała w cienką linię, a następnie przywróciła im naturalną grubość czarną kredką, tworząc odwrócone V, jakie często można było zobaczyć u postaci w kreskówkach.

Miała krótki, zadarty nos, a pod nim dwie delikatne linie zbiegające pionowo do ust. Była w nieokreślonym wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką; lat przybywało jej i ubywało w zależności od oświetlenia i makijażu, a zapewne

także jej nastroju. Tak czy inaczej była kobietą, którą większość mężczyzn uznałoby za atrakcyjną.

– Proszę – powiedział, wskazał jej wyściełaną ławkę po lewej stronie i odsunął lekko stolik, żeby mogła za niego wejść. Usiadła, uniosła się na moment, by wygładzić spódnicę, i znowu usiadła. Dwurzędowa marynarka ciemnoszarej garsonki, którą miała na sobie, na mężczyźnie wyglądałaby tradycyjnie, niemalże nieciekawie; na kobiecie, szczególnie tak krótko ostrzyżonej jak ona, wydawała się odrobinę prowokująca. Nic nie odwracało uwagi od jakości tkaniny czy kroju garsonki. Pod spód włożyła czarny sweter z zaokrąglonym dekoltem i pojedynczy sznurek pereł. To nie była kobieta kupująca ubrania w domu handlowym Coin. Odłożyła torebkę na puste miejsce po prawej stronie i popatrzyła przez okno na Piazza. Opuściła wzrok i przyjrzała się przedmiotom na stoliku, jakby nigdy wcześniej nie widziała menu ani torebek z cukrem.

Brunetti zwrócił uwagę kelnera, a gdy ten podszedł do stolika, powiedział:

– *Un caffè*.

Kelner popatrzył na kobietę, która skinęła głową.

– *Due* – powiedział Brunetti.

Gdy kroki kelnera ucichły, kobieta spojrzała na Brunettiego.

– Co chciałby pan wiedzieć? – zapytała.

– Chciałbym, żeby mi pani powiedziała, co wydarzyło się tamtego popołudnia na Viale Garibaldi.

– Po pół roku? – zapytała. Rzuciła mu nieruchome spojrzenie, oblizała wargi i odwróciła głowę.

Brunetti wzruszył ramionami.

– Tak działa policja. Zamykamy jakąś sprawę, a potem dzieje się coś nowego, co sprawia, że musimy na nowo przyjrzeć się poprzedniemu incydentowi.

– Co takiego się stało, że jest to konieczne?

Nie zwracała szczególnej uwagi na gazetę, więc najprawdopodobniej nie czytała o morderstwie Franchiniego. Nie czuł się zobowiązany, by o tym wspominać; niech mówi, jakby ten człowiek jeszcze żył.

– Nic, co miałoby jakikolwiek związek z panią, *signora* – wyjaśnił, chociaż nie miał pewności, czy to prawda. – Chciałbym, żeby mi pani powiedziała, co zaszło. – Pilnował, by nie zadać pytania o konkretne wydarzenie czy osoby. Chciał, by uwierzyła, że interesują go tylko fakty, jakby po prostu sprawdzał to, co ma już w dotychczasowych raportach.

Podniosła głowę i znowu spojrzała prosto na Brunettiego.

– Czasem idę tamtędy, żeby wsiąść do *vaporetto*. Lubię Viale Garibaldi, bo jest taka szeroka i otwarta, z drzewami.

Brunetti skinął głową, jak zrobiłby to każdy weneccjanin.

– Tamtego dnia rano zobaczyłam znajomego i zatrzymałam się, żeby z nim porozmawiać. Kiedy poszłam dalej, pojawił się mój były partner i zaszło między nimi jakieś nieporozumienie. Nie było mnie przy tym i nie widziałam, co się wydarzyło. – W jej głosie pojawiło się rozdrażnienie. – Mówiłam już o tym wszystkim policji.

Zanim Brunetti zdążył to skomentować, wrócił kelner, który postawił przed nimi filiżanki kawy i małe szklaneczki z wodą. Przesunął ceramiczną miseczkę z torebkami cukru o centymetr bliżej kobiety, skinął głową Brunettiemu i oddalił się.

Brunetti posłodził i zamieszał kawę. Wypił łyk, po czym odstawił filiżankę na spodek.

– Powiedziała pani, że to był znajomy?

Zamiast odpowiedzi przysunęła bliżej miseczkę z torebkami z cukrem. Wzięła jedną, powoli rozdarła, wsypała zawartość do filiżanki i zamieszała. Potem spojrzała na Brunettiego, jakby odpowiedziała już na jego pytanie i czekała na kolejne.

– Powiedziała pani, że to był znajomy?

Trzy kobiety w bluzach od dresu z kapturami i w sportowych butach weszły i zaczęły przesuwać krzesła, żeby zmieścić się przy stoliku najbliżej okna. Rozmawiały głośno w języku, którego Brunetti nie rozpoznawał, aż jedna z nich zauważyła jego spojrzenie i uciszyła pozostałe, sprawiając, że zniżyły głosy.

Brunetti odwrócił się do signory Marzi.

– Mieszkał w pobliżu. Słyszałam o nim od innych – powiedziała. Złożyła rękę na kolanach, wyraźnie zapominając o kawie. Brunetti czekał, czy nie powie

czegoś jeszcze. Jej prawa dłoń zaczęła się bawić materiałem obrusa, jakby próbowała zdecydować, czy jest dostatecznie dobrej jakości, by go kupić.

Brunetti dopił kawę, oparł się wygodniej i splótł ramiona.

Signora Marzi podniosła wzrok znad obrusa.

– Mówiłam panu: nie widziałam, co zaszło.

– Jak się pani o tym dowiedziała? – zapytał Brunetti.

Wydawała się autentycznie zaskoczona pytaniem.

– Zadzwoniliście do mnie. – Zauważyła jego zdumienie, więc wyjaśniła: – Policja. – Mówiła dalej, nie próbując ukrywać rozdrażnienia. – Składałam na niego wiele razy skargi, więc zadzwonili do mnie, kiedy został aresztowany. Czy wy niczego nie zapisujecie? – dodała agresywnie.

– Ten mężczyzna odniósł obrażenia – powiedział Brunetti, ignorując prowokację.

– Mój były partner jest silnym mężczyzną – odparła.

– Powiedziała pani, że mężczyzna na ławce był pani znajomym.

– Dlaczego mnie pan o to pyta?

– Nie rozumiem, dlaczego pani partner miałby uderzyć tego mężczyznę tylko dlatego, że pani z nim rozmawiała.

Signora Marzi otworzyła torebkę i wyjęła z niej bawełnianą chusteczkę w drobne różyczki. Otarła nią kąciki ust, chociaż nie tknęła jeszcze kawy. Intensywnie różowa szminka, którą była umalowana, kiedy przyszła, zdążyła już niemal zniknąć. Złożyła chusteczkę i schowała ją z powrotem, zostawiając torebkę otwartą na dostatecznie długo, by Brunetti zauważył dyskretne logo firmy Hermès na podszewce.

– Wystarczyło, że z nim rozmawiałam – powiedziała w końcu. Znowu zwilżyła wargi.

– Czy rozmawiała z nim pani już wcześniej?

– Dowiedziałam się od kogoś, że był księdzem, więc uznałam, że mogę mu zaufać – odparła zamiast odpowiedzi. Nie wydawała się typem kobiety, która zaufałaby księdzu, ani w ogóle komukolwiek. Mimo to Brunetti skinął głową ze zrozumieniem.

– Czy to była sprawa, o której nie mogła pani rozmawiać z przyjaciółmi? –

zapytał.

Znowu złożyła ręce na kolanach.

– Chciałam z kimś o nim porozmawiać.

Brunetti zastanowił się nad zaimkami.

– Rozumiem. Czy ksiądz jakoś pani pomógł? – zapytał. Oszczędził sobie uwagi, że to dziwnie intymny temat jak na rozmowę z ledwie znanym mężczyzną. W dodatku na stojąco przy ławce.

Rzuciła mu szybkie, podejrzliwe spojrzenie, jakby się obawiała, że on wie o wiele więcej niż mówi. Potrząsnęła głową.

– Nie. Nie pomógł mi. Powiedział, że nie jest już księdzem i nie może mi udzielić żadnej porady.

Nagle przypomniała sobie o kawie i podniosła do ust filiżankę, ale ze zdumieniem przekonała się, że napój jest zimny. Odstawiła filiżankę na spodek.

– Rozumiem, że w takim razie rozmawiała z nim pani już wcześniej? – zapytał Brunetti.

Odpowiedziała na to pytanie spojrzeniem pełnym wystudiowanego zaskoczenia, ale się nie odezwała.

– Chodzi mi o mężczyznę na ławce – wyjaśnił Brunetti. – Tego, którego uderzył pani były partner. – Odczekał chwilę i dodał: – Trafił do szpitala. Wiedziała pani o tym?

Skinęła głową.

– Tak. – Nie powiedziała nic więcej.

– Czy rozmawiała z nim pani już wcześniej?

Wykrzywiła twarz w grymasie irytacji; ściągnęła wargi w cienką kreskę, zmrużyła oczy. Brunetti spoglądał na nią spokojnie, jak człowiek czekający, aż przepływająca chmura pozwoli mu znowu cieszyć się blaskiem słońca.

– Możliwe – przyznała.

Brunetti skierował wzrok za okno, na przechodzących ludzi, by ukryć mimowolne oznaki triumfu. W tym momencie wszedł kelner i przyjął zamówienie od trójki kobiet, które rozmawiały teraz cichymi głosami, jakby były w kościele. Brunetti potrząsnął głową, gdy kelner spojrział na niego.

– Jako z księdzem? – zapytał bez nacisku, gdy kelner wyszedł. Myślał o tym,

jak podobnie przebiegała większość takich rozmów, które sam zawsze uważał za przesłuchania. Gdy już zaczęły mówić i przekonały się, że przesłuchujący im wierzy, osoby mające coś do ukrycia czuły się na tyle bezpiecznie, że zaczynały próbować drobnych kłamstw, w których się w końcu zaplątywały. Jedyną metodą na uniknięcie tego była odmowa powiedzenia policji czegokolwiek bez obecności adwokata, ale niewielu ludzi miało dość rozsądku, by to zrobić. Wierzyli zazwyczaj, że są dostatecznie sprytni, by wykręcić się z większości rzeczy.

Jej głos stał się poważniejszy.

– Gdy go poznałam, nie wiedziałam, że był księdzem.

– Gdzie go pani poznała? Jak dawno temu?

Powinna być przygotowana na to pytanie; być może była.

– W okolicy. W parku. Jakoś w zeszłym roku. Chodzę tam od czasu do czasu rano, żeby posiedzieć na słońcu. To po drodze do *vaporetto*, więc jeśli wyjdę dostatecznie wcześnie, mogę zatrzymać się tam na pół godziny w drodze do pracy.

Brunetti nic nie powiedział, o nic nie zapytał.

– Często siedział tam i czytał, a pewnego dnia jedyne wolne miejsce było obok niego, więc zapytałam, czy mogę usiąść, i zaczęliśmy rozmawiać.

– O czytanej przez niego książce?

– Nie – odparła stanowczo. – Ja nie czytam.

Brunetti skinął ze zrozumieniem głową, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

– Rozmawialiśmy o różnych sprawach. Prawdziwych sprawach.

Niech się książki wypchają – pomyślał Brunetti. Był ciekaw, jak kobieta w jej wieku, najwyraźniej samotna, mogła mieć dość wolnego czasu, by spędzać dni na ławce przy Viale Garibaldi. Skoro o tym mowa, to jak udało jej się tak szybko znaleźć chwilę czasu na spotkanie z nim?

Wykorzystała ciszę, by wypić swoją wodę. Brunetti przez cały czas wypatrywał jakiegokolwiek emocjonalnej reakcji związanej z mężczyzną na ławce – którego nazwisko nie padło – ale nic nie dostrzegął. Była wyraźnie niezadowolona, gdy Brunetti o niego pytał, jeszcze bardziej, gdy naciskał, ale jeśli chodziło o uczucia, jakie okazywała, gdy była mowa o tym mężczyźnie,

równie dobrze mogliby rozmawiać o pogodzie. W gruncie rzeczy jedyną emocją, jaką rejestrował, wypełniającą powietrze wokół niej niczym niskie buczenie, było zdenerwowanie, że jej spotkanie z mężczyzną na ławce może interesować policję.

– Mówiła pani, że zatrzymuje się pani w parku po drodze do pracy, *signora*. Czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie pani pracuje?

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? – zapytała, spoglądając na niego ostro.

– Z ciekawości – odparł z uśmiechem.

– Jestem sekretarką – wyjaśniła, a widząc jego reakcję, dodała: – chociaż raczej chodzi o to, co Anglicy nazywają *administrative assistant*. – Wymawiała te słowa jak ktoś, kto ma trudności z tym językiem.

– Ach tak – powiedział. W jego głosie zabrzmiał podziw dla jej umiejętności rozróżniania zawodów. – Przy osobie prywatnej?

– Tak, moim pracodawcą jest markiz Piero Dolfin.

Nazwisko przywołało Brunettiemu na myśl skojarzenie z książkami z mieszkania Franchiniego: na dwóch ekslibrisach były inicjały P.D. i skaczący delfin.

Tak naturalnie, jak tylko potrafił, Brunetti stwierdził:

– To przyjaciel mojego teścia.

Jakby przechwalał się czymś, a ona musiała okazać się lepsza, Marzi odparła:

– Tak, to bardzo stara rodzina, jedna z najstarszych w mieście.

Brunetti wiedział, że tak jest w istocie, aczkolwiek gałąź rodziny, o której mówiła, przeprowadziła się z Genewy w czasach zjednoczenia Włoch pod zupełnie innym nazwiskiem i kupiła od nowego króla włoskiego tytuł, celowo wybierając jedno z najstarszych nazwisk w mieście, by je połączyć z tytułem.

Jakby nie mógł się oprzeć ciekawości związanej z tak interesującą pracą, Brunetti zapytał:

– Czym dokładnie się pani zajmuje?

Podczas gdy odpowiadała, Brunetti zastanawiał się nad tym, jaka jest szansa, że znalazł wyjaśnienie obecności książek z biblioteki Dolfina na półce Franchiniego, chociaż wiedział, że odpowiedź jest tylko jedna. Zaczął znowu słuchać signory Marzi.

– ...członków założycieli klubu rotariańskiego – zakończyła.

– To rzeczywiście robi wrażenie – przyznał Brunetti, ponieważ wiedział, że cokolwiek powiedziała, z pewnością tak właśnie miało zabrzmieć. Uśmiechnął się do niej, cały czas zadając sobie pytanie: wiedziała czy została wykorzystana?

Brunetti uświadomił sobie nagle, że jeszcze dwa stoliki zostały zajęte. Przy jednym siedziała japońska para w średnim wieku – oboje przypominali hrabinę Morosini-Albani, ponieważ ich plecy od oparcia krzesła dzieliło co najmniej dziesięć centymetrów. Przy drugim dwie jasnowłose nastolatki rozglądały się z zachwytem, szeroko otwartymi oczami.

Podniósł z sąsiedniego stolika złożoną gazetę i bez słowa podał ją signorze Marzi. Była zaskoczona, ale wzięła ją odruchowo, rzucając mu zdumione spojrzenie.

Brunetti nic nie powiedział.

Opuściła głowę i spojrzała na nagłówki. Czekał. W pewnym momencie zauważył, że zacisnęła lewą rękę, zgniatając gazetę i wydając dźwięk, który mógł być słyszalny przy sąsiednich stolikach. Gdy skończyła, odłożyła gazetę na stolik pomiędzy nimi. Nie odrywała od niej wzroku, nie chcąc patrzeć na Brunettiego.

– Co pani dla niego zrobiła? – zapytał swobodnym tonem Brunetti.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – powiedziała. To stwierdzenie było tak nadużywane, że nabrało przeciwnego znaczenia.

– O Franchinim – wyjaśnił Brunetti, wskazując gazetę. – Mężczyzna w parku, mężczyzna, który przez pani partnera wylądował w szpitalu, ale nie wniósł przeciwko niemu oskarżenia. Co pani dla niego zrobiła?

Brunetti zarzucił wędkę. Połączył różne nici; nie wiedział jeszcze, jak się ze sobą splatają, ale wiedział, że nie są bez związku.

– Jak pani woli – stwierdził i wzruszył ramionami. Zaraz jednak uśmiechnął się łobuzersko. – Il marchese Dolfin będzie z pewnością uszczęśliwiony, gdy odzyska swojego Sofoklesa.

– Co swojego? – zapytała nerwowo.

– Swój egzemplarz Sofoklesa. Z drukarni Manucjusza, z tysiąc pięćset drugiego roku. Jestem pewien, że odetchnie z ulgą. – Odczekał chwilę, by to do

niej dotarło, a potem zapytał: – Nie wie pani, czy zauważył jego zniknięcie? Albo tej drugiej książki?

Jej głos był bezbarwny, gdy odpowiedziała:

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Tym razem jej uwierzył.

– O książkach z jego biblioteki. Cennych książkach. Dlatego właśnie uważam, że się ucieszy, jeśli je odzyska. – Zupełnie jakby dopiero w tym momencie przyszło mu to do głowy, uśmiechnął się i powiedział: – I to dzięki pani je odzyska, prawda? – Powstrzymał się przed poklepaniem signory Marzi po ramieniu, by jej pogratulować, ale skinął głową z aprobatą. – Proszę pomyśleć, gdyby nie powiedziała mi pani, że pracuje dla markiza Dolfina, nigdy bym się nie domyślił, że te książki należały do niego.

Podejrzewał, że może za bardzo naciskać, ale zirytowała go zaciętą odmową odpowiedzi na pytania, więc chciał się przynajmniej napawać jej konsternacją, chociaż wiedział, iż to niskie uczucie. Spojrzał jej prosto w oczy, rozplywając się w uśmiechu.

– Czy są dużo warte?

– Bardzo – odparł.

– Ile?

– Nie mam pojęcia. Może dziesięć tysięcy euro. Może piętnaście? – Gdy otworzyła usta, Brunetti dodał: – Być może więcej.

Zaskoczyła go, opierając łokcie na stole i chowając twarz w dłoniach. Usłyszał, że jęknęła. Uderzyło go, że w przeszłości tylko czytał o tym, ale nigdy nie słyszał, żeby ktoś wydał taki dźwięk. Był nieprzyjemny, powinien wezwać na pomoc innych ludzi, gdyby tylko ją usłyszeli i nie wiedzieli, co się stało. Nawet on sam, chociaż jej nie polubił, czuł atawistyczną potrzebę niesienia jej pomocy lub pociechy.

Powiedział tylko:

– Oczywiście markiz będzie chciał się dowiedzieć, jak te książki trafiły w ręce Franchiniego, ale może pani wyjaśnić, że znała go pani już od jakiegoś czasu. Mam nadzieję, że markiz nie okaże się człowiekiem o wąskich horyzontach i nie będzie miał do pani pretensji o to, iż pani były partnerem znał człowieka, w którego domu znaleziono zaginione książki. Ale pani uważała go

za księdza, a nie za złodzieja, prawda? – W tym momencie sam się powstrzymał, nie podobał mu się ton jego własnego głosu, ani to, że dźwięki, jakie wydawała, chociaż cichsze, były nadal słyszalne. Nie podobało mu się również, że goście przy dwóch najbliższych stolikach odwrócili się i patrzyli na niego, jakby uważali go za winnego. Co, jak musiał przyznać, było prawdą.

Signora Marzi oderwała dłonie od twarzy.

– Na zewnątrz – powiedziała, podniosła się i przecisnęła koło niego do drzwi kawiarni.

Na wszelki wypadek zostawił na stoliku dwadzieścia euro. Ostatecznie Caffè Florian to Caffè Florian, a ostatnią rzeczą, jakiej w tym momencie potrzebował, było zostać zawołanym z powrotem, bo nie zapłacił rachunku. Na zewnątrz przystanął na schodach i spojrzął na Piazza z nadzieją, że signora Marzi nie została jeszcze wchłonięta przez tłum.

Była tam, stała koło jednego ze stolików na skraju ogródka przed kawiarnią i trzymała otwartą szeroko torebkę. Dwóch mężczyzn mniej więcej w jego wieku minęło ją, rzucając jej aprobujące spojrzenia. Jeden z nich przystanął, by ją zagadnąć, ale potrząsnęła głową i odsunęła się od nich. Mężczyźni ruszyli dalej, chociaż ten, który się do niej odezwał, obejrzał się, by popatrzeć, jak odchodzi.

Brunetti szedł przez chwilę za nią, a potem przyśpieszył kroku, by się z nią zrównać.

– Signora Marzi – powiedział. – Czy wszystko w porządku?

Odwróciła się i spojrzała na niego spokojnie.

– Wyrzuci mnie z pracy, kiedy się dowie. Wie pan o tym, prawda? – zapytała gwałtownie.

– To zależy od tego, czego się dowie – odparł Brunetti.

– Skoro znalazł pan książki, to znaczy, że Franchini był w jego mieszkaniu. – Brunetti nie potwierdził tego, więc zapytała: – Jak inaczej mógłby je zabrać?

– Z pani pomocą? – podsunął.

– Co?! – zapytała, tracąc równowagę. Oparła się ciężko na lewej stopie i przechyliła się w jego stronę. Odsunęła się od niego, chociaż wyciągnął do niej rękę.

– Pomóc mu? Jemu? *Quello sporco ladro?* – zapytała, z twarzą nabiegłą krwią. Ślina prysnęła jej z ust, gdy wymawiała „sporco”. Przed chwilą przeczytała o śmierci tego mężczyzny, ale nazywała go brudnym złodziejem.

– Kiedy je ukradł? – zapytał Brunetti.

Odwróciła się i zaczęła się od niego oddalać, kierując się na przeciwną stronę Piazza. Szedł za nią przez jakiś czas. W końcu wyminął mężczyznę i kobietę idących ramię w ramię, a gdy znalazł się koło signory Marzi, dostosował się do jej tempa.

– *Signora*, interesuje mnie sprawa morderstwa, nie skradzionych książek – powiedział. To nie była do końca prawda, ale morderstwo miało priorytet przed kradzieżą; interesowało go poważniejsze przestępstwo i mógł zrezygnować z zainteresowania kradzieżą, jeśli to miałyby go przybliżyć do zrozumienia lub wyjaśnienia morderstwa. – Nie obchodzą mnie książki, *signora*. Jeśli to pani pomoże, oddam pani książki, które Franchini zabrał markizowi.

To sprawiło, że stanęła i odwróciła się do niego.

– W zamian za co? – spytała wojowniczo.

– Proszę mi powiedzieć, co pani wie o Franchinim i jak zdobył te książki, a dostanie je pani.

– Ale będę musiała mu je oddać? – zapytała wysokim głosem, z trudem próbując sprowokować go do postawienia warunku.

– Te książki nie mają dla mnie żadnej wartości, *signora*. Może pani z nimi zrobić, co tylko zechce.

Zarówno jej twarz, jak i głos, złagodniały.

– Zawsze był dla mnie dobry. Dał mi tę pracę i ufa mi. Oczywiście, że je oddam.

Brunetti nagle uświadomił sobie, jak zatłoczone jest to miejsce. Wszędzie byli ludzie, całe setki – nawet więcej; spacerowali, stali, robili zdjęcia, nagrywali filmy, pozowali z gołębiami na ramionach, rzucali ptakom ziarno, patrzyli w okna, zatrzymywali się, by porozmawiać z kimś obok. Rozejrzał się po placu Św. Marka i zobaczył wielobarwne morze, na którego powierzchni hałas tworzył wzburzone fale. Zaczął się zastanawiać, gdzie można by pójść, by przed nimi uciec, ale nie zdołał absolutnie nic wymyślić. Nie potrafił znaleźć spokojnego miejsca w promieniu dwóch mostów i pięciominutowego spaceru. Aby pozbyć się widoku ludzi i dźwięku ich głosów, musieliby wejść do baru, sklepu lub kościoła.

– Co się stało? – zapytała.

Nie musiał jej tego mówić. Była wenecką, poznawał to po jej sposobie mówienia.

– Dokąd pani idzie? – zapytał.

– Do pracy – odparła.

Nie miał pojęcia, gdzie to może być, ale mimo wszystko zapytał:

– Czy mogę pójść z panią? Porozmawiamy po drodze.

Jakby przebudzona z głębokiego snu, rozejrzała się, zobaczyła ludzi i usłyszała stłumiony gwar.

– Tak – odpowiedziała. – Tędy.

Odwróciła się w stronę XXII Marzo i zaczęła szybko oddalać się od placu. Gdy zbliżyli się do mostu, ulica stała się szersza, a tłum miał dość miejsca, by się rozproszyć.

Tuż przed mostem oznajmiła:

– Spotykałam się z Aldem przez kilka miesięcy przed tamtym zdarzeniem w parku. Znali się od dawna z Robertem. – Aby mieć pewność, że Brunetti ją zrozumiał, dodała: – Moim byłym partnerem.

Brunetti skinął głową, a ona weszła na most. Zatrzymała się na szczycie i odwróciła się, by spojrzeć na Canale Grande. Zaplotła ramiona, trzymając w jednej ręce torebkę.

– Myślę, że Roberto sprzedawał mu różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Te, które kupował od ludzi.

– Kradzione? – zapytał Brunetti, by zaoszczędzić czas.

– Tak sądzę.

Wiedziała to na pewno, inaczej nie wspominałaby o tym, ale Brunetti nic nie powiedział. Signora Marzi mówiła dalej:

– Czasem były to książki. Widziałam je kilka razy, kiedy jeszcze mieszkaliśmy razem, a Aldo przychodził po rzeczy, które sprzedawał mu Roberto.

I nie zawiadomiła policji – powiedział do siebie Brunetti, ale potem sam się za to zganił, ponieważ większość ludzi także by nie zawiadomiła policji.

– Stare książki? – zapytał, tylko po to, by się upewnić.

– Tak. Przychodził dawniej do naszego mieszkania. Zawsze był bardzo uprzejmy wobec mnie, nawet gdy pojawiał się pod nieobecność Roberta. Więc... więc tak się to zaczęło. Roberto musiał kiedyś wyjechać na kilka dni do Cremony i... no còż, Aldo zawsze był dla mnie bardzo miły. – Odwróciła wzrok od Brunettiego i spojrzała na kanał. – Na początku – dodała.

– Co się zmieniło?

Mówiła dalej, jakby zwracała się do wody.

– Gdy Roberto wrócił po tym, co... się stało, pewnie zachowywałam się inaczej w rozmowach z Aldem albo w jego obecności, a Roberto to zauważył. Wtedy zaczęły się kłopoty.

– Kłopoty?

– Groźby – wyjaśniła i znowu spojrzała na Brunettiego. – Ale kierowane tylko do mnie, zupełnie jakby Aldo nie miał z tym nic wspólnego. Roberto kiedyś pokazał mi pistolet i powiedział, że go użyje, jeśli kiedykolwiek będę rozmawiać z innym mężczyzną. Wtedy poszłam na policję. Moja siostra była przy tym, kiedy to mówił, więc na szczęście miałam świadka. Wyprowadziłam się. Zostawiłam wszystko i wyprowadziłam się. Markiz, dla którego właśnie wtedy zaczynałam pracować, poprosił swojego adwokata, żeby mi pomógł, i dzięki temu zdobyłam ten nakaz dla Roberta.

– A książki? – zapytał Brunetti. – Jak Franchini zdołał je ukraść?

Spojrzała na gondolierów siedzących na ławkach na nabrzeżu, od czasu do czasu zrywających się, by przywitać turystów, którzy podchodzili, chcąc z nimi porozmawiać lub potargować się o cenę. Jakby ktokolwiek mógł wytargować dobrą cenę u gondoliera – pomyślał Brunetti.

Odchrząknęła kilka razy, ale potem zmusiła się, by spojrzeć na niego.

– Markiz pozwolił mi mieszkać w małym apartamencie gościnnym w *palazzo*, póki nie znajdę czegoś większego. – Brunetti patrzył, jak walczy z chęcią zamilknięcia, ale w końcu wyjaśniła: – Aldo czasem przychodził tam ze mną. – Jej głos był ledwie słyszalny poprzez stukot kroków na moście i donośne głosy gondolierów. – Raz, kiedy tam byliśmy, wszedł do innej części *palazzo*, kiedy ja... spałam. – Odsunęła się od balustrady i stanęła prosto. – Wtedy zrozumiałam, czego chciał.

– Czy robił to już wcześniej? – zapytał Brunetti.

Znowu obserwował, jak signora Marzi walczy ze sobą.

– Na pewno tak – powiedziała w końcu.

– Co pani zrobiła?

– Gdy następnym razem do mnie zadzwonił, powiedziałam mu, że między nami wszystko skończone.

– I co?

Odwróciła spojrzenie, zanim mu odpowiedziała.

– Roześmiał się i powiedział, że to prawdziwa ulga.

Brunetti zawsze podziwiał odwagę. Gdy usłyszał, że mówi to spokojnym głosem, jego szacunek dla niej wzrósł.

– Dlaczego rozmawiała pani z nim w parku?

– Zobaczyłam go wtedy po raz pierwszy od czasu tamtej rozmowy. Byłam zaskoczona spotkaniem, więc zatrzymałam się, by zapytać go, czego chce, a on powiedział, że niczego nie chce, siedzi tu tylko i czyta. To właśnie zobaczył Roberto, widział, jak rozmawialiśmy, a kiedy poszłam, zaczął mu grozić. Wtedy miało miejsce tamto zajście.

– Rozumiem – powiedział Brunetti. – Czy kiedykolwiek była pani u Franchiniego w domu?

– Nie. Nie wiedziałam, że mieszka w Castello, dopóki o tym nie przeczytałam. Właśnie teraz. – Machnęła ręką w stronę Piazza i Caffè Florian, i gazety.

Zaczęła schodzić z mostu, prześlizgując się jak węgorz między strumieniami ludzi. Brunetti szedł koło niej. Skręciła w prawo przy sklepie z dywanami, skierowała się w stronę La Fenice, przeszła obok teatru i minęła Ateneo Veneto. Za następnym mostem zatrzymała się i otworzyła torebkę, z której wyjęła pęk kluczy.

– To tu obok – powiedziała, dając jasno do zrozumienia, że Brunetti dalej z nią nie pójdzie.

Zagadnął ją tak, jakby rozmawiali przez dłuższy czas i to było tylko kolejne pytanie:

– Czy miała pani kiedyś wrażenie, że kupował rzeczy także od innych ludzi, nie tylko od Roberta?

Franchini przez całe tygodnie siedział w jednej czytelni z Nickersonem i z pewnością miał okazję zaobserwować jego zachowanie. „Mój brat był złodziejem i szantażystą, kłamcą i oszustem”. Te słowa rozbrzmiewały w głowie Brunettiego jak ulubiony takt melodii.

Przesunęła palcami po kluczach, jakby to był metalowy różaniec. W końcu powiedziała:

– Inni ludzie interesowali go tylko o tyle, o ile mógł znaleźć w nich słabe punkty i wykorzystać je, by dostać od innych to, czego chciał. – Zadzwoiła trzymanymi kluczami. – Ale tak, sądzę, że kupował także od innych.

Brunetti przyglądał się domom po drugiej stronie kanału. Jej głos zastąpiło dzwonienie kluczy, a potem kroki ludzi wychodzących z *calle* i przechodzących przez most.

– Pamiętam – powiedziała – jak kiedyś Roberto pokazał mu książkę, a on powiedział, że ma już jej egzemplarz, ale mimo wszystko ją wziął.

– Pamięta pani, co to była za książka?

– Nie. Dla mnie one wszystkie wyglądały tak samo, stare, oprawione w skórę. Nie wiem, po co ktoś mógłby pragnąć je mieć.

Zanim jeszcze Brunetti zdecydował, że nie będzie próbował jej tego wyjaśnić, dodała:

– Ale skoro mógł je sprzedać za dużą sumę pieniędzy, to znaczy, że są coś warte, prawda?

Skinął głową, dał jej swoją wizytówkę i poprosił, by zadzwoniła na jego *telefonino*, jeśli przypomni sobie coś jeszcze.

Był zaskoczony, gdy wyciągnęła do niego rękę, a jeszcze bardziej zaskoczony tym, że uścisnął ją bez uczucia niesmaku.

Cofnął się i wsiadł w *vaporetto* numer jeden przy Santa Maria del Giglio, by zaoszczędzić czas i ominąć tłumy, chociaż *vaporetto* o tej porze nie było chyba najlepszym pomysłem. Na kilku przystankach pasażerowie wysiadali i wsiadali bez końca, a tłum blokował przejście zarówno od strony statku, jak i nabrzeża. Gdy dotarł do Vallaresso z sześciominutowym opóźnieniem (sprawdził to z zegarkiem w ręku), był już gotów zarekwirować statek lub zadzwonić do Foi i poprosić, by przybył mu na ratunek. Przez resztę drogi uspokajał się wyobrażoną sceną, w której Foa podpływa do znajdującego się w ruchu *vaporetto* – mniej więcej tak, jak wtedy, gdy przyplłynął po nich do Punta della Dogana – a on sam przeskakuje z jednej łodzi do drugiej, podczas gdy pozostali pasażerowie obserwują to z mieszaniną zdumienia i zazdrości.

Odsunął ten scenariusz na bok i skoncentrował się na tym, co powiedziała mu signora Marzi: o mężczyźnie najwyraźniej pozbawionym sumienia, który nie tylko kupował skradzione książki, ale także, jeśli tylko miał okazję, sam je kradł. A jednak w jego mieszkaniu znaleźli tylko siedemnaście tomów, co trudno uznać za kolekcję godną prawdziwego pasera i złodzieja. Nie natrafili na żaden dziennik ani notes z adresami – nawet komputer – tylko na najprostsze rozładowane *telefonino*, w którego pamięci nie został zapisany ani jeden numer i które od ponad trzech miesięcy nie miało połączeń przychodzących ani wychodzących.

W komendzie zatrzymał się w pokoju odpraw, ale nie znalazł tam ani Vianella, ani Pucettiego. Poszedł do gabinetu signoriny Elettry, gdzie zastał ją pogrążoną w rozmowie z komisarz Claudią Griffoni. Signorina Elettra siedziała przy biurku, a Griffoni opierała się o parapet w miejscu, które z biegiem lat Brunetti zaczął uważać za swoje. Umilkły, kiedy wszedł.

– Nie chciałbym paniom przerywać – powiedział bez zastanowienia i dopiero na dźwięk tych słów uświadomił sobie, że zabrzmiał niemal jak zazdrosny mąż.

Claudia roześmiała się.

– Przerwałeś tylko rozmowę o tym, jak dostać się do akt Wydziału Spraw Zagranicznych.

Wspomnienie Claudii Griffoni, mówiącej te słowa tak lekko i ku wyraźnemu rozbawieniu signoriny Elettry, z pewnością kiedyś w przyszłości pozbawi go snu. Wtedy, gdy wszyscy staną się podejrzanymi w śledztwie prowadzonym przez Służbę Bezpieczeństwa w sprawie nieautoryzowanej grabieży informacji – uznał, że może użyć właściwego słowa – do jakiej te dwie kobiety, którym tyle czasu zajęło nawiązanie przyjaźni, były teraz zdolne. Obawiał się, że Pucetti i Vianello zostali przez nie skorumpowani, wessani w cybernetyczną maszynę, która mogła – jak obawiał się, kiedy ogarniały go najczarniejsze myśli – doprowadzić do ich nieuchronnej zagłady.

– Z jakiego powodu? – zapytał spokojnie.

– Krążą plotki – zaczęła signorina Elettra, nie precyzując ani źródła, ani zakresu tych plotek – że komuś w Wydziale udało się zdobyć kopię rozmowy między mafią a członkami rządu. Pomyślałyśmy, że byłoby ciekawie tego posłuchać.

Wiedział, że Rzymianie czcili boginię Fama, zamieszkałą w domu o tysiącu okien i ścianach z dźwięcznego brązu, która słyszała i powtarzała wszystko, początkowo szeptem, później grzmiącym głosem. Z pewnością byłaby zainteresowana powtórzeniem rozmów telefonicznych polityków, nagranych dziesiątki lat temu, w których omawiali poważnie możliwość zawarcia z mafią paktu o nieagresji. Prawda czy fałsz? Fakty czy mity? Sąd Najwyższy wydał wyrok, że taśmy z domniemanymi negocjacjami mają zostać zniszczone, ale Fama twierdziła, że skopiowano je, nim to się stało.

Brunetti pamiętał czasy, gdy obchodziły go takie sprawy, czuł oburzenie i gniew na myśl o tym, że takie rzeczy mogły się dziać, a nawet na myśl o tym, że ludzie wierzą, iż takie rzeczy mogły się dziać. Teraz zaś słuchał i kiwał głową, ani wierząc, ani nie wierząc, chcąc tylko zająć się swoją pracą, a potem wrócić do domu, spędzić czas z rodziną i przeczytać literackie relacje pozostawione przez ludzi, dla których Fama naprawdę była boginią.

– Czy mogę w czymś pomóc, *commissario*? – zapytała signorina Elettra.

Griffoni odsunęła się od parapetu, ale Brunetti zatrzymał ją uniesioną dłonią. Odwrócił się do signoriny Elettry.

– Chodzi o signorę Marzi – powiedział.

Zobaczył w jej spojrzeniu, że niczego nie znalazła, więc był przygotowany, gdy powiedziała:

– Mam jej akt urodzenia, świadectwa szkolne, dokumentację medyczną, certyfikat meldunkowy, historię zatrudnienia, wyciąg z konta bankowego, zwroty z podatku, ale nic niezwykłego. Nigdy nie była aresztowana, raz przesłuchiowano ją jako domniemanego świadka, gdy Franchini został napadnięty, ale nie mogła nic powiedzieć, ponieważ jej przy tym nie było. Ma także nakaz sądowy na byłego partnera, który groził jej w obecności świadka.

Brunetti nie był zaskoczony. Przez jakiś czas żyła z drobnym kryminalistą, ale to nie oznaczało, że sama była przestępcą, wykazała się także lojalnością i wdzięcznością wobec swojego pracodawcy. Mimo że to doceniał, nie potrafił zapomnieć chłodnej obojętności, z jaką ignorowała to wszystko.

Zmienił temat.

– Rizzardi dawał znać? – zapytał.

Signorina Elettra potrząsnęła głową.

– Jest jeszcze za wcześnie – powiedziała, co przypomniało mu, że minął zaledwie dzień od znalezienia Franchiniego.

– A co z darem hrabiny Morosini-Albani dla biblioteki?

Signorina Elettra skinęła głową.

– Dar został przekazany dla upamiętnienia jej zmarłego męża i jego wartość oszacowano wtedy na kilkaset tysięcy euro – powiedziała. – Nie miałam czasu zweryfikować wartości poszczególnych tomów, więc to jedyna kwota, jaką ustaliłam – dodała z nutą rozczarowania.

Po chwili odezwała się znowu.

– Rozmawiałam z ludźmi z kilku innych bibliotek i wszyscy twierdzą, że mają wdrożone systemy zapobiegające kradzieżom.

Brunetti spojrział na Griffoni, która uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

– Wysłałam im ksero zdjęcia paszportowego Nickersona oraz jego list polecający i zasugerowałam, by sprawdzili, czy bywał w ich bibliotekach.

– I co? – zapytał Brunetti.

– Nikt nie wiedział. Ale wszyscy powiedzieli, że poszukają w bazach jego

nazwiska.

– A jeśli używał innego nazwiska? – wtrąciła Griffoni. – Jakie bazy zamierzają sprawdzić?

– Czy jedną z nich jest centralna baza osób, które ukradły coś z innych bibliotek? – zapytał Brunetti.

Jedyną odpowiedzią signoriny Elettry było gniewne prychnięcie.

Brunetti odwrócił się do Griffoni.

– Chcesz przejść się do Castello i razem ze mną rzucić jeszcze raz okiem na jego mieszkanie? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Daj mi chwilę, tylko wezmę kurtkę.

Po drodze potwierdziła, że zna wszystkie fakty w tej sprawie; wiedziała nawet o signorze Marzi i Robercie Durà. Brunetti opowiedział jej o spotkaniu z Marzi i o swojej pewności, że Franchini zajmował się kradzieżą książek oraz skupowaniem skradzionych egzemplarzy.

Griffoni najwyraźniej znała fascynację rzadkimi książkami, podzielaną przez tak wielu ludzi. Gdy zapytał ją o to, wyjaśniła, że miała kiedyś *fidanzato*, który badał rękopisy muzyczne w Bibliotece Girolamini.

– Był przekonany, że znajduje się tam zaginiony rękopis *Ariadny* Monteverdiego – powiedziała.

Zauważyła zaskoczenie Brunettiego, więc wyjaśniła:

– Ta opera była wykonywana za jego życia i zachowały się egzemplarze libretta, ale muzyka zaginęła, poza *Lamentem Ariadny*. – Zobaczyła, że go to zainteresowało. – O ile dobrze zrozumiałam jego słowa, to jest dla muzykologów coś jak potwór z Loch Ness; dawno temu widziano podobno ten rękopis i ludzie wierzą, że gdzieś nadal istnieje.

– Byłaś kiedykolwiek w Girolamini?

Zatrzymała się, jakby nie mogła jednocześnie iść i mówić o tym.

– Tak, to było jak rajski ogród. Mają tam ponad sto tysięcy woluminów, setki inkunabułów. Mój przyjaciel przychodził tam ze względu na rękopisy muzyczne, ale ja spędziłam dwa dni, przeglądając książki o historii Neapolu, naprawdę niezwykle pozycje.

– Teraz jest zamknięta, prawda? – spytał Brunetti.

– Karabinierzy wszystko opieczętowali, kiedy tam weszli. – Ruszyła przed siebie. – Kamień by zmiękł na ten widok. To miejsce zostało obrabowane.

– Dlatego to, co wydarzyło się w Meruli, robi wrażenie drobnej kradzieży – zauważył Brunetti.

– Obcinałabym im ręce – powiedziała gwałtownie.

– Słucham?

– Ludziom, którzy kradną książki, niszczą obrazy lub inne przedmioty. Obcinałabym im ręce.

– Mam nadzieję, że mówisz to w przenośni – stwierdził, zastanawiając się, czego obecnie uczy się dzieci w szkołach w Neapolu.

– Oczywiście że mówię w przenośni. Zająłabym wszystko, co do nich należy, aż zapłaciliby za to, co zniszczyli lub ukradli, albo trzymałabym ich w więzieniu, dopóki nie spłaciliby wszystkiego.

– A gdyby nie mogli spłacić? – zapytał.

Zatrzymała się gwałtownie, żeby na niego spojrzeć.

– Przestań traktować to tak dosłownie, Guido, wiesz, że nie o to mi chodzi. Ale takie rzeczy doprowadzają mnie do szoku. Daliśmy światu tyle piękna, a teraz patrzymy, jak to jest kradzione, niszczone... i przepada. – Urwała myśl i poszli dalej; w końcu przeszli przez most na *campo* i zobaczyli przed sobą dom Franchiniego.

Brunetti wpuścił ich do środka dzięki zabranym kluczom. Gdy wchodzili po schodach, Griffoni zapytała:

– Czy wiemy, czego mamy szukać?

Brunetti zatrzymał się przed drzwiami mieszkania i włożył klucz do zamka.

– Czy obiecujesz się nie śmiać, jeśli powiem, że szukamy czegokolwiek, co może się wydać podejrzane?

– Nie doliczyłabym się miejsc, w których szukałam „czegokolwiek, co może się wydać podejrzane”.

– Czy kiedykolwiek coś znalazłaś?

– Raz znalazłam dwadzieścia kilogramów kokainy.

– Gdzie?

– W przedszkolu prywatnym na przedmieściach Neapolu. Jego właścicielka była kuzynką lokalnego bossa. W kuchni wybuchł pożar, a strażacy znaleźli to, schowane w szafce, i zadzwonili po nas.

– I co było dalej?

– To, co zawsze. Nic.

– Jak to?

– Skonfiskowaliśmy narkotyki, ale tej samej nocy zniknęły z magazynu komendy. Dlatego nie mieliśmy żadnych dowodów, a wszyscy pracownicy kuchni przysięgali, że to była mąka.

Otworzył drzwi i przytrzymał je, żeby ją przepuścić.

– Zmyśliłaś to?

– Nie. Chciałabym zmyślać.

Wszedł za nią do środka i zapalił światło.

– No dobrze – powiedział. – Cokolwiek, co może się wydać podejrzane.

Godzinę później nie zdołali znaleźć niczego, co mogło się wydać podejrzane. Przed wejściem Brunetti uprzedził Griffoni o krwi na ścianach i podłodze, a ona powiedziała mu, że pierwszą ofiarę mafii, leżącą na ulicy naprzeciwko szkoły, widziała, gdy miała sześć lat.

Franchini miał kosztowną garderobę: szyte na zamówienie koszule, pięć kaszmirowych marynarek i niezliczoną ilość bardzo drogich butów. Pod łóżkiem ani pod materacem nic nie zostało schowane, a na górnej półce garderoby znajdowały się wyłącznie pościel i ręczniki. Rezerwuar w toalecie zawierał tylko wodę, apteczka zaś – aspirynę i pastę do zębów. W biurku w gabinecie Brunetti znalazł wyciągi z konta bankowego, z których wynikało, że Franchini pobierał emeryturę w wysokości sześciuset pięćdziesięciu dziewięciu euro miesięcznie.

Brunetti, w złym humorze, ponieważ jego intuicja nie została szybko wynagrodzona, przeglądał pobieżnie pozostałe papiery na biurku Franchiniego, rachunki za wodę, prąd, gaz i wywóz śmieci. Jego myśli pobiegły, jak to się czasem zdarzało, do przeczytanych książek i przypomniał sobie opowiadanie o detektywie wysłanym do przeszukania domu podejrzanego, by znaleźć ważny list. Chociaż szukał wszędzie, nie znalazł absolutnie niczego – to znaczy aż do

chwili, gdy zauważył plik listów leżących na widoku w pokoju. Tam właśnie był ten list, schowany wśród innych papierów.

Odłożył teczkę z odcinkami emerytury Franchiniego na biurko i podszedł do regału z książkami. Przykląkł przy nim – włamywacz powiedział mu kiedyś, że ludzie zawsze starają się schować rzeczy przed złodziejami w miejscach najbliżej podłogi – i wyciągnął współczesne wydanie *Mandragory Machiavellego* w twardej oprawie. Przekartkował książkę, otworzył ją w środku, przeczytał kilka wierszy, zamknął i odłożył na podłogę. Obok stały *Rozważania nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Tytusa Liwiusza*, które Brunetti zawsze wołał od *Księcia*. Gdy otworzył książkę, by przeczytać kilka akapitów, poczuł, że coś wysuwa mu się spod palców. Złapał to w locie prawą ręką i wyciągnął jak nóż z pochwy. Zobaczył nadgryzioną zębem czasu brązową safianową oprawę i wszystko zrozumiał.

– Claudio – zawołał, podnosząc się na nogi.

Po chwili wyłoniła się z kuchni, gdzie przeszukiwała szafki. W prawym ręku trzymała obieraczkę do ziemniaków; zobaczyła, że Brunetti wpatruje się w narzędzie, więc wyjaśniła:

– Można tego użyć zamiast śrubokrętu. Próbuje zdjąć listwę podłogową.

– Wydaje mi się, że to może poczekać – powiedział i podniósł okładkę wraz ze znalezioną w środku książką. – Patrz, na co trafiłem.

Griffoni miała na sobie gumowe rękawiczki, ale Brunetti zapomniał włożyć swoje. Położył książkę na podłodze i wyjął rękawiczki z kieszeni, a potem podniósł tom z powrotem, żeby przyjrzeć się okładce.

– To po hebrajsku – powiedział, podając Griffoni książkę.

Otworzyła ją i oboje przyjrzeni się tekstowi w dwóch kolumnach, pięciu iluminowanym literom na początku prawej strony. Zamknęła książkę, ale nie wiedzieli nic więcej o tym tekście niż w chwili, gdy ją otwierała.

– Gdzie to było? – zapytała.

– Schowane w książce – powiedział, podniósł pustą okładkę i włożył do środka tekst hebrajski.

– Szczwany lis – powiedziała, niezdolna do ukrycia podziwu.

Popatrzyła na grzbiety książek pozostałych na regale.

– Wszystkie? – zapytała, oceniając czekającą ich pracę.

– To w końcu coś, co może się okazać podejrzanę – powiedział Brunetti. – Więc możemy zrobić chociaż tyle.

Sięgnął po kolejną książkę.

Godzinę później skończyli przeglądać wszystkie książki na regale i znaleźli jeszcze trzydzieści siedem zabytkowych tekstów ukrytych we współczesnych wydaniach – tak wiele, że Brunetti musiał zadzwonić do Foi i poprosić go, żeby po nich przypląnął. Pod ścianą po lewej zostawili stosy odrzuconych książek, kaskady książek, pagórki książek, część nietkniętych, a część wypatroszonych, których Franchini używał jako kamuflażu.

Oprócz książek znalazł – ukryte w pierwszym wydaniu *Das Kapital* Marksa – wyciągi z prywatnego banku w Lugano i drugiego, w Luksemburgu, zawierające łącznie w depozytach milion trzysta tysięcy euro. Większość z tego wpłynęła na konta w postaci wpłat gotówką, ale było też sporo przelewów; podejmowane środki zawsze były w gotówce. Ponieważ teraz śledztwo dotyczyło morderstwa, a nie tylko kradzieży, banki mogły zostać zmuszone do ujawnienia źródeł tych przelewów. Brunettiemu przyszło do głowy, że ludzie z wydziału do spraw kradzieży dzieł sztuki także mogą być zainteresowani numerami kont, z których przelewano pieniądze.

Brunetti pomyślał wcześniej o tym, by poprosić Foę o przyniesienie dwóch kartonowych pudeł, więc kiedy pilot zadzwonił z dołu, Brunetti wpuścił go do środka. Przez ten czas razem z Griffoni zdążyli już wynieść wszystkie książki na korytarz i położyć je w stosach na stole przy drzwiach. Kiedy wszedł Foa, Brunetti poprosił pilota, który nie miał rękawiczek, by przytrzymał pudła, najpierw jedno, a potem drugie, podczas gdy on i Griffoni wkładali do nich książki.

Wyszedszy na klatkę schodową, Brunetti zamknął drzwi na klucz, wziął jedno pudło od Foi i zaczął schodzić na dół.

– Co z książkami, które zostawiliśmy? – zapytała Griffoni.

Brunetti wzruszył ramionami. Ktoś będzie musiał odłożyć je na półki, zapewne brat Franchiniego, jeśli postanowi zatrzymać ten dom. Jego uwagę zaprzętały wyciągi bankowe i zastanawianie się, kogo mógłby zapytać o wartość znalezionych właśnie książek. Depozyty bankowe, pełne przejrzystych cyfr, nie pozostawiały pola do interpretacji.

Gdy wyszli z domu Franchiniego, Brunetti z zaskoczeniem stwierdził, że *campo* pogrążyło się w ciemności. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że minęła dziewiąta; spędzili w środku ponad trzy godziny, a on był zarówno wyczerpany, jak i – kiedy się teraz nad tym zastanawiał – bardzo głodny. Ale sprawy wreszcie ruszyły z miejsca, więc zignorował znużenie i głód.

Gdy skręcili w kanał prowadzący do komendy, Brunetti szukał w myślach ludzi, którzy mogliby mu pomóc. Przyszedł mu do głowy ktoś mieszkający teraz w Rzymie, z kim nie rozmawiał od wielu lat. Sella dziesięć lat temu był zaręczony z kuzynką Brunettiego i od tamtego czasu utrzymywał z nim luźne kontakty.

– Dlaczego nie? – zapytał na głos.

– Słucham? – zawołała Griffoni, przekrzykując warkot silnika.

– Znam kogoś. – Brunetti podszedł do niej bliżej. – Może nam powiedzieć, ile są warte te książki. – Pomyślał, że już kosztowały Franchiniego życie, ale nie widział powodów, by mówić to na głos. Zanim jeszcze podpłynęli do komendy, wybrał numer Selli.

Darował sobie zwyczajowe grzeczności i od razu zapytał, czy Sella potrafiłby określić w jakiś sposób rynkową wartość pewnej liczby książek.

– Guido – powiedział Sella w nagłej ciszy, która zapadła, gdy Foa zgasił silnik – nie mam pojęcia, dlaczego dzwonisz do mnie o takiej porze i nie wiem, w jakim stuleciu w swoim mniemaniu żyjesz.

– Co takiego? – zapytał Brunetti, w obawie, że dźwięk silnika zagłuszył wcześniej coś, co mówił Sella.

– Słyszałeś kiedyś o internecie?

– Co masz na myśli?

– Możesz tam znaleźć prawie wszystko. – Milczenie Brunettiego musiało przypomnieć Selli, z jakim człowiekiem rozmawia, ponieważ po chwili powiedział: – Jeśli prześlesz mi dane bibliograficzne, Guido, znajdę to dla ciebie. Wiesz, że Regina jest psychologiem? – zapytał Sella, zanim Brunetti zdążył mu podziękować. Miał na myśli swoją żonę.

Brunetti zapomniał o tym, ale odpowiedział:

– Tak, wiem. Dlaczego pytasz?

– Według jej terminologii coś takiego nazywa się wyuczoną bezradnością –

oznajmił Sella. – Widziałeś te książki, o których mówisz? – zapytał.

Brunetti zignorował pierwszą uwagę.

– Część z nich – odparł. Uderzenie łodzi o nabrzeże sprawiło, że zachwiał się lekko, ale nie odrywał ręki od telefonu i uwagi od tej rozmowy.

– W jakim stanie twoim zdaniem były? – zapytał Sella.

– Te, które widziałem, wydawały się w dobrym, ale nie jestem specjalistą.

– No cóż – roześmiał się Sella. – Ja jestem. Prześlij mi listę wszystkiego, co zostało zapisane na kartach tytułowych, i powiedz mi, jeśli coś wyda ci się w złym stanie. – Umilkł na dłuższą chwilę, zanim zadał kolejne pytanie. – Czy słusznie się domyślam, że to kradzione książki?

– Tak.

– Zatem będą w dobrym stanie.

– Dlaczego jesteś tego taki pewny?

– Nikt nie zawracałby sobie głowy kradzieżą książki w złym stanie.

Potrzebowali ponad godziny, by dodać trzydzieści osiem tytułów i ich dane bibliograficzne do listy zawierającej już pozostałe książki. Griffoni siedziała przy komputerze, a Brunetti otwierał książki jedna po drugiej i odczytywał informacje ze strony tytułowej: autora, datę i miejsce wydania. Tak jak przepowiadał Sella, wszystkie książki były w bardzo dobrym stanie, na ile Brunetti potrafił to ocenić. Robota szła im wolno, bo jeśli książka zawierała pieczęć biblioteki lub ekslibris, Griffoni nanosiła te informacje na drugą listę, nieprzeznaczoną dla Selli.

Dwadzieścia jeden książek pochodziło z bibliotek, a trzy miały oznaczenia wskazujące, że są z prywatnych zbiorów; na dwóch był ekslibris z delfinem i inicjałami P.D. Brunetti podejrzewał, że czternaście pozostałych zostało zabranych z innych kolekcji, przez Franchiniego lub przez osobę, która sprzedała mu książki. To samo dotyczyło tych z pieczęciami bibliotecznymi. Jeśli chodziło o listę jego klientów, Franchini najprawdopodobniej przechowywał ją w głowie, chociaż wyciągi z kont bankowych mogły przynieść jakieś nazwiska.

Jeśli Sella był tak dobry, jak zawsze się przechwalał Brunettiemu, powinien szybko ustalić ich wartość.

Gdy listy zostały sporządzone, a pierwszą z nich przesłali do Selli, Griffoni odwróciła się od ekranu i spojrzała na Brunettiego.

– Co dalej? – zapytała.

– Zobaczymy, co przyszło, a potem wrócimy do domów – powiedział Brunetti i skinął głową w stronę komputera. Zamienili się miejscami. Pierwszy e-mail był od Rizzardiego, który potwierdził, że trzy ciosy zadane ciężkim twardym przedmiotem, najprawdopodobniej butem, rozbiły czaszkę i złamały szczękę ofiary. Cios w szczękę, chociaż sam w sobie nie był śmiertelny, stał się źródłem obfitego krwawienia. Kopnięcia w tył głowy rozbiły czaszkę i spowodowały uszkodzenia mózgu tak ciężkie, że śmierć była nieunikniona. Były też inne ślady przemocy: siniaki na przedramionach i jeszcze jeden na prawym ramieniu, którym Franchini uderzył w ścianę lub o podłogę. W prawej dłoni miał wbity drzazgę z podłogi.

Rizzardi pisał, że po kopniakach w tył głowy mężczyzna mógł jeszcze żyć kilka minut, ale już bardzo krótko. Chociaż mięśnie mogły jeszcze pozwolić mu wstać na nogi i zrobić kilka kroków w instynktownej próbie ucieczki, ciosy zapoczątkowały proces, który prowadził już tylko do śmierci, gdy mózg zaczął wyłączać kolejne systemy potrzebne do podtrzymania życia. W ostatnim zdaniu, jakby w odpowiedzi na pytanie Brunettiego, patolog dodał: „Nie wydaje się prawdopodobne, by odczuwał ból poza chwilą samego zadania ciosów. Odnosił na tyle silne obrażenia mózgu, że nie zdawał sobie sprawy, co się z nim dzieje”.

Czyli oszczędzono mu świadomości, że jest ranny i umierający. Ale jak Rizzardi mógł być tego pewien? I dlaczego uważał za istotne powiadomienie o tym Brunettiego?

Bocchese przysłał e-mail z informacją, że trzy ślady pozostawione w pokoju to ślady prawego buta w rozmiarze czterdzieści trzy, z grubą podeszwą waflową. Nie spekulował, dlaczego inne ślady zniknęły, chociaż dodał, że w nocy po morderstwie padał ulewny deszcz, co uniemożliwiało znalezienie śladów krwi na *campo* przed domem.

Technik przekazał także ustalenia dotyczące odcisków palców. Stwierdził, że jego laboratorium miało czas zbadać tylko kartki przylegające do kartek wyciętych z książek z Biblioteki Merula. Na żadnej z nich nie znaleziono odcisków palców zmarłego, chociaż na wszystkich były odciski pozostawione

przez tę samą nieznaną osobę oraz wiele innych, niezidentyfikowanych. Odciski palców dottoressy Fabbiani, a także strażnika, którego Bocchese nazwał Pietro Sartorio, znajdowały się na oprawie Cortésa oraz na części zbadanych kartek.

W trzecim akapicie napisał, że krew znaleziona w mieszkaniu należała tylko do ofiary. Na ubraniu zamordowanego znaleziono ślady obcego DNA, ale te informacje były bezużyteczne aż do chwili aresztowania podejrzanego, gdy będzie można dopasować próbki. Albo i nie.

Brunetti odsunął się, by pozwolić Griffoni przeczytać oba e-maile.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– Tyle brutalności – powiedziała i dodała twardszym głosem: – Kopniaki. Ktokolwiek to zrobił, stracił nad sobą panowanie. Nikt nie planuje czegoś takiego.

Brunetti zgadzał się z nią. To był atak furii lub szaleństwa.

Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest już po północy.

– Chyba powinniśmy wracać do domu – powiedział, ponieważ potrzebował się oddalić od myśli o przemoc i szaleństwie. – Któryś z pilotów powinien mieć nocny dyżur. Możemy popłynąć razem, ja mieszkam po drodze – dodał, chociaż pamiętał tylko mgliście, że Griffoni mieszka w Canareggio, w pobliżu Misericordia. Skinęła głową i razem wyszli z komendy.

Następnego dnia Brunetti przyszedł do pracy wcześniej rano i czekał na krzesle przed laboratorium Bocchese, czytając gazetę. Obok krzesła, na podłodze, stały dwa pudła z książkami. Technik pojawił się o ósmej.

– Możesz sprawdzić oprawy, tylko oprawy? – zapytał Brunetti zamiast powitania.

– Pod kątem odcisków palców? – spytał Bocchese, otwierając drzwi kluczem.

Brunetti pochylił się, wziął jedno pudło i wszedł za technikiem do laboratorium.

– Tak – odparł i wyszedł po drugie pudło.

– Czy w ogóle spałeś w nocy? – Technik zapalił światło.

– Bardzo niewiele – przyznał Brunetti, stawiając drugie pudło. – Możesz to zrobić? Dzisiaj przed południem?

– A dałbyś mi spokój, gdybym tego nie zrobił? – zapytał Bocchese. Zdjął kurtkę, żeby włożyć biały fartuch laboratoryjny. Podeszedł do biurka i przyciskiem ożywił komputer.

– Nie – przyznał Brunetti.

– Nie zawracaj mi głowy do południa – polecił Bocchese, podniósł pierwsze pudło i przeniósł je na stół pod ścianą. – Idź już, zrób sobie kolejną kawę i nie przeszkadzaj mi.

Nerwowy z powodu braku snu i za dużej ilości kawy Brunetti nie mógł się doczekać wezwania, więc o jedenastej zszedł do gabinetu Patty, ponieważ słusznie przypuszczał, że o tej porze jego zwierzchnik może przybyć do pracy. Brunetti natknął się na niego na korytarzu przed gabinetem, rozmawiającego ze swoim asystentem, porucznikiem Scarpą.

– Ach, *commissario* – powiedział Patta. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Brunetti skinął głową na powitanie i podeszedł do nich, postanowiwszy zignorować uwagę *vice-questore*.

– Przyszedłem, żeby przekazać panu, co ustaliliśmy w sprawie śmierci Alda Franchiniego, *dottore* – powiedział ze sztywną formalnością.

W oczekiwaniu na odpowiedź Patty Brunetti rozważał sytuację pod kątem stopni w hierarchii służbowej: Patta mógł powiedzieć właściwie co tylko chciał do każdego z nich; Brunetti mógł odnosić się z bierną agresją do Patty, a z czynną do Scarpy; podczas gdy Scarpa mógł tylko traktować Pate z szacunkiem i uległością, nie ośmielał się też okazywać ironicznego braku szacunku Brunettiemu. Jednakże wszyscy trzej odnosili się z najwyższą uprzejmością do signoriny Elettry. Patta zapewne z powodu nieuświadomionego strachu; Brunetti ze szczerego podziwu; Scarpa zaś z aktywnej niechęci połączonej z lękiem, do którego sam przed sobą się nie przyznawał.

– Co takiego ustaliliście? – zapytał Patta energicznym głosem przywódcy.

Scarpa, wyższy od Patty i wzrostu Brunettiego, spojrział na niego, jakby uważał, że należy mu się jakieś wyjaśnienie. Od czasu do czasu okazywał ciekawość w taki sposób, w jaki wąż co pewien czas wykazuje zainteresowanie temperaturą.

– Najprawdopodobniej znał mordercę. Zostawił w salonie otwartą książkę, gdy poszedł otworzyć drzwi, i wrócił do tego samego pomieszczenia z osobą, która go zabiła.

– Jak został zabity? – zapytał Patta i dodał: – Nie miałem czasu, by przeczytać raport patologa. – Nie miał także czasu, dodał w myślach Brunetti, zapamiętać przez te wszystkie lata nazwiska patologa.

– Dottor Rizzardi twierdzi, że Franchini został przewrócony lub rzucony na podłogę i kopnięty kilkakrotnie w głowę, miał jednak dość sił, by jeszcze próbować się podnieść. Zmarł z powodu obrażeń głowy, najprawdopodobniej chwilę po ataku.

– A jego morderca? – wtrącił się Scarpa. Natychmiast odwrócił się do Patty. – Jeśli pan pozwoli, że zapytam, *vice-questore*. – Gdyby nosił kapelusz z piórem, zdjąłby go w tym momencie i skłonił się, zamiatając podłogę gestem pełnym wdzięku.

Brunetti zwracał się bezpośrednio do Patty.

– Nie mamy żadnych informacji wskazujących na jego tożsamość, *dottore*.

Znaleźliśmy jednak dowody świadczące o tym, że Franchini był zamieszany w kradzieże książek z bibliotek i zbiorów prywatnych, a to może doprowadzić nas do mężczyzny, który go zamordował.

– Mężczyzny? – zapytał Scarpa. Gdyby głosy miały brwi, jego właśnie by się uniosły.

– Mężczyzny – potwierdził Brunetti. – Chyba że była to kobieta w butach rozmiaru czterdzieści trzy.

– Słucham? – Tym razem był to Patta.

– Znaleźliśmy trzy odciski buta w rozmiarze czterdzieści trzy.

– Trzy? – zapytał Scarpa, jakby uważał, że Brunetti próbuje opowiedzieć jakiś dowcip, którego on nie potrafi zrozumieć ani docenić. Brunetti odwrócił się i patrzył na niego, aż porucznik odwrócił spojrzenie.

– Coś jeszcze? – zapytał Patta.

– Nie, *dottore*.

– Co robicie w tej sprawie? – zapytał Patta spokojniejszym głosem.

– Czekam na odpowiedź z banków w Lugano i Luksemburgu, żeby dowiedzieć się, kto przelewał pieniądze na konta Franchiniego, zapewne w charakterze zapłaty za kradzione książki. Czekam też ciągle, czy Interpolowi uda się zidentyfikować mężczyznę, który nazywał siebie Nickersonem.

– Kogo? – zapytał Patta.

– To nazwisko używane przez mężczyznę, który ukradł karty z książek w Bibliotece Merula – wyjaśnił spokojnie Brunetti, zupełnie jakby uważał, że jego przełożony nie miał wcześniej żadnych powodów, by znać to nazwisko. – Skontaktowaliśmy się z wydziałem do spraw kradzieży dzieł sztuki i z Interpolem, ale nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi.

Patta przybrał udręczony wyraz twarzy i westchnął, jakby on także znał poważne opóźnienia w działaniu Interpolu.

– Rozumiem, rozumiem – powiedział i odwrócił się. – Daj mi znać, kiedy się czegoś dowiesz.

– Oczywiście, *vice-questore* – odparł Brunetti, zignorował porucznika i poszedł sobie.

Po drodze do swojego gabinetu zatrzymał się w pokoju odpraw i dowiedział

się od Vianella, że długie godziny wypytywania w okolicy nie przyniosły niczego przydatnego. Jeśli sąsiedzi pamiętali Franchiniego, to jako chłopca, a potem młodego księdza; nikt z nich nie miał z nim kontaktu, odkąd po śmierci rodziców powrócił, by zamieszkać w rodzinnym mieszkaniu. Nikt, z kim rozmawiali Vianello lub Pucetti, nie widział nic dziwnego w jego izolacji. Najwyraźniej zakładali, że decyzja o porzuceniu stanu duchownego w jakiś sposób przesunęła go poza granice ludzkich relacji.

Nikt nie mógł, lub też nie chciał, nic o nim powiedzieć; nikt też nie pamiętał, by widziano go w czyimś towarzystwie. Wszyscy, z którymi rozmawiali, wyrażali zdumienie, że został zamordowany.

Po powrocie do gabinetu Brunetti usiadł za biurkiem i myślał o Tertulianie – nie o tym, który zdaniem świętego Hieronima dożył wyjątkowo sędziwego wieku, ale o tym skopanym na śmierć w Castello.

Wyraźnie nie utrzymywał on bliskich kontaktów z innymi ludźmi. Cotygodniowe telefony od brata, nawet po tym, jak ukradł część ich wspólnego spadku, oraz kobietę, którą uwiódł, by ukraść książki, trudno było liczyć. Chciał wybić się w świecie i robił to za pomocą kradzieży, uwodzenia i szantażu.

Myśli Brunettiego pobiegły do drugiego Tertuliana, a ciekawość sprawiła, że włączył komputer i zaczął go poszukiwać. Gdy go znalazł, sprawdził, co takiego mówił, lub też co takiego mu przypisywano. „Cały owoc jest już obecny w nasieniu”. „Z patelni prosto w ogień”. Czyli stąd się wzięło to powiedzenie. I jeszcze to: „Ten, kto żyje tylko dla siebie, oddaje światu przysługę, gdy umiera”. Doprawdy, pierwsi chrześcijanie byli okrutni. Kolejna myśl: „Gdy twierdzisz, że jesteś chrześcijaninem, ale grasz w kości, mówisz nieprawdę, ponieważ pozostajesz poróżniony ze światem”.

Brunetti skomentował to półgłosem, jak zawsze, gdy książka twierdziła coś, z czym się nie zgadzał. W tym przypadku przyszło mu do głowy tylko jedno: Co złego jest w grze w kości?

W tym momencie sobie przypomniał, jak Sartor dystansował się od hazardu, nazywając go *roba da donne*. Kobięce sprawy. Dlaczego Sartor szacowałby prawdopodobieństwo płci nienarodzonego dziecka, gdyby nie interesował się hazardem? Dlaczego miałby kieszeń pełną kuponów loterii? Czy kłamałby w tak trywialnej sprawie, a jeśli tak, to dlaczego? Aby nie skompromitować się w oczach policji? W oczach policji?!

Spojrzał na zegarek i zobaczył, że są trzy minuty po dwunastej. Podniósł słuchawkę i wybrał numer Bocchesego.

– Zamieniasz się w marudną starą babę, Guido – przywitał go technik.

– Miałeś okazję sprawdzić te książki?

– Marudną, niecierpliwą starą babę – poprawił się Bocchese.

– Ile?

– Zaczekaj chwilę. – Dźwięk stał się stłumiony, gdy Bocchese zatkał słuchawkę ręką i krzyknął coś do kogoś, kto był z nim w laboratorium. Wrócił do rozmowy. – Trzynaście.

– Są tam odciski palców Sartora – nie Sartoria – tego strażnika?

Dźwięk znowu stał się stłumiony, a Brunetti słyszał tylko szum i grzmienie głosu Bocchesego. Technik wrócił.

– Sześć.

– Gdzie?

– Na okładkach.

– Znaczący księzek nazywają to oprawą – powiedział Brunetti. Miał nadzieję, że brzmi jak marudna, niecierpliwa i pedantyczna stara baba. Aby rozwiać wszelkie wątpliwości co do tego, zapytał: – Czy pochodzą z Biblioteki Merula?

– Och, na miłość boską – powiedział Bocchese i głośno położył słuchawkę na biurku. Brunetti słyszał jego oddalające się kroki. Po chwili powróciły, równie gniewne, a Bocchese powiedział: – Tak. Jego odciski są na oprawach – to słowo wymówił z wyraźnym naciskiem – wszystkich sześciu księzek z Biblioteki Merula.

– Dziękuję – powiedział Brunetti. – Kiedy z nimi skończysz?

Bocchese westchnął teatralnie.

– Jeśli interesują cię tylko jego odciski palców, będę mógł ci coś powiedzieć jutro rano. – Podsunął jeszcze, zapewne po to, by oszczędzić Brunettiemu trudu dalszego marudzenia: – Jeśli obiecasz, że nie będziesz dzwonić i się dopytywać, może późnym popołudniem.

– A jeśli chcę coś wiedzieć o wszystkich odciskach?

– Minimum dwa dni.

– Będę czekać na twój telefon – powiedział Brunetti i odłożył słuchawkę.

Rozbieżność między lekceważącym określeniem przez Sartora hazardu jako *roba da donne* a jego oczywistym zainteresowaniem była tak nieistotna, że mogła nic nie znaczyć. Może losy loterii były rzeczywiście dla jego żony i może zainteresowanie dzieckiem koleżanki z pracy brało się tylko z niewinnej troski. Ale jego odciski palców były na tych książkach. Brunetti wyjął książkę telefoniczną, otworzył ją na C i wyszukał numer *casinò*, miejsca, które często pojawiała się w policyjnych śledztwach, chociaż nie w ciągu ostatniego roku. Wybrał numer centrali, podał swoje nazwisko i poprosił o połączenie z dyrektorem.

Rozmowa została przełączona natychmiast i bez dalszych pytań; Brunetti zastanawiał się, czy o to chodziło Franchiniemu, gdy mówił o wybiciu się w świecie.

– Och, dottore Brunetti – usłyszał pełen niezwyklej życzliwości głos dyrektora. – Czy mógłbym panu czymś służyć?

– Dottore Alvino – odparł Brunetti głosem słodkim jak miód. – Mam nadzieję, że wszystko u państwa się dobrze układa.

– Ach – rozległo się długie westchnienie. – Na tyle, na ile to możliwe.

– Nadal macie straty? – zapytał Brunetti, jakby dowiadywał się o zdrowie chorego.

– Niestety tak. Nikt tego nie potrafi wyjaśnić.

Brunetti by potrafił, ale to była przyjacielska rozmowa, więc powiedział tylko:

– Jestem pewien, że sprawy złączą się układać pomyślniej.

– Możemy tylko liczyć na odmianę losu – oznajmił Alvino z taką samą wiarą, jaką wykazywali jego klienci. – Co mógłbym dla pana zrobić, *dottore*? – zapytał.

– Chciałbym poprosić o pewną przysługę.

– O przysługę?

– Tak, chciałbym, żeby udzielił mi pan pewnych informacji.

– W jakiej sprawie, jeśli wolno zapytać?

– W sprawie... – Jak należało nazywać tych nieszczęsnych, otumanionych naiwniaków? – W sprawie pańskiego klienta lub domniemanego klienta.

– O jakie informacje chodzi?

– Chciałbym wiedzieć, jak często państwa odwiedzał, czy wygrywał, czy też przegrywał, i ile.

– Jak pan wie, jesteśmy zobowiązani do rejestrowania wszystkich gości – powiedział *dottore* Alvino, udając, że Brunetti na przestrzeni lat nie stał się ekspertem od przepisów prawnych regulujących działalność kasyna, jak również od nieco mniej formalnych zasad organizacyjnych. – Rzecz jasna mamy więc nazwiska osób, które nas odwiedzają, wraz z odpowiednimi datami. Z przyjemnością je panu udostępnię. – Dyrektor pozwolił sobie na znaczącą pauzę. – Czy może jest to nakaz sądowy?

– *Dottore*, to niezwykle przenikliwe pytanie. Widzi pan, zależy nam w tej sprawie na czasie, dlatego pomyślałem, że skontaktuję się z panem bezpośrednio. Osobiście.

– W sprawie przysługi?

– Tak. Przysługi. – W ten sposób właśnie działało kasyno; Brunetti położył żeton na stole i zaproponował dyrektorowi, by go zabrał i wykorzystał w przyszłości.

– Jeśli chodzi o drugą część pytania, wie pan z pewnością, że nie prowadzimy oficjalnych rejestrów. – Z głosu dyrektora jasno wynikało, że znał się dobrze na grze w pokera i podbijaniu stawki.

– Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że nie ma oficjalnych informacji, dyrektorze, ale pomyślałem, że być może mają państwo jakiś rodzaj nieformalnej listy specjalnych gości, na przykład takich, którzy przychodzą częściej lub grają o stawki wyższe niż przeciętne. Coś w tym rodzaju. – Ilu przepytanych przez lata krupierów mu o tym powiedziało?

– Czyli na tym polega ta przysługa, *dottore*?

– Tak, właśnie. Będę niezwykle zobowiązany.

– Mam nadzieję – odparł Alvino normalnym głosem i przeszedł do rzeczy. – Jak on się nazywa?

– Sartor, Piero.

– Chwileczkę – powiedział dyrektor, a słuchawka stuknęła na twardej powierzchni.

Mijały minuty. Brunetti patrzył przez okno. Cztery jaskółki przeleciały z

prawej strony w lewo. Rzymianie dopatryliby się w tym omenu.

– *Dottore?* – usłyszał głos Wyroczni i wsłuchał się w niego.

– Tak, jestem.

– Był u nas dwadzieścia trzy razy w zeszłym roku. – Brunetti czekał. To nie była ta część pytania, za które zapłaci swoją przysługą. – Przez ten czas przegrał między trzydzieści a pięćdziesiąt tysięcy euro.

– Rozumiem – powiedział Brunetti. Potem, jakby nie miał pojęcia, jak to się mogło stać, zapytał: – Skąd może pan znać tę kwotę, *dottore*?

– Nasi krupierzy mają oko na niektórych gości i dają nam znać, czy wygrywają, czy przegrywają. Oczywiście tylko w przybliżeniu, rozumie pan.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się Brunetti i powstrzymał się od komentarza, że dyrektorowi z pewnością ogromną przyjemność sprawiają doniesienia o gościu, który tyle przegrał. Choć przecież oni wszyscy ostatecznie przegrywają, bo inaczej po co zakładać *casinò*? Znowu otworzył słój z miodem.

– Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczny za te informacje, *dottore*.

– Zawsze z największą przyjemnością pomagam wszelkim służbom państwowym, *dottore*. Mam nadzieję, że właśnie to panu udowodniłem.

– Ależ tak, oczywiście. Pod każdym względem – powiedział Brunetti ciekaw, czy Alvino wyrazi nadzieję, iż komisarz będzie o tym pamiętać przy ich ewentualnym spotkaniu w przyszłości.

Nie powiedział tego, a Brunettiemu się to spodobało. Dyrektor oznajmił tylko:

– Jeśli jeszcze kiedyś będę mógł się do czegoś przydać, proszę do mnie dzwonić bez wahania, *dottore* Brunetti.

Wymienili zwyczajowe grzeczności, a potem Brunetti odłożył słuchawkę.

Brunetti pomyślał o Griffoni; co uznałaby za gorsze – że Sartor może być mordercą, czy też że ukradł i sprzedał warte co najmniej pięćdziesiąt tysięcy euro rzadkie druki z Meruli i być może innych bibliotek, a potem przegrał w kasynie tę część włoskiego dziedzictwa? Pomyślał, że ostatecznie wskazałaby to pierwsze, ale musiałyby walczyć z pokusą wybrania drugiej możliwości.

Jego własna reakcja była bardziej wyważona. Zdawał sobie sprawę, iż nie ma dowodów ani na to, że Sartor ukradł książki, ani na to, że zamordował Franchiniego. Nie można było nikogo wsadzić za kręctwo ani za odciski palców na książce. Pomyślał o tym, jak niefrasobliwie słuchał opowieści Sartora o jego zainteresowaniu książkami czytanyymi przez Nickersona i innych badaczy. Brunetti przywołał z pamięci ich pierwszą rozmowę i czarującą szczerość niewykształconego mężczyzny, który wyrażał podziw dla książek. Okazywał słuszną i stosowną skromność człowieka niskiego stanu, który mimo to mógł aspirować do rzeczy wyższych. Nie był strażnikiem; był czytelnikiem.

Jak dojrzała gruszka, Brunetti wpadł prosto w ręce Sartora i uwierzył, że jest on takim człowiekiem, za jakiego się podaje.

Zadzwoił telefon.

– *Commissario* – odezwała się signorina Elettra, gdy odebrał. – Oddzwonił Interpol. Doktor Nickerson, amerykański naukowiec, nie jest doktorem, nie jest Nickersonem, nie jest Amerykaninem i nie jest naukowcem.

– Włoch? – zapytał Brunetti.

– Nieodrodny syn Neapolu, Filippo D'Alessio – powiedziała. – Chce pan, żebym przesłała jego akta?

– Tak, proszę.

– Zaraz będą – powiedziała i rozłączyła się.

Podobało mu się, że najpierw zadzwoniła, by powiedzieć, czego się dowiedziała, niczym dziecko na plaży, które chce zostać pochwalone za znalezienie ślicznej muszelki, przed tym jak odda ci ją z dumą.

Zanim włączył komputer, e-mail zdążył już przyjść. Filippo D'Alessio miał za sobą długą historię fałszerstw tożsamości oraz kradzieży; to pierwsze w celu dokonywania drugiego. Mówił płynnie po niemiecku, włosku, angielsku, francusku oraz grecku i był obecnie poszukiwany przez policję w krajach, gdzie posługiwano się tymi językami.

We Włoszech został aresztowany dwukrotnie za kradzież karty kredytowej oraz trzykrotnie za oszustwa telefoniczne. Był także poszukiwany w trzech krajach za kradzież książek lub kartek z książek. Scenariusz był zawsze taki sam: podszywał się pod akademika i zaczynał badania, czasem w muzeum, ale najczęściej w bibliotece. Josef Nicolai służył Austrii i Niemcom, José Nicandro zaś pracował w Hiszpanii. Joseph Nickerson był poszukiwany przez policję Nowego Jorku i Urbany, a jego warianty językowe przez policję Berlinu i Madrytu. Nikt nie wiedział, czego chciała policja grecka.

Interpol rozesłał jego fotografię do wybranych bibliotek; bibliotekarze rozesłali ją swoim kolegom, z których wielu już zauważyło spustoszenie po wyjeździe sympatycznego młodego naukowca. Brunetti podejrzewał, że wiele placówek jeszcze nie odkryło rezultatów badań prowadzonych przez, powiedzmy, Josepha Nicollet w Bibliothèque Nationale czy też Józefa Jakiegoś tam w Bibliotece Jagiellońskiej.

Zdaniem wydziału do spraw kradzieży dzieł sztuki, był profesjonalistą, którego można było zatrudnić do kradzieży określonych woluminów lub stron na zamówienie. Rodzina twierdziła, że nie utrzymuje z nim żadnych kontaktów, ale ostatnio jego ojciec, emerytowany szewc, kupił sześciopokojowy apartament w centrum Neapolu; pieniądze na jego konto zostały przesłane przez „ciotkę z Kajmanów”.

Brunetti skończył czytać akta i stwierdził, że po intensywnej aktywności ostatnich dni nie ma do roboty nic poza czekaniem na telefon od Boccheseo. Przysunął sobie kartkę i zaczął szkicować możliwy scenariusz, umieściwszy „Książki” w kółku na środku strony. Narysował prostą linię do drugiego kółka, w którym napisał „Nickerson/ D'Alessio” i wrócił do pierwszego kółka, by połączyć je z „Franchini” i „Sartor”. Potem, jako możliwą ewentualność, połączył „Nickersona/D'Alessio” z „Franchinim” i postawił nad linią znak zapytania.

Co zaprzętało myśli byłego księdza przez te lata, gdy siedział i czytał

świętego Ambrożego, Cypriana i Hieronima? Handlował już wtedy kradzionymi książkami z pomocą Roberta Durà i dokładał je do kolekcji, którą zapewne zdobył w bibliotekach Vicenzy w czasie, gdy pracował tam jako ksiądz. Brunetti był pewien, że po tylu latach miał listę klientów.

Trzy lata czytania w Bibliotece Merula dawały Franchiniemu dość czasu, by zatrudnić do pomocy Sartora, więc mógł ich połączyć dwustronną strzałką. Ale potem pojawił się dottore Nickerson i zaczął pozyskiwać to, co Franchini uznał za rzeczy poza swoim zasięgiem. Co wtedy? Co wtedy?

Brunetti wstał, podszedł do okna i zaczął podziwiać niedawno otwarte drzwi kościoła San Lorenzo po drugiej stronie *campo* za kanałem. Badania archeologiczne zostały ostatnio wznowione z dnia na dzień: jednego dnia drzwi kościoła były zamknięte, jak od dziesiątków lat, a następnego je otwarto. Obserwował ludzi wchodzących do środka i wyłaniających się z kościoła, niektórych w białych ogrodniczkach i żółtych kaskach, innych w garniturach i pod krawatem.

Wrócił za biurko, a jego myśli pobiegły do zmarłego mężczyzny. Gdy Franchini leżał nieprzytomny lub martwy na podłodze swojego mieszkania, morderca mógł swobodnie dobrać się do książek, a jednak książki, których zabytkowość była wyraźnie widoczna nawet dla kompletnego laika, pozostały nietknięte. Morderca zatrzymał się tylko po to, by zdjąć but.

Jak się go pozbył? Czy był na tyle głupi, by go zatrzymać? Wyrzucił do śmieci, do wody?

Wybrał numer Boccheseego.

Technik odebrał po ósmym dzwonku.

– O co znowu chodzi, Guido?

– Ta krew na podłodze, w którą wdepnął morderca – czy można się jej pozbyć z buta? – Zastanawiał się, czy ktokolwiek zadzwonił kiedyś do Boccheseego, by go zapytać, w jakiej porze należy sadzić dalej albo czy przypuszcza, że Juventus zostanie czempionem ligi.

Odpowiedź przyszła po niemal minucie.

– Znaleźliśmy ślady krwi Franchiniego w zlewie w kuchni – powiedział technik.

– Odciski palców?

– Powiedziałbym ci o tym, prawda, Guido?

– Tak. Oczywiście. Przepraszam. Czy mógł się pozbyć krwi?

– Nie do końca. Mógł ją splukać, ale zostałyby jakiś ślad. To były buty na gumowej podeszwie wafłowej, najgorsze buty, jakie mógłby włożyć morderca.

– Bocchese umilkł na chwilę i dodał: – Jeśli ogląda telewizję, wiedziałby o tym, więc spróbowałby się ich pozbyć.

– Dziękuję – powiedział Brunetti – za całą pomoc.

Bocchese mruknął coś pod nosem.

– Nie dajesz mi się zająć tymi książkami, Guido – powiedział, ale potem roześmiał się, zanim się rozłączył.

Brunetti zdecydował, że ta rozmowa i te myśli nie są mu potrzebne w piękny wiosenny dzień. Zadzwoił do domu i zapytał Paolę, czy mogłaby się z nim spotkać na Zattere, skąd przeszliby się na spacer i zjedli obiad na zewnątrz, na *riva*.

– A dzieci? – zapytała głosem dla porządku macierzyńskim, który znał doskonale.

– Zostaw im obiad i kartkę, a potem spotkajmy się u Nico na drinka. Przejdziemy się kawalek i coś zjemy.

– Cudowny pomysł – oznajmiła. – Ale ominą cię gnocchi z *ragù*.

Mężczyzna mniej doświadczony w sprawach małżeńskich powiedziałby, że mogą zamówić to samo w restauracji, jednak taka uwaga zwiastowałaby kłopoty.

– Cóż, przykro mi, że mnie ominą.

– Mogę ugotować połowę dla dzieci, a potem zjemy resztę we dwoje na kolację – podsunęła.

– Jeśli najemy się *moeche*, nie będziemy wieczorem szczególnie głodni – zauważył, nie mogąc się doczekać pierwszych krabów bez pancerza w tym sezonie.

– Ty? – zapytała z całkowicie fałszywą niewinnością w głosie. – Najesz się?

– Bardzo zabawne – stwierdził, dodał, że zaraz wychodzi, i odłożył słuchawkę.

Ponieważ nie wspomniał o swoich spekulacjach dotyczących mężczyzn, którzy spotkali się w Bibliotece Merula, obiad był przyjemnym posiłkiem, podczas którego zgodzili się, że latem wyjadą nad morze, chociaż nie zdecydowali, gdzie dokładnie. Wrócili razem aż do *imbarcadero* przy Akademii, gdzie wsiedli na statki płynące w różne strony, a Brunetti jak zawsze był świadomy tego, że nie lubi patrzeć, jak Paola się od niego oddala. Chociaż karmił się zawsze za to niemęskie zachowanie, nigdy nie zdołał przemóc stałej obawy, że – w tym najspokojniejszym z miast – Paola znajdzie się w niebezpieczeństwie w chwili, gdy zniknie mu z oczu. To uczucie mijało równie szybko, jak się pojawiało, ale impuls pozostawał zawsze, a on nie potrafił jej o tym powiedzieć.

Zasiedzieli się przy kawie i pogawędce, więc było po czwartej, gdy wrócił do gabinetu. Gdy wszedł, zobaczył na biurku niebieską plastikową teczkę. W środku, jak podpowiadały mu lata współpracy z technikiem, znajdowała się kopia raportu Bocchesego, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień. Zawierała dwie listy: pierwszą ze wszystkimi sprawdzonymi książkami i drugą z nazwiskami osób, których odciski palców znaleziono na oprawach tych książek.

Na wszystkich były odciski palców Franchiniego. Odciski Sartora były na wszystkich książkach zabranych z Meruli; dottoressy Fabbiani na trzech z nich.

To mogło nie przekonać sędziego, ale wystarczyło, by Brunetti wrócił do biurka i swojego diagramu. Pogrubiał kółka wokół „Franchiniego” i „Sartora”. To mu wystarczało. Wybrał numer Griffoni i poprosił, aby przyszła. Chciał sprawdzić, czy jej to także wystarczy.

Wystarczyło.

– Koń trojański – powiedziała Griffoni i uśmiechnęła się. – Był kimś z wewnątrz, zaufanym. Na litość boską, jego praca polegała na zapewnianiu książkom bezpieczeństwa. Kto by się zastanawiał, gdyby go zobaczył wychodzącego z magazynu z książką? Kto miałby zaglądać do jego torby, gdy wieczorem szedł do domu?

– A Franchini? – zapytał Brunetti.

Nie odzywała się przez dłuższą chwilę, aż pomyślał, że nie ma już nic do dodania.

– Nie możemy z nim porozmawiać, ale możemy porozmawiać z Sartorem – powiedziała.

– Teraz?

– Jest jeszcze dość czasu, żeby wyjść i zamienić z nim kilka słów.

Brunetti uznał, że powinien zadzwonić i sprawdzić, czy strażnik jest w bibliotece, ale z zadowoleniem odkrył, że żona Sartora dwa dni wcześniej powiadomiła jego pracodawców przez telefon, że jest bardzo chory i nie pojawi się w pracy, dopóki nie poczuje się lepiej.

Aby nie zwracać niepotrzebnej uwagi na ich zainteresowanie osobą Sartora, Brunetti powiedział rozmówcy – jak przypuszczał, był to młody człowiek, który pracował na stanowisku przy wejściu – że chcieli zapytać Piero (pamiętał, by mówić o Sartorze po imieniu i przyjaznym tonem), czy nie przypomina sobie jeszcze jakichś rozmów z Nickersonem, ale to może spokojnie poczekać do przyszłego tygodnia.

Gdy bibliotekarz zapytał, czy są jakieś postępy i czy uważają, że jest jakaś nadzieja na odzyskanie książek, Brunetti przybrał zmartwiony ton i powiedział, że wydaje mu się to mało prawdopodobne. Jeśli z jakichś powodów młody mężczyzna rozmawiałby z Sartorem, będzie najlepiej, jeśli strażnik usłyszy od niego, że policja pesymistycznie podchodzi do perspektywy znalezienia książek.

Brunetti odłożył słuchawkę i zrelacjonował drugie pół rozmowy Griffoni, która i tak się już zorientowała, o co chodzi.

Jej głos nie mógłby być bardziej pozbawiony emocji, gdy powiedziała:

– Żona Sartora zadzwoniła następnego dnia po tym, jak z nim rozmawiałeś. Dzień po śmierci Franchiniego.

Brunetti zadzwonił do signoriny Elettry i zapytał, czy mają w aktach adres Sartora. Po chwili powiedziała mu, że strażnik mieszka dwie *calli* za Akademią, podała *numero civico* i wyjaśniła, gdzie należy skręcić w lewo, a potem w prawo.

Calle larga Nani. Nie był tam od lat, może od całych dekad. Pamiętał, że kiedyś mieścił się tam sklep tytoniowy na rogu, ale poza tym nie miał żadnych wspomnień związanych z tym miejscem. Wsiedli do *vaporetto* numer dwa, wysiedli przy Akademii i bez trudu znaleźli adres, cztery domy od *tabaccaio*, które nadal się tam znajdowało.

Zanim Brunetti zadzwonił do drzwi, popatrzył na Griffoni, zastanawiając się, czy powinni obmyślić strategię przesłuchiwania Sartora.

– Po prostu coś zrobimy – powiedziała, a on uświadomił sobie, że miała rację; nie było sposobu, by się na to przygotować. Nacisnął dzwonek.

Mijały minuty i nikt nie otwierał. Zadzwonił znowu i zadał sobie pytanie, dlaczego nie pomyślał o zdobyciu sądowego nakazu przeszukania związanego z pozostałymi książkami. Obawiał się, że przyczyną była jego odmowa utraty wiary w czytelników.

Drzwi się otwały. Stała w nich kobieta, która mogła być po pięćdziesiątce; wysoka, za chuda, wymizerowana, zaskoczona na widok ludzi na jej progu.

– Jesteście lekarzami? – zapytała, patrząc najpierw na jedno z nich, a potem na drugie. – Mówiliście, że nie możecie przyjechać, a teraz jest was dwoje. – Była zdziwiona, ale nie rozgniewana. Ciemne cienie pod oczami zdradzały zmartwienia i brak snu, podobnie jak sposób, w jaki patrzyła na nich na przemian, jakby z nadzieją, że któreś z nich się odezwie.

– Przyszliśmy do signor Sartora – powiedział Brunetti.

– Czyli pan jest lekarzem? – zapytała ze złością.

– Nie, nie jestem lekarzem. – Gdy to do niej dotarło, Brunetti dodał: – Przykro mi słyszeć, że jest chory. Co się stało?

Potrząsnęła głową, wyraźnie dręczyło ją to i nic nie rozumiała.

– Nie wiem. Dwa dni temu wrócił wieczorem i powiedział, że jest chory. Od tamtej pory niewiele mówi.

– Gdzie jest teraz?

– W łóżku. – Zupełnie jakby myślała, że może oni zdołają jakoś pomóc, zaczęła tłumaczyć: – W Ospedale powiedziano mi, żebym zadzwoniła do Sanitrans, żeby go tam zawieźli, ale powiedziałam im, że nas na to nie stać, a poza tym on się nie zgodzi. To było... – Popatrzyła na zegarek. – Dwie godziny temu. Musiałam wyjść z domu, żeby zadzwonić; nie mogę znaleźć *telefonino* Piera, a w domu nie mamy już telefonu. Pomyślałam, że może zmienili zdanie i przysłali lekarza. – Skrzywienie ust imitowało uśmiech. – On naprawdę nie zgodzi się jechać.

– Jeśli pozwoli nam pani spróbować, *signora* – odezwała się miękko Griffoni – moglibyśmy wezwać Guardia Medica.

U wylotu *calle* pojawiła się jakaś młoda para, a wtedy kobieta położyła rękę na ramieniu Griffoni i niemal wciągnęła ją do domu.

– Wejdźcie do środka – poprosiła.

Weszli, a ona zamknęła za nimi drzwi i stanęła oparta o nie plecami, z malującą się na twarzy ulgą.

Był zaskoczony, że nie znaleźli się w holu, ale w pomieszczeniu, które musiało być pokojem dziennym. Znajdowało się na parterze, z oknami wychodzącymi na *calle* po obu stronach drzwi, chronionymi grubymi zasłonami i, co było widać w wąskiej szparze, która wpuszczała odrobinę światła, kratami. Ze środka sufitu zwisała żarówka, starająca się oświetlić pokój. Ogromny, staroświecki telewizor z przypominającą królicze uszy anteną stał przed zieloną kanapą. W pokoju nie było nic poza tym: żadnych krzeseł, nic na ścianach, żadnego dywanu. Nic. Pomieszczenie wyglądało, jakby przeszła przez nie ludzka szarańcza, która pogardziła telewizorem i kanapą, a także postanowiła pozostawić pojedynczą żarówkę, bezskutecznie usiłującą rozjaśnić półmrok. Kafelki podłogi lśniły wilgocią, jakby chciały pokazać nieustający opór wobec słońca, ciepła lub nadejścia wiosny.

Kobieta stała z jedną ręką na piersi, ściskając dłonią drugie ramię, z zaciśniętymi wargami, nadal niepewna, kim są ani dlaczego tu przyszli.

Zamrugła kilka razy, jakby chciała ich wyraźniej zobaczyć. Zrobiła krok w bok i oparła się o kanapę.

– *Signora?* – zapytała Griffoni. – Czy jadła pani coś dzisiaj?

Głowa kobiety obróciła się w jej stronę.

– Co takiego?

– Czy jadła pani coś dzisiaj?

– Nie, nie, oczywiście że nie. Jestem za bardzo zajęta – odparła, gestykułując gwałtownie.

– Czy mogłabym może poprosić o szklankę wody? – zapytała Griffoni.

Jej prośba najwyraźniej rozpałała na nowo poczucie społecznego obowiązku, które wymagało, by sąsiedzi nie dowiedzieli się nic o tym, co się działo.

– Tak, tak – powiedziała kobieta. – Proszę ze mną. Mogę panią poczęstować kawą, jeszcze nam trochę zostało. – Odwróciła się od kanapy, a teraz, gdy ich oczy przywykły do przyćmionego światła, Brunetti i Griffoni zobaczyli zasłonięte zasłoną drzwi po lewej stronie. Kobieta skierowała się do nich, a Griffoni poszła za nią. Gdy kobieta sięgnęła do zasłony, żeby ją odsunąć, obejrzała się na Brunettiego i wskazała drzwi za kanapą. – Mój mąż jest tam. Może on by... – zaczęła, ale urwała w pół zdania, jakby nie potrafiła już wymyślić, co takiego mógłby zrobić jej mąż.

Brunetti zaczekał, aż usłyszał szum płynącej wody, a potem brzęk metalu. Widywał podobną jałową pustkę na twarzach ofiar przestępstwa lub osób, które uczestniczyły w wypadku. Trzeba dać im cukru i wody; jeśli to możliwe – coś do jedzenia. Trzymać ich w ciepłe. W tym momencie uświadomił sobie, jak zimno jest w tym pokoju, co dodatkowo pogarszała wilgoć.

Podszedł do drzwi i otworzył je, nie zawracając sobie głowy pukaniem. Uderzył go zapach, zatechły odór jak w klatce dla zwierząt lub w domu starszej osoby, która machnęła ręką na życie i przestała się kąpać lub jeść regularnie. To, że w pokoju było ciepło, jeszcze pogarszało sprawę. Rozejrzał się za źródłem tego ciepła i zobaczył w rogu elektryczny grzejnik, którego pięć rozgrzanych do czerwoności prętów walczyło z zimnem. Światło wpadało przez pojedyncze zasłonięte okno, wydobywając z półmroku kształty nielicznych sprzętów: podwójne łóżko, mały stolik z pustą szklanką. Szarańcza przeszła także i tędy. Ominęła mężczyznę na łóżku, leżącego na plecach z zamkniętymi

oczami. Przybrudzone białe prześcieradło było odwinięte na ciemnoniebieską kołdrę.

Twarz Sartora była szorstka od zarostu; światło wpadające przez okno przyciemniało jego zapadnięte policzki. Kołnierzyk T-shirtu odsłaniał pokrytą zarostem szyję. Mężczyzna głośno oddychał.

Pokój był tak mały, że Brunettiemu wystarczyły dwa kroki, by znaleźć się przy łóżku. Stało koło niego krzesło, na którym usiadł. Zobaczył wśród włosów na szyi Sartora mały koralowy róg byka na srebrnym łańcuszku, noszony przez wielu mężczyzn – chociaż częściej na południu – jako talizman mający odganiać pecha i wabić szczęście.

Zostawił drzwi pokoju otwarte w automatycznej reakcji na zapach; uznał, że nie będzie ich zamykać, bo zimno było lepsze od tego. Usłyszał szczęk kubka, albo – jak miał nadzieję – talerza. Gdy znowu spojrzął na Sartora, zauważył, że oddech mężczyzny przyśpieszył. Nagle rozległ się odgłos coraz bliższych kroków, i Brunetti wstał, nie mając ochoty wpuszczać żadnej z kobiet do pokoju.

Gdy kroki minęły go i zaczęły się oddalać od uliczki, Brunettiego uderzyła osobliwość mieszkania w miejscu, gdzie nie miało się pojęcia, czy odgłosy dobiegają z wnętrza, czy też z ulicy. Znowu usiadł i powiedział, starając się mówić naturalnym głosem:

– Signor Sartor, jestem Brunetti. Spotkaliśmy się w bibliotece.

Sartor otworzył oczy i popatrzył na niego. Brunetti zobaczył, że mężczyzna go rozpoznaje.

– Tak, pamiętam – skinął głową.

– Przyszedłem w sprawie książek.

Tym razem Sartor tylko skinął głową.

Brunetti zmienił temat:

– Podobno nie wstaje pan od dwóch dni, czy to prawda?

– Nie wiem.

– Jest pan chory?

– Nie – odparł Sartor. – Właściwie nie.

– To dlaczego leży pan w łóżku? – zapytał Brunetti, jakby to było

najzwyczajniejsze pytanie.

– Nie mam dokąd iść.

– Może pan iść do pracy. Może pan iść na spacer. Może pan iść do baru na kawę.

Sartor pokręcił głową na poduszce.

– Nie. To już skończone.

– Co takiego? – zapytał Brunetti.

– Moje życie.

Brunetti pozwolił sobie na okazanie zdumienia.

– Ale przecież rozmawia pan ze mną, a pańska żona jest w kuchni, więc życie jeszcze się nie skończyło.

– Owszem, skończyło się – oznajmił z dziecinnym uporem.

– Dlaczego pan tak uważa?

Sartor na moment zamknął oczy, otworzył je i popatrzył na Brunettiego.

– Ponieważ stracę pracę.

– Ale dlaczego? – zapytał niewinnie Brunetti.

Sartor popatrzył na niego i zamknął oczy. Brunetti siedział i czekał. Minęła więcej niż minuta i Sartor otworzył oczy.

– Ukradłem książki – powiedział.

– Z biblioteki?

Sartor skinął głową.

– Dlaczego pan je ukradł?

– Żeby mu zapłacić.

– Komu takiemu? – Brunetti z całej siły starał się brzmieć, jakby nic nie rozumiał.

– Tertulianowi. Franchiniemu.

– Co mu zapłacić? Dlaczego? – zapytał Brunetti. Pomyślał, że może istnieć tylko jeden powód, dla którego hazardzista musi komuś płacić.

– On dał mi pieniądze. Pożyczył.

– Nie rozumiem – stwierdził Brunetti. – Dlaczego miałby pan pożyczać od niego pieniądze?

– Żeby spłacić inne długi – wyjaśnił Sartor. Zamknął oczy i zacisnął usta na myśl o tych długach.

– Co się stało? – zapytał Brunetti.

– Potrzebowałem pieniędzy. Dwa lata temu. Dlatego poszedłem do kogoś, kto mógł mi pożyczyć.

– Nie do banku?

Sartor prychnął tylko głośno na ten niedorzeczny pomysł.

– Do kogoś na mieście.

– Ach, rozumiem – powiedział Brunetti.

W Wenecji działało wielu lichwiarzy. Zapisz dom jako zabezpieczenie, a możesz dostać, co chcesz. Masz złotą biżuterię matki? Polisę na życie ojca? Meble? Nic prostszego. Podpisz tutaj i dostaniesz pieniądze, których potrzebujesz. Tylko dziesięć procent odsetek. Miesięcznie. Wszystko to było niegodziwe; nic nie można było zrobić, by ich powstrzymać.

– Musieliśmy płacić odsetki co miesiąc. Robiliśmy to, ale on chciał odzyskać wszystkie pieniądze.

Brunetti zauważył z zainteresowaniem, że Sartor pożyczył pieniądze, ale „my” musieliśmy je oddawać.

– Kiedy to się zaczęło?

– Mówiłem panu, dwa lata temu. Radziliśmy sobie przez rok, spłacaliśmy odsetki, ale potem zrobiło się tego za dużo. – Dłoń Sartora zaciskała się pod przykryciem, zgniatając i ciągnąc prześcieradło oraz kołdrę. – Kiedy mi powiedział, że chce odzyskać pieniądze, odparłem, że nie możemy zapłacić. – Jego dłoń wyłoniła się spod kołdry i przez moment dotykała koralowego rogu, a potem schowała się w bezpieczne miejsce. – Przyszedł tutaj ze znajomym i rozmawiał z moją żoną. – Pozwolił Brunettiemu domyślić się, jaki był ogólny wydźwięk tej rozmowy.

– Czyli poprosił pan Franchiniego o pożyczkę? – zapytał Brunetti.

To pytanie zaszokowało Sartora.

– Nie, oczywiście, że nie. On był jednym z naszych czytelników.

Brunetti był w równym stopniu zaszokowany odpowiedzią, jak i gwałtownością, z jaką udzielił jej Sartor.

Rytm tej rozmowy zmieniał się bezustannie, a Brunetti wiedział, że przyszła pora na jeszcze więcej łagodności.

– Rozumiem – powiedział. – Co w takim razie się wydarzyło?

Obserwował, jak Sartor stara się sformułować odpowiedź; widział, jak przygryzł wargi, jakby zamykając w ten sposób usta, mógł milczeć przez dłuższy czas; może dość długo, by Brunetti zapomniał o swoim pytaniu.

Brunetti siedział i czekał. Wyobrażał sobie, że jest rośliną, na przykład krzewem bzu, i właśnie zapuścił korzenie w krzesło. Jeśli będzie siedział tu dostatecznie długo, stanie się na stałe częścią krzesła, pokoju, egzystencji Sartora, który nigdy nie pozbędzie się widoku Brunettiego zakorzenionego w jego życiu.

– Pewnego dnia – powiedział w końcu Sartor – kiedy wychodził z biblioteki... zawsze zamienialiśmy parę słów, gdy przychodził i wychodził... powiedział mi, że wydaje mu się, iż coś mnie martwi, i zapytał, czy mógłby coś dla mnie zrobić, by mi pomóc.

– Wiedział pan, że on był dawniej księdzem?

– Tak.

– I co?

– Poszliśmy na kawę, a ja powiedziałem mu... tak jak pan mówił, on był dawniej księdzem... że martwię się o pieniądze.

Brunetti nie widział związku i wydawało mu się, że księża są przeznaczeni do innych spraw, ale nic nie powiedział.

– Zaproponował, że może mi je pożyczyć. Powiedziałem, że nie mogę ich przyjąć, a on odparł, że jeśli chcę, możemy załatwić to oficjalnie.

– Oficjalnie?

– Umową, którą podpiszę. – Spod kołdry wyłoniła się ręka i zrobiła w powietrzu gest, jakby coś podpisywała.

– Czyli na określony procent?

– Nie – w głosie Sartora brzmiało niemal oburzenie. – Tylko umowa, że pożycz mi pieniądze.

– Ile to było?

Obserwował, jak Sartor szykuje się do powiedzenia kłamstwa.

– Tysiąc euro.

Brunetti skinął głową, jakby w to wierzył.

Nastąpiła dłuższa przerwa, jakby Sartor siłą woli mógł sprawić, że ta rozmowa się zakończy.

Brunetti był znużony kłamstwami i zwlekaniem, więc zapytał, by przyspieszyć sprawę:

– Co się potem stało?

Spojrzenie, jakie Sartor rzucił Brunettiemu, podpowiadało, że komisarz naciskał za mocno lub obraził go czymś. Odwrócił głowę i zaczął się wpatrywać w ścianę. Brunetti czekał.

– Po kilku miesiącach Franchini powiedział mi, że potrzebuje pieniędzy z powrotem – mruknął Sartor do ściany. – Ale ja ich nie miałem. Gdy mu to powiedziałem, zaproponowałem, żebym mu zamiast tego pomógł.

– Jak?

Sartor odwrócił się nagle i rzucił Brunettiemu ostre spojrzenie.

– Oczywiście dając mu książki – powiedział z trudem.

Brunetti uświadomił sobie, że albo cierpliwość Sartora, albo jego kreatywność uległy wyczerpaniu.

– Czy mówił panu, co to mają być za książki? – zapytał.

– Tak. Wyszukiwał je w katalogu i podawał mi ich tytuły.

– Dawał mu je pan? – zapytał Brunetti, świadomy użytego czasownika, sugerującego, że Sartor miał jakieś prawo, by dawać te książki.

– Nie miałem wyboru – odparł z oburzeniem Sartor.

– A co z Nickersonem? – zapytał Brunetti z nadzieją, że zaskoczy go tym pytaniem.

Sartor odpowiedział natychmiast, chociaż z trudem.

– O co z nim chodzi?

– Czy on znał Franchiniego?

Sartor spojrzał na niego szybko, niezdolny do ukrycia zaskoczenia, a Brunetti zaczął się zastanawiać, czy zadał pytanie przedwcześnie lub też czy było ono niewłaściwe. Przez chwilę Sartor patrzył twardo, ale potem zamknął oczy i milczał tak długo, że Brunetti zaczął się obawiać, iż dotarli do punktu, w którym

musieli się w końcu znaleźć, gdy Sartor nie zgodzi się powiedzieć już nic więcej. Czekał, wyraźnie dając do zrozumienia, że wycofuje się z tematu, ale Sartor pozostawał nieruchomy, z zamkniętymi oczami. Brunetti usłyszał hałas z drugiego pokoju i miał nadzieję, że kobiety nie wybiorą tego momentu, by wejść.

Sartor otworzył oczy. Jego twarz wyglądała inaczej, stała się żywsza, nawet broda, nierówna i zaniedbana, wydawała się teraz efektem celowych zabiegów.

– Tak – odparł, w końcu odpowiadając na pytanie Brunetti. – On był bardzo sprytny. To znaczy Franchini.

Nie dość sprytny, chciał powiedzieć Brunetti, ale zapytał tylko:

– Dlaczego pan tak uważa?

– Powiedział mi, że go rozpoznał, tego Nickersona. Że znał go wcześniej – zaczął Sartor. Powoli mówił dalej, zastanawiając się nad każdym słowem, jakby koniecznie zależało mu na tym, by wyrażać się jasno. – Nie powiedział mi, gdzie go poznał. Ani kiedy. Tylko tyle, że go znał.

– Czy pracowali razem? – zapytał Brunetti.

Zanim Sartor odpowiedział, minęło tyle czasu, że Brunetti znowu się obawiał, iż mężczyzna postanowił przestać mówić.

– Tak – oznajmił w końcu.

– A pan im pomagał?

– Bardzo niewiele. Franchini powiedział, żebym zostawił Nickersona w spokoju.

– Przy wyjściu? – upewnił się Brunetti.

Sartor opuścił głowę, by okazać zawstydzenie.

– Tak – mruknął, jakby nie chciał, żeby nawet Brunetti słyszał to wyznanie. Jego oczy domagały się współczucia, gdy zapytał: – A co miałem zrobić? – Gdy Brunetti nie odpowiedział, Sartor wyjaśnił: – Po prostu nie zaglądałem do jego teczki.

Sartor przesunął lewą dłoń na krawędź łóżka i przytrzymał brzeg prześcieradła. Zaczął zwijać materiał między kciukiem a środkowym palcem w cienki rulonik. W jedną i w drugą, w jedną i w drugą, jakby głaskał kota.

– Co było potem? – zapytał Brunetti z nadzieją, że Sartor czeka na to pytanie.

– Nickerson chciał Doppelmayra.

– Co to takiego? – zapytał Brunetti, chociaż wiedział, że to książka z mapami.

– To atlas nieba – wyjaśnił Sartor z wyższością eksperta. – W bibliotece był jeden egzemplarz, a Nickerson powiedział, że chce go dostać.

– Dlaczego właśnie ten?

– Dla klienta. Tak powiedział mi Franchini.

– I co się stało?

– Franchini był bardzo ostrożny i powiedział, że ta książka jest zbyt ważna, żeby ją zabrać. I za duża. Oznajmił Nickersonowi, że nie chce mieć z tym nic wspólnego, niezależnie od tego, co tamten by mówił i ile proponował.

Brunetti z pokerowym wyrazem twarzy zapytał:

– Jak to się skończyło?

Patrzył, jak Sartor zastanawia się nad odpowiedzią.

– Powiedział mi, żebym w dniu przed zniknięciem Nickersona zajrzał do czytelnicy, a następnego dnia, żebym go poprosił o oddanie jednej z książek, z których korzystał. Miałem powiedzieć, że zostanie wypożyczona do innej biblioteki. Franchini powiedział, że to go spłoszy. I tak się stało.

– Dlaczego polecił panu tak postąpić? – zapytał Brunetti.

– Franchini mówił, że się pokłócili o Doppelmayra, a potem o pieniądze. – Sartor zauważył czystą ciekawość na twarzy Brunettiego i wyjaśnił: – Powiedział mi... to znaczy Franchini... że chce się go pozbyć, bo się go obawia.

Aha, o to chodziło – pomyślał Brunetti. W końcu coś, w co mógłby uwierzyć. Nie wątpił, że przyczyną śmierci Franchiniego była kłótnia o pieniądze, ale zapewne nie walka między akurat tymi dwoma mężczyznami.

Brunetti od dawna był zdania, że słabością głupoty jest niezdolność do wyobrażenia sobie inteligencji. Chociaż głupi ludzie mogli rozumieć słowo „inteligentny” i zauważać, że niektórzy zaczynają szybciej rozumieć różne rzeczy, ich własna monochromatyczna inteligencja nie była w stanie naprawdę pojąć tej różnicy. Dlatego Sartor nie mógł dostrzec, jak przejrzysta była jego historia. Brunetti nie wiedział, czy ma go uderzyć, czy też mu współczuć.

Od podjęcia tej decyzji odwiodły go kroki, tym razem nie na *calle*, ale w pokoju obok.

– *Commissario* – zawołała Griffoni.

Wstał i podszedł do drzwi. Claudia stała na środku pokoju, a żona Sartora w drzwiach prowadzących do kuchni.

– Rozmawialiśmy z *signorą* – powiedziała Claudia i odwróciła się z uśmiechem do kobiety. Jej miękki głos napełnił Brunettiego lękiem.

Zamknął drzwi do sypialni i podszedł do Claudii.

– Rozmawialiśmy – powiedziała – o tym, jak trudno związać koniec z końcem z jednej pensji. – W tle kobieta skinęła głową, potwierdzając prawdę, jaką zapewne tylko kobiety potrafiły zrozumieć. Wydawała się spokojniejsza; niewykluczone, że Claudia zdołała w nią wmusić trochę cukru, a może nawet coś do jedzenia.

Claudia spojrzała na nią.

– Prawda, Gino?

– Tak, a teraz w tym kryzysie pensje są takie same i wszystko robi się coraz droższe. – Żona Sartora stała się bardziej opanowana, nie była już tą załamana kobietą, która wciągnęła ich do mieszkania.

– Dlatego wszyscy musimy uważać – oznajmiła Claudia z wyraźnym naciskiem. – Nie można niczego marnować, trzeba sobie radzić z tym, co się ma. – Odwróciła się do Brunettiego. – *Signora* mówiła mi, że jej mąż obawia się o utratę pracy – powiedziała z jawną fałszywością, której druga kobieta nie potrafiła wyczuć. Twarz żony Sartora spochmurniała, a jej ręce zacisnęły się, by pocieszać się nawzajem.

Brunetti zastanawiał się, czy Claudia również nie potrzebuje cukru, ale jej głos ostrzegł go, że wszystko to do czegoś prowadzi. Jakby nagle sobie o czymś przypomniała, odwróciła się do kobiety i powiedziała:

– Dlatego to bardzo rozsądne z pani strony, że nie pozwoliła pani mężowi wyrzucić tych butów.

Kobieta uśmiechnęła się, dumna ze swojej zaradności.

– Posłużą jeszcze ładne kilka lat – powiedziała. – Zapłacił za nie sto czterdzieści trzy euro, zaledwie cztery lata temu. – Po chwili dodała: – Teraz już nie byłoby nas na nie stać, sprawy tak źle się układają.

– Zawsze trzeba uważać, *signora* – powiedział Brunetti z uśmiechem aprobaty, jednocześnie myśląc o tym, że będzie zdruzgotana, gdy dowie się, co

zrobiła. Jego głos załamał się lekko, targany dwiema emocjami, gdy zapytał: – *Signora*, czy ja także mógłbym poprosić o szklankę wody?

– Och, zaraz zrobię panu kawę, *dottore* – powiedziała i zawróciła do kuchni.

Brunetti zrobił kilka kroków za nią i odwrócił się do Griffoni.

– Zadzwoń do nich i powiedz, że potrzebujemy nakazu, żeby przeszukać to miejsce z powodu butów – powiedział.

Zamiast natychmiastowej zgody, której się spodziewał, Griffoni odparła:

– Raz już byłam Judaszem, nie chcę tego robić ponownie.

Brunetti wyjął *telefonino*, wybrał numer komendy i poprosił o nakaz, a potem wszedł do kuchni signory Sartor, by podziękować za jej gościnność.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści
Donny Leon:

ŚMIERĆ W LA FENICE

1998

2006 (*seria kieszonkowa*)

ŚMIERĆ NA OBCZYŻNIE

1999

STRÓJ NA ŚMIERĆ

1999

ŚMIERĆ I SĄD

1999

ACQUA ALTA

1999

2011 (*seria kieszonkowa*)

CICHO, WE ŚNIE

2001

2009 (*seria kieszonkowa*)

SZLACHETNY BLASK

2002

ZGUBNE ŚRODKI

2003

2007 (*seria kieszonkowa*)

ZNAJOMI NA STANOWISKACH

2004

2008 (*seria kieszonkowa*)

MORZE NIESZCZĘŚĆ
2005

2007 (seria kieszonkowa)

PERFIDNA GRA
2006 (seria kieszonkowa)

SŁOWO OFICERA
2007 (seria kieszonkowa)

FAŁSZYWY DOWÓD
2008 (seria kieszonkowa)

KREW Z KAMIENIA
2009 (seria kieszonkowa)

MĘTNE SZKŁO
2010 (seria kieszonkowa)

OKROPNA SPRAWIEDLIWOŚĆ
2010 (seria kieszonkowa)

DZIEWCZYNA Z JEGO SNÓW
2011 (seria kieszonkowa)

UKRYTE PIĘKNO
2012 (seria kieszonkowa)

KWESTIA WIARY
2013 (seria kieszonkowa)

PO NITCE DO KŁĘBKA
2014 (seria kieszonkowa)

DZIKA ZACHŁANNOŚĆ
2015 (seria kieszonkowa)

ZŁOTE JAJO

2015 (*seria kieszonkowa*)